

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik nr 3/4 (7/8) 2014

Egzemplarz bezpłatny
ISSN 2353-1304



FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

FUNDACJA

KGHM

POLSKA MIEDŹ

MIEDZIORYSY

Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi

Kwartalnik wydawany przez Fundację Polska Miedź
w ramach Społecznej Odpowiedzialności Biznesu (CSR)
KGHM Polska Miedź S.A.
ISSN 2353-1304

Redaktor Naczelny

Krzysztof Kulacz

Redakcja

Maria Kuncaitis, Krystyna Nikończuk, Zbigniew Szarmach, Jadwiga Wardach

Wydawca

Fundacja Polska Miedź
ul. Skłodowskiej-Curie 48, 59-301 Lubin
tel. 76 747 81 23, fax 76 747 85 07
e-mail: k.kulacz@kgm.pl
www.kgm.pl (patrz zakładka Fundacja Polska Miedź)

Druk

Miedziowe Centrum Kształcenia Kadr Sp. z o.o. w Lubinie
Poligrafia: 59-300 Lubin ul. Budziszewska 6A

Nakład 3500 egzemplarzy

Fotografie ze zbiorów redakcyjnych i archiwalnych

W tekstach nadesłanych i przeznaczonych do druku Redakcja zastrzega sobie prawo zmian i skrótów.

Okladka: Lata 60. Pracownia Miedziowa Państwowego Instytutu Geologicznego Jana Wyżykowskiego. Od lewej stoją: Jan Wyżykowski, Janina Kołodziejczyk (sekretarka), Teresa Olesińska, Andrzej Rydzewski, Eugeniusz Metlerski i Edward Gospodarczyk. Siedzą: Irena Molendzka i Stanisław Przeniosło, wówczas kierownik Zakładu Metali Nieżelaznych.

Słowo wstępne	7
Zobaczyłem ją pod mikroskopem – Andrzej Rydzewski	9
Dziewczyny w kwasiakach – Irena Nowak-Urban	18
Naciskała nas Moskwa – Florian Śniezko	23
Wytaczał kierunki, korygował odchylenia – Władysław Skowronek	28
Wyplatę przynosili mi do domu – Kazimierz Wilanowski	34
Mrozek, coś ty narozrabiał? – Kazimierz Mrozek	41
Nie byliśmy pariasami – Stanisław Łukaszewicz	48
Nie chciałem ożenku z Asarco – Jan Sadecki	53
Ech, czego się miałem bać!? – Zdzisław Chamielec	61
Resory zdobywaliśmy za książki – Jerzy Chomenko	67
Nieraz zamarzały szachciaki – Antoni Piotrowski	73
Nadal czuli się górnikami – Kazimierz Plewa	78
Fedrował i boksował – Ryszard Tomczyk	83
Kiedy gra orkiestra dęta... – Tomasz Bączek	89
Kolędy na cenzurowanym – Piotr Strzelecki	95
Przez pana ta huta nie idzie... – Seweryn Pluciński	102
Prowadziłem najcięższy z oddziałów – Zbigniew Kur	112
Ludzie miedzi i Felliniego – Jerzy Tenerowicz	119
Gryzipiórki z PeBeKi – Stanisława Rosłań	128
Nie chciałem podawać żerdeń – Edward Piwowarczyk	133
Pięć minut przed lub dziesięć po – Zbigniew Maćkowiak	138
Na boisku i pod ziemią – Stanisław Samiec	144
Pokazać, co im w duszy gra – Wacław Janiszewski	149
Też przekakiwałem przez płot – Władysław Grocki	158
Czułem się górnikiem i poetą – Ryszard Gruchawka	168
Słownik terminów	172

Wstęp

To już kolejny, tym razem podwójny, zbiór wspomnień: Miedziorysy. Ludzie i tradycje Polskiej Miedzi. Wydawnictwo to jest efektem prowadzonej przez KGHM polityki społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR), która wyraża się troską o region, lokalne społeczeństwo i jego kulturową tożsamość.

Zarówno Stare, jak i Nowe Zagłębie Miedziowe (regiony o długoletniej historii górnictwa i hutnictwa rud miedzi), doczekały się wielu naukowych opracowań oraz wydawnictw o charakterze kronikarskim i dokumentacyjnym. Jednak w tego typu publikacjach zazwyczaj niewiele miejsca pozostaje na przybliżanie losów ludzi, którzy w okresie powojennym ten przemysł budowali. Staramy się, tę lukę wypełnić.

Nasi bohaterowie pochodzą z różnorodnych środowisk, ściągali tu z całego kraju, a nawet zza granicy; niektórzy mają za sobą dramatyczny bagaż doświadczeń wojennych. Są wśród nich pracownicy KGHM, a także ludzie spoza firmy, w różny sposób związani z Miedzią. Dla większości z nich Zagłębie Miedziowe jest spełnieniem życiowych oczekiwań. Chętnie opowiadają o okolicznościach podejmowania pracy na Miedzi i o związanych z nią trudach, o swoich sukcesach i porażkach. Nie unikają wspomnień o tragicznych zdarzeniach, które mimo upływu czasu, wciąż pozostają w pamięci i budzą emocje. Mówią także o swoich prywatnych sprawach: zakładaniu rodziny, dzieciach, wnukach.

Być może tu i ówdzie ich relacje będą odbiegały od oficjalnej faktografii. Niekiedy mogą się pojawiać pewne rozbieżności w odbiorze tych samych sytuacji przez różne osoby. Chodzi nam jednak o historię subiektywną, pisaną indywidualnymi biografiami ludzi, którzy budowali ten przemysł i jednocześnie, poprzez swoje doświadczenie oraz tradycje wyniesione z rodzinnych stron, wpływali na kształtowanie się społecznej tożsamości regionu. Wśród nich nie brakowało również pasjonatów; pracując zawodowo z powodzeniem rozwijali swoje zainteresowania: muzyczne, literackie, sportowe. Między innymi o takich niezwykłych postaciach przeczytacie Państwo w bieżącym numerze.

Zależy nam na tym, by publikowane w Miedziorysach wspomnienia dawały w miarę możliwości jak najpełniejszy, wielobarwny obraz historii Polskiej Miedzi, także z tej osobistej perspektywy. Dlatego nadal zachęcamy byłych pracowników KGHM do kontaktu z naszą redakcją i do podzielenia się swoimi historiami, przeżyciami oraz dokumentacją fotograficzną. A tym, którzy już to uczynili, serdecznie dziękujemy.

Redakcja

To naprawdę niesamowite uczucie, gdy wpatrując się w mikroskop, w danym momencie, jako jedyny na globie ziemskim wiem, że tam pod Polkowicami jest miedź! Od razu poleciałem, prawie na skrzydłach, do Wyżykowskiego i przekazałem mu tę wielką nowinę.

Andrzej Rydzewski, geolog-petrograf, współpracownik Jana Wyżykowskiego, współodkrywca złóż rudy miedzi. Kierownik Zakładu Metali Nieżelaznych w Państwowym Instytucie Geologicznym w Warszawie. Pracował w latach 1956 – 2002



Zobaczyłem ją pod mikroskopem

■ Należy pan do zespołu odkrywców złoża rudy miedzi. 22 lipca 1966 roku otrzymał pan państwową nagrodę pieniężną za to nadzwyczaj ważne dla polskiej gospodarki odkrycie. Jaką wartość miała ta nagroda?

Za całą kwotę kupiłem telewizor produkcji radzieckiej TEMP M-6 - innych w tym czasie na naszym rynku nie było. To był mój pierwszy w życiu telewizor.

■ A co sprawił sobie za te pieniądze szef waszego zespołu Jan Wyżykowski?

Jan był bardzo rodzinny i o ile mi wiadomo, przeznaczył ją na wsparcie rodziny. Pochodził spod Haczowa i tam kupił swoim krewnym kawałek ziemi. Był szefem zespołu, więc jego nagroda była nieco wyższa.

■ Kiedy i w jakich okolicznościach zetknął się pan po raz pierwszy z Janem Wyżykowskim?

W 1956 roku ukończyłem studia geologiczne na Uniwersytecie Warszawskim i zacząłem rozglądać się za pracą. Byłem w tej korzystnej sytuacji, że nie obowiązywał mnie nakaz pracy, ponieważ na czwartym roku ożeniłem się i mogłem na własną rękę szukać zatrudnienia. W tamtych czasach takich szczęściarzy, jak ja było niewielu, reszta z nakazami rozjeżdżała się po Polsce. Miałem dylemat, bo zamierzałem pracować w przedsiębiorstwie geologicznym, które zajmowało się poszukiwaniem piasków, żwirów - dobrze tam płacili. Jednocześnie kuśla mnie kariera naukowa. Zgłosiłem się więc do Państwowego Instytutu Geologicznego, żeby zorientować się, czy są tam możliwości pracy.



W pracowni miedziowej Jana Wyżykowskiego. Od lewej stoją: mistrz Wyżykowski, Janina Kołodziejczyk (sekretarka), Teresa Olesińska, Andrzej Rydzewski, Eugeniusz Metlerski i Edward Gospodarczyk. Siedzący to: Irena Molendzka i Stanisław Przeniosło, wówczas kierownik Zakładu Metali Nieżelaznych.

Akurat trafiłem na Jana Wyżykowskiego, który zastępował kierownika Zakładu Złóż Metali, chwilowo nieobecnego, z którym miałem rozmawiać. W skład tego zakładu wchodziła Pracownia Miedzi Jana Wyżykowskiego. Obecny był przy tej rozmowie również jeden z pracowników Edek Gospodarczyk, technik - później zrobił magisterium. Powiedział Wyżykowskiemu: „Szefie, zaśpiewaj, to się chłopak szybciej zdecyduje”. 1 Jan... zaśpiewał swoim pięknym lirycznym tenorem arię Nadira z opery „Poławiacze Perel” George’a Bizeta. Atmosfera tej pracowni tak mi się spodobała, że 3 września 1956 byłem już współpracownikiem Jana.

■ Często później śpiewał?

O tak, kochał śpiew. Chciał zostać śpiewakiem operowym, uczył się przed wojną w Krakowie u znanego artysty operowego Bronisława Romaniszyna. Choroba gardła pokrzyżowała mu plany. Musiał zrezygnować z kariery i po

wojnie poszedł na AGH, studiował górnictwo i geologię.

■ Ale wróćmy do pana życiorysu. Pochodzi pan z rodziny nauczycielskiej i zamiast kontynuować rodzinną tradycję, wybrał pan geologię.

Bardzo pociągała mnie astronomia, nie obawiałem się matematyki i fizyki. Okazało się jednak, że na Uniwersytecie Warszawskim astronomię studiuje się dopiero na trzecim roku, a ja już od razu chciałem wgłębiać się w tajniki konkretnej wiedzy, takiej jak powstanie czy budowa Ziemi. Ostatecznie, po przeczytaniu podręcznika wybitnego polskiego geologa profesora Jana Samsonowicza, wybrałem geologię. Do dziś trzymam tę książkę jak talizman.

■ Pana specjalność zawodowa - petrografia - dla laika brzmi dość zagadkowo.

Od razu wybrałem tę specjalizację. To nauka o skałach, o ich genezie, o budowie, składzie

i występowaniu poszczególnych minerałów. Petrograf badając skały, większość swego czasu spędza w laboratorium przy mikroskopie. Jan był geologiem regionalnym, próbki, które przywoził, ja analizowałem, badałem pod mikroskopem i potem szczegółowo opisywałem. Pracy miałem huk. Oczywiście w teren też jeździłem, bo tam zdobywałem masę dodatkowych ważnych informacji. Dla petrografa, poza tym co widzi w laboratorium pod mikroskopem, istotne są informacje z makroskopowego badania skały, m.in. ogląd miejsca, z którego pobrano próbki, sposób ich pobrania itp.

■ A jak wyglądały wasze wyprawy w teren? Np. gdzie spaliście?

Na początku ekipa poszukiwawcza Jana kwaterowała w Sieroszowicach i okolicy, ponieważ pierwsze odwierty wykonano w okolicy Gromadki, ale tam Wyżykowski nie trafił w metalonośną formację cechsztyńską. Dopiero dwa odwierty w Ruszowicach i Gaikach usytuowane były na obszarze cechsztynu i chociaż nie przyniosły spodziewanych rezultatów, jednak informację z miejsc sąsiadujących z tymi utworami były niezmiernie ważne przy wyciąganiu dalszych wniosków. Oba otwory uległy awarii nad złożem, które tam było. Początkowo znaleźliśmy gościnę u państwa Lelickich, w Sieroszowicach, gdzie dostawaliśmy słynne pierogi. Ale kiedyś Jan przyjechał do Polkowic spod Wałbrzycha, gdzie prowadził badania (tam też poznał swoją żonę Kazimierę). Hotelu nie było, więc o miejsca do spania rozpytywaliśmy ludzi. Pytając o nocleg, zaczęli dróżnika, który oczyszczał rów przy drodze i wyrwał chwasty. Kaczmarek się nazywał i pochodził ze Wschodu; od razu odezwała się w nim kresowa gościnność - zaprosił nas do swojego mieszkania. Pamiętam, odstąpił nam swoje małżeńskie łóżko, a z żoną urządzili sobie legowisko na podłodze w kuchni. Najszczęśliwszego z nas, Edzia, położyliśmy w środku łóża, a my z Janem spaliśmy po bokach. Nie było zbyt wygodnie, ale za to gospodarze stwarzali bardzo miłą atmosferę. Potem zawsze mogliśmy u państwa Kaczmarek przenocować, nawet nie liczyli na zarobek - byli ambitni, wzbranieli się, gdy chcieliśmy im płacić. O ile dobrze pamiętam, to był dom nr 6 w rynku, za kościołem. Bezinteresowność ludzi w tamtym okresie była naprawdę niesamowita, wzajemnie sobie poma-

gali, bo też biedniej się wszystkim żyło. Mieliśmy co prawda dietę: ówczesne 2,40 zł za dzień, ale to wystarczało ledwie na butelkę mleka i dwie kajzerki. Dlatego nikt nie ruszał się w delegację bez własnej walówki; zabierało się słoik smalcu, chleb i dało się na tym przeżyć. W rynku w Polkowicach była jedna knajpa, trochę za droga dla nas, prowadzili ją obcokrajowcy - Czesi czy Grecy? Czasem schabowego można było tam dostać. Oczywiście z gościny u państwa Kaczmarek nie mogliśmy stale korzystać. Ja znalazłem kwatery u państwa Bigosów, również bardzo gościnnych i miłych. Pan Bigos pracował w miejscowej mleczarni i przynosił mi czasami najsmaczniejszą kostkę masła pod słońcem. Takiego masła na prawdziwej kajzerce już nigdy potem nie jadłem.

■ A jak wyglądało „spotkanie” z Lubinem?

Gdy przenieśliśmy się z pracami w rejon Lubina, mieliśmy możliwość noclegu nad restauracją Dworcową, w pomieszczeniu szumnie nazywanym hotelem (restauracja koło dworca kolejowego jest do dzisiaj czynna, tylko dworca już nie ma). Panowały tam pionierskie warunki, często nie było wody. Chodziliśmy po nią, zimą do okręconej słomą (w obawie przed zamrożeniem) ulicznej pompy. Z komunikacją było kiepsko, więc przeważnie trzeba było polegać na własnych nogach. Np. do magazynu z rdzeniami - były to szopy usytuowane na tzw. Katandze - mieliśmy od dworca prawie dwa kilometry.

■ Skąd tak egzotyczna nazwa?

Z tą nazwą było tak: Noszenie plecaków z próbami i różnymi materiałami do hotelu i do dworca (jeśli jechaliśmy do Warszawy pociągami), nie należało do przyjemności. A że byliśmy młodzi i pełni humoru, toteż szybko nazwaliśmy ten magazyn Katangą. W nawiązaniu do prowincji Konga belgijskiego, wówczas ubogiej i nieszczęśliwej części świata, a przy tym jednym z najbogatszych w złoża obszarów miedziowych. Trwała tam wojna partyzancka, a miejscowi górnicy buntowali się przeciwko belgijskiemu zarządowi kopalni. Dało nam to możliwość porównywania się do nich, gdy dźwigaliśmy plecaki pełne prób. Chyba kolega Eugeniusz Metlerski pierwszy zastosował tę nazwę dla tego magazynu. Jan Wyżykowski nie był zadowolony z naszego poczucia humoru, ale

w końcu uległ, i też tej nazwy używał. I tak część dzielnicy Lubina została ochrzczona Katangą - stosowaną do dziś.

■ **W jaki sposób dostawaliście się w teren?**

Mieliśmy służbową, starą warszawę, która bez przerwy się psuła i nieraz trzeba było ją zostawić i dalej iść pieszo. Raz się popsuła w Zuko-
wie. Szliśmy w stronę Głogowa wtórując Janowi mniej lub bardziej udolnie, a on śpiewał arie donośnym głosem. Przed Głogowem dogoniła nas warszawa, zreperowana już przez Ola Kuratnika. To on zazwyczaj woził nas w teren. Te samochodowe wyjazdy były dla mnie kłopotliwe. Cała ekipa, oprócz mnie, strasznie kurzyła papierochy. Siadałem za kierowcą i pilnowałem, żeby okienko było cały czas uchylone. A oni się śmiali ze mnie, mówiąc: „Andrzej, nie pal, zdrowszy umrzesz...”. No i tak się stało, że tylko ja z tego zespołu żyję, jak ten Matuzale, który nie wie kiedy umrzeć. Edzio zmarł na raka płuc w wieku 45 lat, Gienek Metlerski miał chyba 56 lat, Olo - 62, jak ich chowaliśmy. Wyżykowski

też zmarł przedwcześnie, ale powody były inne. W zasadzie nie palił, ale gdy przyjeżdżaliśmy na otwór i wiertacz wyciągał paczkę papierosów, nie odmawiał, zapalał z grzeczności; bardzo szanował prostych ludzi. To samo z alkoholem. Choć może o tym nie będę mówił...

■ **Ale nam w tych rozmowach chodzi o szczerość, o prawdę, niezależnie jaka była. Wiadomo przecież, jak to kiedyś wyglądało. Nawet na dole - czego górnicy nie kryją - i wódka i papierosy były obecne...**

No, tak - o kielbasę było trudno, ale wódki nie brakowało i piło się dużo. Jak przyjeżdżaliśmy na otwór, to skrzynka wódki już stała przygotowana. Kierownik odwiertu przyjmował nas - że tak powiem - całym sercem. I oczywiście trzeba było trochę wypić. Wymigiwaliśmy się, ale przynajmniej ten pierwszy toast należało wychylić - za tę miedź, której wszyscy szukaliśmy. Ja jak najszybciej leciałem do skrzynek z rdzeniami i udawałem straszne zainteresowanie. Zaczynałem sprawdzać próbki, coś tam notować i po chwili



Michałów. Przy magazynie rdzeni wiertniczych. Odpoczynek podczas sortowania skrzynek z rdzeniami.

już nie zwracali na mnie uwagi. Potem mogłem bezpiecznie wrócić, nawet jak mi dali kielicha, nikt nie zauważał, kiedy wylewałem.

■ Pani Wyżykowska opowiadała kiedyś, że Urząd Bezpieczeństwa deptał wam po piętach.

Oj, deptał, deptał. My jechaliśmy jednym samochodem, oni za nami drugim. Prawdopodobnie byliśmy cały czas pod ich ostrzałem. Nie przejmowaliśmy się tym, robiliśmy swoje.

■ Nie było kłopotu z rolnikami? Wchodziliście przecież na ich pola, niszczyliście uprawy.

Nie spotkaliśmy się z wrogością, bo za szkody rolnicy dostawali rekompensata i zawsze z gospodarzem dodatkowo opijało się tę zgodę. Ludzie byli bardzo ciekawi, czego my szukamy. W Polkowicach magazynowaliśmy rdzenie w stodole, ale przedtem rozkładaliśmy je w rynku. Chodziłem z notesem i je opisywałem, zawsze w towarzystwie gapiów. Nie traktowali nas wrogo, wręcz przeciwnie, chętnie pomagali.

■ Ile w sumie otworów nawiercono w rejonie polkowicko-lubińskim?

W ciągu dwóch lat zbadałymi 24 odwierty. Jan Wyżykowski bardzo w to wierzył, że właśnie tutaj znajdzie złożo. Utwierdziły go w tym przekonaniu wyniki uzyskane z otworu sieroszowickiego i lubińskiego. Postawił śmiało, wręcz wizjonerską tezę, że pokłady rudy miedzi ciągną się co najmniej na przestrzeni 22 kilometrów. Nikt nie chciał w to uwierzyć, że w środku Europy znajduje się tak potężne złożo. Po stronie niemieckiej były pokłady z mineralizacją, w różnych czasach nawet eksploatowane, ale nie miały więcej niż 5 - 6 km. Naraził się wręcz na kpiny. Miał w tym czasie bardzo wielu przeciwników, którzy chcieli tę jego ideę utrzeć.

■ Kim byli ci przeciwnicy Wyżykowskiego?

W 1953 roku powstał Centralny Urząd Geologii, który przejął finansowanie badań geologicznych. W następnym roku Wyżykowskiemu skreślono 1500 metrów wierceń. Miał wstrzymać prace i kontynuować dopiero w kolejnym roku.

■ Czym uzasadniano tego rodzaju decyzje?

Miedzy innymi ekonomią prac wydobywczych. Przed wojną poszukiwani metali kolo-

rowych były prowadzone np. na Górnym Śląsku tylko do 400 m w głąb. Gdy Wyżykowski nawiercił „Sieroszowice” na 656 m głębokości, wtedy zaczęły się ostre dyskusje i kontrowersje. Wielu mądrych profesorów - autoritetów w tej dziedzinie uważało, że na tej głębokości nigdy nie będzie kopalni, a Wyżykowski tylko wyrzuca pieniądze w błoto. Niektórzy przeciwnicy powoływali się również na efekty badań przedwojennych niemieckich geologów. Niemcy wykonali trzy odwierty w okolicy Wrocławia i trzy pod Żaganiem i na ich podstawie doszli do wniosku, że tutaj, na Dolnym Śląsku, nie ma czego szukać. To był argument dla oponentów; skoro skrupulatni Niemcy nic nie znaleźli, to cóż może taki Wyżykowski? Zastugą Jana było to, że potrafił przełamać niechęć środowiska i przekonać do swoich racji, by uzyskać pozwolenie na kontynuowanie tych badań.

■ Co to znaczy odkryć złożo? Jakże trzeba przedłożyć dowody na to, że faktycznie tam się znajduje?

Żeby zostać odkrywcą złoża, nie wystarczy po nawierceniu kilku tam otworów powiedzieć, że w tym miejscu znajduje się ruda miedzi. Trzeba podać wszystkie parametry złoża: długość, szerokość, grubość, jakie minerały się w nim znajdują, w jakich koncentracjach, jak są rozlokowane, określić uziarnienie najważniejszych składników. Ponadto należy oszacować wielkość zasobów, dopiero wtedy można mówić o odkryciu złoża. Tu trzeba wspomnieć o pewnej sprawie: Otóż, niektórzy odkrycie złóż rudy miedzi przypisują prof. Józefowi Zwierzyckiemu. Jednocześnie ujmują zasług Wyżykowskiemu, mówiąc, że miał ułatwione zadanie, bo profesor Józef Zwierzycki postawił tezę o występowaniu rudy w obszarze przedśudeckim. Podobną tezę głosili też Antoni Graniczny i Adam Tokarski (co zostało uznane w państwowej nagrodzie z roku 1966), a także profesor Roman Krajewski. Wszyscy oni popierali program poszukiwań realizowany przez Jana Wyżykowskiego. Dziś wiemy, że program poszukiwań był właściwie zrealizowany, a samego odkrycia dokonał Jan Wyżykowski.

■ Kiedy uświadomił pan sobie, że trafiliście na miedzionośną „złotą żyłę”?

Kiedy w marcu 1957 roku Jan dostarczał mi sukcesywnie próbki z wykonywanego otwo-

ru w Sieroszowicach, wiedziałem, że pochodzą one z formacji utworów sprzyjających miedzi. W utworach tych badałem także napotkaną wówczas mineralizację siarczkową. Jednak cykl badawczy wymagał potwierdzenia moich wniosków analizami chemicznymi, aby otrzymać od-

■ A gdyby się pan pomylił?

Skompromitowałbym się jako fachowiec wykształcony na uniwersytecie. Przy okazji ucierpiałby autorytet Wyżykowskiego. Mogłoby to również zaważyć na dalszych poszukiwaniach i na przyznaniu na ten cel funduszy.



Mikroskop był podstawowym narzędziem pracy Andrzeja Rydzewskiego.



powiedzi na zasadnicze pytania: jaki to typ skały, czy ta mineralizacja faktycznie jest miedziowa i w jaki sposób występuje? Cały miesiąc trzeba było czekać na wyniki z laboratorium chemicznego. Pamiętam ten stres...

■ Z jakiego powodu ten stres?

Mieliśmy mikroskopy radzieckie, niezbyt doskonałe, nie wszystko można było wyjaśnić przy ich pomocy. Mimo nadzwyczajnej staranności mogłem się pomylić, np. chalkozyn - minerał miedzi, omyłkowo wziąć za galenę - minerał ołowiu. Mówiąc, że widzę siarczki miedzi, podejmowałem ważką decyzję, rozbudzałem nadzieje, że miedź jest, jeszcze zanim analizy chemiczne ostatecznie potwierdziły ten fakt.

■ Jakie to uczucie, poczuć się nagle odkrywcą?

Wspaniałe! To naprawdę niesamowite uczucie, gdy wpatrując się w mikroskop, w danym momencie, jako jedyny na globie ziemskim posiadam jakąś wiedzę i wiem, na przykład, że tam pod Polkowicami jest miedź! Od razu poleciałem, prawie na skrzydłach, do Wyżykowskiego i przekazałem mu tę wielką nowinę.

■ Czy nie miał pan w trakcie prac poszukiwawczych chwil zwątpienia?

Nigdy. To było trudne, ale jednocześnie niezwykle pasjonujące zajęcie. Mnie to wszystko bardzo interesowało, studiowałem z myślą o zrobieniu doktoratu i kariery naukowej. W zespole była wspaniała atmosfera, rozumieliśmy

się. Wychodząc z pracy i idąc do swoich domów, wciąż dyskutowaliśmy o miedzi. Mieliśmy zaledwie dwa lata na udokumentowanie złoża - to bardzo mało czasu. Ciężko pracowaliśmy opisując wyniki badań, zarywaliśmy noce. Jan widząc, że nie wytrzymujemy, przysypiamy, obiecywał nam, że jak już oddamy tę dokumentację, to pojedziemy nad rzekę z rodzinami, gdzie zielone lasy i będziemy oglądać nasz piękny kraj. Tak trochę na patriotyczną nutę zachęcał, choć wcale nie trzeba było nas popędzać. Oczywiście nigdy nie pojechalibyśmy razem, bo nie było na to czasu, zawsze goniliśmy terminy, trzeba było się śpieszyć, kontynuować jedne badania i równocześnie prowadzić inne.

■ Jednak zdążyliście na czas z dokumentacją?

Dokumentację oddaliśmy 4 kwietnia 1959 roku. Spóźniliśmy się cztery dni, bo termin przypadał na wtorek - ostatniego dnia marca, a my, przekazaliśmy opracowanie w sobotę, dzięki temu zyskaliśmy dodatkowe dni i noce do pracy. Ale z tego powodu spotkała nas karczemna awantura. To było żenujące, staliśmy na baczność, a nasz szef, dyrektor Państwowego Instytutu Geologicznego, rugał nas za opieszałość i opóźnienie. Oczywiście dokumentację z odkrycia złoża miedzi jeszcze tego samego dnia podpisał i przekazał do Centralnego Urzędu Geologicznego.

Biedny Wyżykowski zbierał niezasłużone cięgi. Niezadowolone szefów i władzy brał na

siebie, nas osłaniał. Mogłem spokojnie robić doktorat i pasjonować się tym, co widzę pod mikroskopem. Doktorat na temat badania petrograficznego skał i genezy ich mineralizacji obroniłem w 1965 roku, a Jan swój temat rok wcześniej. To były dwa pierwsze doktoraty z tego terenu tematycznie związane z miedzią.

■ Co działo się dalej po złożeniu dokumentacji?

Nasiliły się kontrowersje w środowisku naukowym i w kręgach władzy. Roman Krajewski był tym ważnym w kraju profesorem, który Wyżykowskiego popierał, uważał, że trzeba mu pozwolić działać. Bardzo sceptycznie na możliwości zagospodarowania złoża zapatrywała się część profesorów, zwłaszcza z AGH. A ja przychyliam się obecnie do poglądu, że to właśnie pan Gomułka trzasnął pięścią w stół i powiedział: „Nie filozofować, tylko budować kopalnię!” I to dopiero popchnęło sprawę do przodu.

■ Jednak po latach pojawiły się głosy, że to Niemcy odkryli złoże.

Do Głosu Lublińskiego napisałem dwa artykuły wyjaśniające ten temat. Ktoś chciał chyba zabłysnąć jakąś nową tezą, rozpowszechniając błędne, niekompetentne, wręcz złośliwe „rewelacje”. Nawet jak się wykona kilka wierceń, nikt nie jest w stanie ukryć wyników, tym bardziej gdyby dla Niemców okazały się korzystne. Pozostałby po nich choćby jakiś ślad w publikacjach czy archiwach.

Obchody 40-lecia odkrycia złóż rudy miedzi w Instytucie Geologicznym. Dr Rydzewski rozmawia z profesorem J. Rentsch'em - znanym specjalistą od złóż miedzi z Instytutu Geologicznego w Berlinie.



TABELA WYGRANYCH

loterii fantowej na pomnik
dr JANA WYŻYKOWSKIEGO
odkrywcy Wielkiej Polskiej Miedzi

1. radiomagnetofon stereo RMS-451	— 23.000 zł szt.	1
2. telewizor turyst. „Wela”	— 19.700 zł szt.	2
3. maszyna do szycia „Łucznik”	— 17.000 zł szt.	2
4. namiot „Wars 4”	— 16.750 zł szt.	3
5. magnetofon „ZK-140T”	— 14.300 zł szt.	1
6. akumulator 60 Ah	— 8.100 zł szt.	2
7. rower składany „Jubilat”	— 7.500 zł szt.	5
8. rower składany „Wigry”	— 7.000 zł szt.	10
9. namiot „Narecz 3”	— 6.500 zł szt.	5
10. pralka wirnikowa	— 6.500 zł szt.	6
11. odkurzacz Typ „1000DL”	— 5.450 zł szt.	5
12. sokowirówka	— 3.900 zł szt.	3
13. odkurzacz „Zelmer”	— 3.450 zł szt.	15
14. odkurzacz „Alfa K-3”	— 2.950 zł szt.	10
15. robot kuchenny	— 2.550 zł szt.	15
16. odbiorniki radiowe turystyczne:		
— „Dorota”	— 2.550 zł szt.	2
— „Monika”	— 2.550 zł szt.	2
— „Wega”	— 1.600 zł szt.	5
— „Nejwa”	— 1.200 zł szt.	5
17. młynek do kawy	— 1.100 zł szt.	20
18. obuwie „adidas”	— 725 zł 50 par	

Termin losowania podany zostanie w prasie.

Dochód z loterii fantowej, zorganizowanej przez Związek Zawodowy Górników w Państwowym Instytucie Geologicznym, zasilił fundusz budowy pomnika Odkrywcy złóż rudy miedzi.

■ Odejście Wyżykowskiego w 1974 roku było nagłe. Czy coś przepowiadało, że tak się stanie?

Poprzedniego dnia pożegnaliśmy się normalnie. Jak zwykle wychodziliśmy z instytutu całą pracownią i człapaliśmy wzdłuż Wiśniowej i Rakowieckiej, wciąż jeszcze dyskutując o pra-

cy. Rano telefon: Jan nie żyje... Był to dla nas wielki szok. Wyżykowski stał się ofiarą nieprzemyślanych reorganizacji. Nagle ktoś w Centralnym Urzędzie Górniczym zdecydował, żeby wszystkie materiały związane z miedzią - nie wiadomo z jakiego powodu - przenieść do Wrocławia, podczas gdy cała kadra specjalistów od tego tematu i materiały do badań znajdowały się w Warszawie. I co gorsza - nikt nie powiedział Wyżykowskiemu, czym się dalej ma zajmować. Potraktowano go nieludzko, nie przeżył tego upokorzenia.

■ A może został tak potraktowany z powodu swojej niechęci do partii?

Nie wiem, czy były jakieś naciski, żeby wstąpił do partii. Niewykluczone, bo ja dwukrotnie dostawałem do ręki statut PZPR, żeby się go nauczyć. Ale się nie nauczyłem. Będąc adiunktem kierowałem przez pięć lat 62 osobowym personelem Zakładu Metali Nieżelaznych w Instytucie i byłem źle widziany jako bezpartyjny na takim stanowisku. Ale my byliśmy fachowcami i nie musieliśmy się podierać partii.

■ Mieszkając w Warszawie, przez całe zawodowe życie, czyli przez 46 lat, był pan związany z Miedzią. Jak często był pan w tutejszym zagłębiu?

Chyba miliony razy... I nadal tu bywam, teraz najczęściej okazjonalnie, np. na obchody rocznicowe, barbońkowe, sesje naukowe. Zawsze będąc w Lubinie, składałem kwiaty pod pomnikiem Jana Wyżykowskiego. Wzniesiono go za publiczne pieniądze, ale my w instytucie też mieliśmy

w tym swój udział. Zorganizowaliśmy w ramach naszego Związku Zawodowego Górników loterię fantową, z której całkowity dochód przekazaliśmy na budowę pomnika.

Przyjeżdżałem, gdy trzeba było rozwiązywać problemy, np. związane z zagrożeniem wod-

nym kopalni Polkowice. Współpracowałem m.in. ze Staszkiem Downorowiczem, z Kazimierzem Dubińskim, Andrzejem Banaszakiem i Wiesławem Szarowskim. Również wspólnie pisaliśmy artykuły do monograficznych opracowań geologicznych złóż, do pism branżowych, przygotowywaliśmy referaty oraz udzielaliśmy konsultacji naukowych. Pilotowałem delegacje zagranicznych geologów; wszystkich frapowało, jak takie potężne złożo w środku Europy mogło się uchować, jaka jest jego budowa, mineralizacja i w jaki sposób Jan Wyżykowski je odkrywał.

■ Był pan pochłonięty pracą. Jak pan godził obowiązki zawodowe z życiem rodzinnym?

Krystyna, moja żona, ma tę samą specjalizację co ja. Pracowała 10 lat w Państwowym Instytucie Geologicznym i w B. G. „Geonafra” przy poszukiwaniach ropy i gazu. Dlatego rozumiała moją sytuację. Mimo zapracowania starałem się mieć czas dla najbliższych. Latem jechaliśmy z dziećmi nad morze do Kołobrzegu. Jednak - przyznam - tam dopadała mnie, poza miedzią, druga namiętność - łowienie ryb. Żona bardzo narzekała na to moje zajęcie, bo zostawała z Ewą i Pawłem na plaży, a ja pakowałem wędkę i jechałem o trzeciej rano 40 km w głąb łądu, wzdłuż Parsęty.

Wciąż łowię. Poprzedni sezon zakończyłem dopiero 3 listopada. Nie tylko łowię, ale także sam oprawiam ryby i przyrządzam na różne sposoby. Ostatnio często z powodzeniem łowię w Wiśle, gdyż jakość wody w rzece się na tyle poprawiła, że ryby wróciły.

■ Czy po tak intensywnym życiu zawodowym nie odchorował pan przejścia na emeryturę?

Na emeryturę przeszedłem w 2002 roku. Przez cały kolejny rok chodziłem do pracy dokładnie na tę samą godzinę, nie biorąc żadnej pensji. Chciałem tylko dokończyć badania i przygotowywałem artykuły do publikacji. Później musiałem pokój opuścić, bo w gmachu trwał generalny remont. Część materiałów zabrałem do domu, część z nich przekazałem do muzeum w Lubinie i w Sieroszowicach, m.in. brudnopisy map Jana Wyżykowskiego z jego autografami.

Dziś, gdy sięgam pamięcią do tamtych czasów, to wiem, że miałem w życiu zawodowym dużo szczęścia. Praca nad zagadnieniami miedziowymi, które podejmowałem, była bardzo



Przy pomniku Jana Wyżykowskiego. Od lewej: Tadeusz Zastawnik - pierwszy naczelny dyrektor KGHM, Kazimiera Wyżykowska - żona odkrywcy, Włodzimierz Mięgowicz - dyrektor i budowniczy kopalni: Lubin, Rudna i Sieroszowice oraz Andrzej Rydzewski - współodkrywcą złóż miedzi.

interesująca. Żeby dogłębnie zbadać zauważone problemy, mogłem sam dla ciekawości wyznaczać sobie tematy do badań. To wielkie szczęście, móc pracować od początku zgodnie ze swoją specjalnością i z zespołem wspaniałych przyjaciół. Podobnie przyjaznych ludzi spotykałem tu, na Miedzi. Ziściły się moje wyobrażenia o tym zawodzie. Nigdy nie musiałem zarabiać na chleb w inny sposób, tylko zajmować się tym, co mnie pasjonowało. Widziałem jak odkrycie Wyżykowskiego wpłynęło na rozwój regionu miedziowego. Jestem przekonany, że młodzież ze szkół imieniem Jana Wyżykowskiego: w Polkowicach, Haczowie, Głogowie, Lubinie, Chocianowie, Krotoszycach, Wilkowie zawsze będzie czciła Jego pamięć. ■

W ramach profilaktyki dostawaliśmy w hucie mleko. Sporo zostawało, więc zaczęliśmy wyrabiać z niego twarożek. Ktoregoś dnia kilka porcji zawieszonych w woreczkach obciekało z serwatki, gdy do laboratorium wszedł dyrektor. Wystraszone zagadywaliśmy go, żeby niczego nie zauważył, jednak zauważył i ku naszemu zaskoczeniu udzielił nam tylko dobrej rady: „Dziewczyny! Twarożku tak się nie robi... Trzeba go ścisnąć dwiema deseczkami!”.

*Irena Nowak-Urban,
kierowniczka laboratorium
Fabryki Kwasu
Siarkowego Huty
Miedzi Legnica
i Centrum Badań
Jakości.
Pracowała w latach
1959 – 2000*



Dziewczyny w kwasiakach

Irena Nowak-Urban uczyła się w legnickim „spożywcaku”. Do technikum kilka lat dojeżdżała tramwajem. Ta umiejętność, bo tak można to nazwać, przydała się jej, kiedy znalazła zatrudnienie w legnickiej hucie. Wtedy nieraz podróżowała do pracy na stopniach „jedyńki”. Prawdziwa próba sił przychodziła, gdy trzeba było w takiej pozycji czekać na mijance, aż przejedzie tramwaj z naprzeciwka.

■ Po pracę z obstawą

Irena Nowak-Urban ma status pionierki Legnicy, ale można też powiedzieć, że Huty Miedzi. Do miasta przyjechała w 1946 roku. Nic dziwnego, że po skończeniu szkoły średniej, zatrudniła się w hucie, bo był to jeden z pierwszych zakładów pracy w mieście. Pamięta, że na rozmowę z przyszłym pracodawcą poszła z „obstawą”. Wystraszona zabrała ze sobą szwagra

odważniejszego od niej i bardziej wygadanego. Kierownik po rozmowie z nimi stwierdził, że pani Irena w zakładzie się przyda i tak w maju 1959 roku została pracownicą Laboratorium Centralnego (po 10 latach przeniosła się do laboratorium Fabryki Kwasu Siarkowego). Już dwa miesiące później oglądała rozruch huty po rozbudowie i modernizacji.

Po jakimś czasie okazało się, że praca w laboratorium wymaga sporej wiedzy z chemii. Zdecydowała się więc na naukę w Jeleniej Górze, w dwuletnim technikum, w którym nadrobiła wiedzę z technologii przemysłu chemicznego. Umiejętności wyniesione ze szkoły bardzo się przydały później w pracy laborantki. Ponieważ zakładowi potrzebna była wykształcona kadra, szefostwo chętnie kierowało pracowników na wyższe uczelnie. Irena Nowak zaczęła studiować chemię, ale wieczorowy tok na uniwersytecie okazał się zbyt trudny i męczący.

– Jeździłam pociągiem do Wrocławia pięć razy w tygodniu, prosto z pracy. Wraciałam do domu o północy, a już rano musiałam być w laboratorium. Zachorowałam, bo nie wytrzymałam tego maratonu – wspomina pani Irena, ale dodaje zaraz, że potem wiele nauczyła się od swoich przełożonych.

Miała, jak mówi, szczęście do szefów. Przez lata funkcję kierownika laboratorium pełnił Tadeusz Kobos, który studiował chemię w Moskwie. Był typem naukowca, mołem książkowym, tłumaczył z rosyjskiego metody pracy chemików, wprowadzał nowości, udoskonalał analizy.

Natomiast Jacek Cwynar, kierownik Działu Kontroli Jakości, był znany ze sprawności organizacyjnej i miał jeszcze jedną cenioną przez pracowników zaletę – dbał o ludzi. Świętymi przełożonymi, jak zapewnia pani Irena, byli także Jerzy Doniec i Elżbieta Sznajder.

■ Wspinaczka na komin

Huta stale się rozbudowywała i przybywało obowiązków. Laborantki pracowały w ruchu ciągłym, w trzech zmianach. Co dwie godziny, przez siedem dni w tygodniu wykonywały mnóstwo analiz próbek rudy miedzi, żużła szbowego, kamienia miedziowego, koncentratów. Oznaczały głównie zawartość miedzi i żelaza. Robiły też analizy próbek kwasu siarkowego. Wszystko po to, by odzyskać jak najwięcej czystej miedzi i zagospodarować dwutlenek siarki.

– Pracowałyśmy w bardzo trudnych warunkach, w porównaniu z dzisiejszymi. W pomieszczeniach stały kuchenki gazowe. Badany materiał stawialiśmy na gorących płytach, żeby się rozpuścił, po czym włączaliśmy wyciągi, które miały pochłaniać opary. Jeśli było dużo próbek do przebadania lub wiał niekorzystny wiatr, wszystko szło na salę. Najtrudniej było, gdy rozpuszczaliśmy próbki miedzi w tak zwanej wo-



W laboratoriach Huty Miedzi Legnica pracowały przede wszystkim kobiety. Przeprowadzały mnóstwo analiz rozmaitych próbek, by można było odzyskać jak najwięcej miedzi, oczyścić i zagospodarować kwas siarkowy.

dzie królewskiej, bo wtedy wydzielaly się opary silnie trujących tlenków azotu. Wówczas laborantki wystawiały próbki za okna, na parapet. Podczas analiz zdarzało się, że niektóre podtruły się siarkowodorem. Trudności na tym się nie kończyły, bo gdy czasem dochodziło do awarii, aby pobrać próbkę gazu, trzeba było wejść na komin – wspomina pani Irena.

■ Wyskakiwał Mendelejew

Laborantki pracowały w białych fartuchach, z których w krótkim czasie zostawały tylko strzępy, a wszystkiemu winien był kwas. W rajstopach żadna kobieta do fabryki nie przychodziła. Kiedy pracownice szły na wydziały huty, ubierały się w tak zwane kwasiki, to jest specjalne kwasoodporne ubrania. Probki kwasu siarkowego pobierały bezpośrednio z rurociągów, odkręcając w nich zawory. Niebezpieczne było to zwłaszcza nocą, bo w ciemnościach nie mogły dostrzec kwasu, który niekiedy rozlewał się w czasie awarii.

– Pewnej nocy jedna z pracownic niosła próbki kwasu siarkowego, gdy zza rogu niespodziewa-

nie wyszedł hutnik. Dziewczyna przestraszyła się i trochę cieczy wylała sobie na twarz. Dlatego, kiedy zostałam kierowniczką laboratorium, walczyłam, żeby kobiety nie pobierały próbek i dopięłam swego – wspomina z satysfakcją pani Irena i dodaje:

– Gdy po pracy czekałyśmy na przystanku na tramwaj, panie zatrudnione w dyrekcji często się od nas odsuwały. Ponoć byliśmy przesiąknięte oparami. Kiedy odchodziłam na emeryturę, warunki pracy w laboratorium znacznie się poprawiły. Nawet hodowaliśmy w nim piękne kwiaty, które przed laty w ogóle nie chciały tu rosnąć, a przykre zapachy też poszły w zapomnienie. Analizy próbek badanych materiałów wyglądały zupełnie inaczej – wkładaliśmy je do komputera i „wyskakiwał” nam cały zawarty w nich „Mendelejew”. Znaczna poprawa nastąpiła zwłaszcza po zamontowaniu instalacji Solinox. Zaczęliśmy produkować czysty kwas siarkowy, na który znajdowali się nabywcy także z zagranicy. Dawniej był udręka, teraz huta zarabia na jego produkcji – wyjaśnia Irena Nowak-Urban.

■ Matżeństwa wypróbowane

Kiedy zatrudniła się w laboratorium, odmienne były nie tylko warunki, ale i atmosfera samej

pracy. Jak przekonuje, dawniej ludzie utrzymywali ze sobą bliskie kontakty. Dzień Kobiet był w hucie prawdziwym świętem. Dziewczyny przychodziły do pracy wystrojone i szykowały się do imprezy już od rana, nie tylko zresztą one. W ogromnej sali nad stołówką organizowano spotkanie pracowników. Każdy wydział zasiadał przy swoim stole. Fundowano poczęstunek, były tańce, a nawet koncerty. Kobiety dostawały upominki. Początkowo kosmetyczki, lusterka, a w czasie gdy niewiele można było kupić w sklepach, uszczęśliwiano je rajstopami.

Nierzadko na imprezie w hucie się nie kończyło i rozbawieni pracownicy szli razem do restauracji, chętnie do lokalu nad legnicką Wenecją czy do kawiarni WZ. Czasem spotykali się w klubie Hutnik, bo tam zawsze coś ciekawego się działo. Organizowano zabawy, artyści występowali dla hutników.

– Pamiętam, że jednego wieczoru specjalnie dla nas śpiewała Maryla Rodowicz, innego – występował Bogusław Kobiel. Później ten klub jakoś zmarnowali – ocenia pani Irena.

Pracownicy huty od czynów społecznych na ogół się nie wykręcali. Układali między innymi płyty chodnikowe na ulicy Żłotoryjskiej w Legni-



W latach 60. przy Hucie Miedzi Legnica działała Terenowa Obrona Przeciwołtnicza. Kobiety tworzyły sekcję ratownictwa - startowały w zawodach międzyzakładowych i wojewódzkich. Na zdjęciu: eliminacje wojewódzkie w Świdnicy. Rok 1964.



Irena Nowak-Urban przez 10 lat pracowała w Laboratorium Centralnym HM Legnica, potem przeniosła się do laboratorium Fabryki Kwasu Siarkowego.

cy, sadzili drzewa koło huty, pracowali też na ulicy Piastowskiej i Pocztowej, siali trawę w parku. Po czynie społecznym szli razem do jakiejś kawiarni, podobnie zresztą jak po pochodach 1-majowych. Czasem w nagrodę za dobrą pracę wyjeżdżali gdzieś dalej. Jednego roku zwiedzili pociągiem przyjaźni Pragę, Budapeszt, Złote Piaski, Sofię, Bukareszt. Każdy zakład kombinatu podróżował swoim wagonem. Kontaktów między ludźmi było sporo, i nic dziwnego, że zawiązało się w hucie wiele trwałych związków.

– Gdy panowie przynosili do laboratorium próbki, dziewczyny wpadały im w oko i rodziły się z tego „wypróbowane” małżeństwa. Na przykład

taka Kryśka Budzińska wyszła za hutnika. Wiesia, która potem wyjechała do Stanów Zjednoczonych, też związała się z pracownikiem huty. Mąż Jadzi Włodarczyk pracował na wydziale ciągłego odlewu. Krystyna Grogorowicz także została „hutnicową”, a Jadzia Molek-Kieźkowska znalazła męża w Legmecie.

■ Na sylwestra do huty

Swego czasu laborantki podczas karnawału organizowały w hucie „zabawy dochodowe” i sprzedawały legniczanom bilety na imprezy, które organizowano w Domu Hutnika. Same przygotowywały bigos, barszcz, jaja na kilka sposobów, do tego kawę i wino. Same też tę imprezę obsługiwały, podając do stołu. Dochód był skrupulatnie notowany, a pieniądze ze sprzedaży biletów szły zwykle na sfinansowanie wycieczek wydziałowych, sobotnio-niedzielnym w pobliskie góry, do Polanicy Zdrój czy Dusznik Zdrój.

– Nic nas te wycieczki nie kosztowały, wszystko mieliśmy wówczas opłacone, a nawet starczało na kieszonkowe – mówi z zadowoleniem pani Irena. – Pamiętam czasy, kiedy w hucie organizowano zabawy sylwestrowe. Cieszyły się one wśród legniczan niemalym powodzeniem. Gdy jechałam na ranną zmianę do laboratorium, rozbawieni sylwestrowicze wracali o świcie na piechotę do domów, robiąc sobie przy okazji noworoczny spacer przez lasy Złotoryjski. My tymczasem zabierałyśmy się do swojej codziennej pracy.

■ Firmowa przypalanka

– W ramach profilaktyki dostawałyśmy w hucie mleko. Sporo zostawało, więc zaczęłyśmy wyrabiać z niego twarożek. Któregoś dnia kilka porcji zawieszonych w woreczkach obciekało z serwatki, kiedy do laboratorium wszedł dyrektor. Wystraszone zagadywałyśmy go, żeby niczego nie zauważył, jednak zauważył i ku naszemu zaskoczeniu skwitował to tylko dobrą radą: „Dziewczyno! Twarożku tak się nie robi... Trzeba go ścisnąć dwiema deseczkami!”. W magazynie odczynników chemicznych Laboratorium Centralnego stał 25-litrowy balon z 96-procentowym spirytusem, który nie zawsze służył do celów służbowych. Kiedy laborantki miały trudny dzień, zdarzało się, że „pociągnęły z balona” i robiły firmową przypalankę. Sypały cukier do kubeczka, stawiały go na gorącej płytce i przygotowywały karmel. Potem rozpuszczały

wszystko w wodzie i spirytusie - tym sposobem napitka była gotowa.

- Czasami piekłyśmy ciasta w piecykach laboratoryjnych. Kiedy zbliżała się jakaś uroczystość, to odchodziły takie torty, że hej! Chciało się wówczas iść do pracy, bo panowała w niej domowa atmosfera - wspomina pani Irena z rozrzewnieniem.

Zapewnia też, że służbowe obowiązki nigdy nie ucierpiały, bo laborantki tak się podzieliły zadaniami, że wszystkie analizy zrobione były na czas i nie dochodziło do żadnych sporów.

■ Byłam trucielką

- Szef nazywał mnie czasem trucielką, bo ciągle coś od niego chciałam. Taki miałam paskudny charakter, że od rana mu trulałam. Czegoś się domagałam, stale coś wymyślałam, usprawniałam, żeby praca w laboratorium Fabryki Kwasu Siarkowego i Elektrociepłowni była jak najłżejsza. W ramach reorganizacji połączyłam pracę dwóch wydziałów w jednym laboratorium wyposażonym w nowoczesną aparaturę. Wywalczyłam dla laborantek dożywianie, aby mogły zjeść dobry bigos czy kielbasę. Pamiętam, że początkowo przebiegałyśmy się w służbowe ubrania w korytarzu, obok stojących 20-litrowych butli z kwasem siarkowym. Potem, po generalnym remoncie, powiększyła się powierzchnia naszego laboratorium, wyszukałam przyzwoite meble, zakupiłam porządne kwasoodporne posadzki antypoślizgowe. Warunki pracy tak się poprawiły, że przeprowadzano do nas różne delegacje, żeby się pochwalić - opowiada Irena Nowak-Urban.

W ciągu wielu lat pracy pani Irena miała okazję widzieć, jak kombinat się rozbudowuje i rozwija.

-To u nas uczyły się przyszłe laborantki Huty Miedzi w Głogowie. W budynku Laboratorium Centralnego zaczynał pracę Zakład Doświadczalny, a jego przyszli pracownicy stawiali u nas pierwsze kroki. Potem z ZD powstała samodzielna jednostka, która dzisiaj podlega Instytutowi Metali Nieżelaznych w Gliwicach. W 1996r. powstała w KGHM spółka Centrum Badań Jakości z zarządem w Lubinie, w skład której weszły laboratoria zakładów KGHM i to z tej spółki przesłam na emeryturę. Dzisiaj, chociaż nie pracuję, wcale się nie nudzę. Działam społecznie w Towarzystwie Miłośników



Warunki pracy w laboratorium stale się poprawiały. Gdy pani Irena przechodziła na emeryturę, skład próbek badał już komputer, po czym na jego ekranie „wyskakiwał Mendelejew”.

Legnicy, Lidze Obrony Kraju, Stowarzyszeniu Emerytów i Rencistów byłych Pracowników KGHM, a także w Stowarzyszeniu Dzieci Wojny w Polsce - kończy Irena Nowak-Urban. ■

W latach 60. współpracowaliśmy nie tylko z Rosjanami, lecz także z bratnią wówczas Koreą Północną. Z ZSRR sprowadzaliśmy maszyny wyciągowe i montowaliśmy je w szybach nowego zagłębia miedziowego. Gdy się wysłużyły, wysyłaliśmy urządzenia do Korei Północnej, gdzie pracowały do śmierci technologicznej.

Florian Śnieżko, szef produkcji w KGHM, w Zakładzie Budownictwa Górniczo-Hutniczego.



30.04.27 - WRZ
data i miejsce urodzenia
STOJAN GÓRNIC
INŻ. GÓRNICZ

Naciskała na nas Moskwa

Do zagłębia miedziowego przyjechałem na początku lat 60., zostałem pracownikiem PBKRM, które wykonywało prace na zlecenie kombinatu. Początkowo prowadziło budowę w Lubinie, następnie otworzyło tu oddział, a po tym, jak niemal cały potencjał zaangażowaliśmy w prace dla KGHM, wyrosło na potężne przedsiębiorstwo i się usamodzielniało. Kiedy przyjechałem do Lubina, zakład zatrudniał tu około 200 osób, a gdy odchodziłem na emeryturę, pracowało w nim blisko 2,5 tysiąca ludzi. W latach 70. weszliśmy w struktury kombinatu. Wkrótce zdałem egzamin z prawa górniczego w Urzędzie Górniczym we Wrocławiu i dostałem zatwierdzenie na sztygara objazdowego. Przysługiwał mi już wtedy górniczy mundur. Do dzisiaj go przechowuję.

Pierwszą osobą, z którą współpracowałem i z czasem ją zastąpiłem, był inżynier Bejda, solidny człowiek z charakterem. Po wojnie ciążył na nim wyrok śmierci, potem został zrehabilitowany. W tym czasie mieszkaliśmy na stałe we Wrocławiu. Raz w tygodniu dojeżdżałem do

rodziny motocyklem - Jawą, a brygady z Górnego Śląska zawożono do domów samochodem ciężarowym. Ludzie siedzieli na ławkach ustawionych na pacy osłoniętej plandeką. W takich warunkach podróżowali nawet zimą.

■ Czerwone i białe koszary

W Lubinie początkowo mieszkaliśmy w hotelu, który mieścił się w barakach na rogu ulic Kościuszki i Skłodowskiej-Curie. Czego w nich nie było! Miejsca noclegowe, biura, magazyny. Potem moja firma wyremontowała „czerwone koszary”, które znajdowały się w sąsiedztwie dzisiejszego Urzędu Powiatowego. Żołnierze armii radzieckiej wyprowadzili się z nich na początku lat 60., zostawiając po sobie ruiny. W budynkach brakowało podłóg, bo wojskowi palili deskami w piecach, by zimą ogrzać pomieszczenia. Kanalizację zapchalili łokami z czołgów, które tu przetrzymywali. Długo ją potem udrażnialiśmy. Po remoncie bazę utworzyło tu między innymi Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń. W budynkach powstało zaplecze, magazyny,

baza samochodowa. Moja firma też ulokowała się w tych obiektach. Z czasem otwarto w nich hotel. Tu warunki sanitarne były trochę lepsze niż w barakach, ale dla odmiany spaliśmy w 8- i 12-osobowych pokojach, na żelaznych łóżkach. Z tych czasów pamiętam, jak nieraz główny mechanik z firmy PBK Lubin wpadał do nas nocą z latarką w rękę, świecił po twarzach i wyszukiwał pracowników potrzebnych do usuwania awarii. Jechaliśmy wtedy na miejsce z lampami górniczymi i latarkami, i w takich warunkach, w pośpiechu naprawialiśmy, to co trzeba.

Natomiast remontowane „białe koszary” przy ul. Skłodowskiej-Curie sukcesywnie zasiedlała dyrekcja kombinatu. Rosjanie opuścili też domki jednorodzinne na dzisiejszym osiedlu Polne, i Katangę, ale po latach należało im to zrekompensować i moja firma - zobowiązana przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą - postawiła im w Legnicy dwa budynki mieszkalne.

■ W chruszczówkach

W latach 60. Lubin zaczął się szybko rozwijać. Budowano wiele domów. Jako jeden z pierwszych, w 1963 roku, dostałem mieszkanie przy dawnej ulicy Krzywoustego, dzisiejszym Placu Wolności. Postawiono tu kilka bloków z wielkiej płyty i nazywano szumnie punktowcami. Warunki w nich były niezłe w porównaniu z tak zwanymi chruszczówkami - oszczędnościowymi wersjami mieszkań, które stały przy ul. Mickiewicza. Niewiele tu było wygod i małe metraże. Na szczęście ta moda w budownictwie szybko minęła.

Po latach poprawiłem sobie warunki mieszkaniowe, wprowadzając się do domku jednorodzinnego. Pieniądze na jego budowę uśkułałem z samych tylko nagród za wnioski racjonalizatorskie. Z czasem zbudowałem też domek letniskowy w Ślawie Śląskiej, a właściwie zbiłem go z płyt, w które opakowywane były maszyny wyciągowe dla kopalń, sprowadzane przez naszą firmę z Czechosłowacji. W tym domku spędziłem z żoną i dziećmi niejedne wakacje.

■ „Mydelniczka” na politechnikę

Po kilkunastoletniej przerwie w nauce, zacząłem studia na filii Politechniki Wrocławskiej, na wydziale elektrycznym. Przez rok zajęcia odbywały się w Lubinie. Kombinacjom w własny koszt



Na Barbórkach w ferworze zabawy obcinano krawaty. Przytrafiło się to zwłaszcza przełożonym, także panu Florianowi Śnieżko. Zdjęcie z lat 70.

przewoził nyską wykładowców z Politechniki i po zajęciach odwoził do Wrocławia. Robił to dla swoich ludzi, bo wówczas prawie wszyscy kształcili się na potrzeby KGHM. Nie zaniechał tego nawet wtedy, gdy utworzono filię Politechniki w Legnicy.

Skończenie studiów bardzo ułatwiła mi i kolegom „mydelniczka”, jak nazywano wówczas trabanta. Gdyby nie ona, można by przypuszczać, że KGHM miałby o kilku inżynierów mniej. Jeździliśmy nią na laboratorium do Wrocławia. Do „mydelniczki” wsiadali po drodze pięciu moich kolegów i tak upchani prosto z pracy pędziliśmy na uczelnię. Po skończeniu Politechniki zostałem głównym inżynierem do spraw elektrycznych, a samochód ten służył mi jeszcze około 10 lat. Talon na trabanta, któremu dałem pierwszeństwo przed syrenką, dostałem od firmy. Był on nagrodą za najlepsze wyniki ekonomiczne, jakie wydział elektryczny, którego byłem szefem, osiągnął w zakładowym

LEGITYMACJA
STOPNIA GÓRNICZEGO

Nr **136**



[Signature]
własnoręczny podpis

PRZEDSIĘBIORSTWO
Budowlano-Montażowe Hutnictwa
Dział Osobowy i Szkielety i Szkielety
50-300 1. 1. 1. N
ul. M. Pieczęć (podłoga, wysłany) 86
SNIEŻKO 78 78

FLORIAN
nazwisko imię

30.04.23 - WRZĘDZIEN
data i miejsce urodzenia

STOPIEŃ GÓRNICZY

INŻ. GÓRNICZY II^o

Nr dyplomu **8/81**

LUBIN, dnia **4 XII** 1981.
mp.

DYREKTOR

mgr inż. *[Signature]* Cyganowski

Kiedy Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Przemysłu Ciężkiego weszło w struktury KGHM i przekształciło się w Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa, niektórzy jego pracownicy musieli zaliczyć egzamin w Wyższym Urzędzie Górniczym.

współzawodnictwie. W tamtych czasach na racjonalizacji można było nieźle zarobić. Biura projektów liczyły wielkość przerobu od wartości inwestycji. Ich inżynierowie nie mieli więc interesu w tym, by oszczędnie projektować. Kiedy przysyłali nam dokumentację, przyglądałem się jej i główkowałem, czy to, co zaplanowali, można wybudować taniej? Oni zarabiali na tym, że projektowali z rozmachem, a ja na tym, że ten rozmach ograniczałem. Dziwne były wówczas reguły gospodarki.

■ Meldunki szły do Moskwy

Głównym zadaniem mojego przedsiębiorstwa była budowa obiektów tymczasowych, a potem stałych dla PBK, które drażyło szyby. My natomiast w głębionym szybie zakładaliśmy rurociągi i uzbrojenie elektryczne, między innymi w historycznym szybie „Bolesław”. Przeprowadzaliśmy tymczasowe odwodnienie, jeśli woda zalewała kopalnię. Zakładaliśmy na dole rozdzielnie wysokiego napięcia na 6 tysięcy volt,

zasilające potężne silniki i montowaliśmy pomownie docelowe. Przekazywaliśmy kombinatowi gotowe wyrobiska, dlatego zawsze mawiałem, że KGHM wprowadza się do urzędzonego mieszkania. A wprowadzić chciał się zawsze jak najszybciej. Dla wykonania prac w drażonym lub gotowym szybie, dawano nam bardzo mało czasu, bo najważniejsze było wydobycie. Firma pracowała 24 godziny na dobę. Ciągłe szukano sposobów skrócenia czasu realizacji inwestycji.

PKB drażyło szyb, a my równolegle budowaliśmy obok nadszybie. Stawialiśmy je na ławach, powoli przeciągaliśmy po specjalnych torach na właściwe miejsce. Dzięki tej metodzie można było uruchomić szyb nawet pół roku szybciej.

W montażu nadszybia specjalizował się pamiętny Waclaw Minta – mój sąsiad, z zawodu ślusarz-kowal. Miał on jednak ogromne doświadczenie i znał się na robocie jak mało kto, dlatego nikt nie wypominał mu braku wykształcenia. Współpracował z inżynierem Polakiem, świetnym mechanikiem, którego projekty re-



*Na budowie Rudnej Główniej.
W środku Florian Śnieżko.*

alizował. Kierował wyspecjalizowaną brygadą montażową. Fachowców przyciągnął za sobą z Górnego Śląska. Cieszył się posłuchem wśród robotników, ale zaufanie do niego miał też dyrektor naczelny KGHM Tadeusz Zastawnik. Minta stale wisiał na telefonie do dyrektora. Zdawał mu relacje z postępu robót, zawiadamiał o problemach, zgłaszał potrzeby.

W końcu realizowaliśmy newralgiczne inwestycje, bo miedź była strategicznym metalem w przemyśle zbrojeniowym nie tylko dla Polski, ale dla całych „demoludów”. Mówiło się, że na przyspieszenie terminów realizacji naciskała nawet Moskwa, i że nasi ludzie także tam składali meldunki.

■ W kubłach i kłatkach

Zanim zamontowano klatki, pracowników i materiały do drążonych szybów zwoziliśmy w kubłach. Spuszczał lub wyciągał je na linach maszynista, siedzący na powierzchni.

Reagował, gdy ludzie dawali z dołu sygnały, tłukąc młotkiem w blachę lub pociągając za linkę sygnalizacyjną. Takim sposobem się wów-

czas kontaktowali. Któregoś dnia doszło do nieporozumienia. Maszynista źle odczytał sygnał i zamiast kubel spuścić, podciągnął do góry. Ten zahaczył brzegiem o występ w budowanym szybie i ludzie omal nie wysypali się z kubła. W ostatniej chwili uczepili się liny z kablem, stanęli na poprzeczkach zamontowanych w ścianie szybu i zawiśli nad kilkusetmetrową przepaścią. Powinni być przypięci pasami do liny z kablem, ale robotnicy często tego nie robili. Zabezpieczenie krępowało im ruchy i przeszkadzało w pracy, a to denerwowało, bo w tamtym czasie wszyscy pracowali na akord. Pośpiech był więc nieodłączną częścią każdego dnia pracy. Ale z drugiej strony mieliśmy tu chyba najlepsze zarobki w Polsce, bo liczba nadgodzin była nieograniczona.

Nawet skutki pośpiechu trzeba było usuwać, spiesząc się. Raz spuściliśmy na dół jednocześnie dwa kable sterownicze i wtedy jeden z nich, długości kilkuset metrów, spadł na dno szybu. Zrobiła się z tego afera, przejechali ludzie ze zjednoczenia. Dali nam na rozwiązanie problemu jeden dzień. Takich przeszkód mieliśmy, co

niemiara. Nieraz kurczawka przerywała uszczelnienia, bo nie wytrzymała oprawa tubingowa. Napór piasku z wodą bywał taki duży, że przecinał liny i kable, które z takim trudem montowaliśmy. Wtedy nie pozostawało nic innego, jak zaczynać od nowa.

Pierwsze maszyny i urządzenia montowane na potrzeby kopalni zagłębia miedziowego pochodziły ze Związku Radzieckiego. Pamiętam, że instrukcje dostawaliśmy wyłącznie w języku rosyjskim, dlatego pracownicy mieli czasem kłopoty z montażem urządzeń. Potem zjawił się brygadzysta Pawłowicz, który pochodził ze wschodu, znał rosyjski i najszybciej rozpracowywał i montował pierwsze kołowroty. W końcu zaczęliśmy upominać się o tłumaczy i kombinat przysłał nam dwóch rosyjskich inżynierów.

Z czasem weszła technologia szwedzka i czeska, montowaliśmy też polskie kołowroty „Bobiny”, które sprawdziły się na Śląsku. Rosyjskie, wysłużone wysyłał się do bratniej wówczas Korei Północnej, gdzie pracowały do śmierci technologicznej.

■ Przymusowy awans

W latach 80., kiedy pół Polski strajkowało, naraziłem się moim przełożonym. Uważałem, że ludziom, którzy strajkowali i nie pracowali, nie powinno się wypłacać pensji. Nie tolerowałem nierówności. Wówczas zadzwonił do mnie dyrektor i w słuchawce usłyszałem: „Proszę podpisać dokumenty do wypłaty”. Ponieważ wciąż się nie zgadzałem, zaczęła naciskać na mnie PZPR. Sekretarze partii przyjeżdżali na „Rudną” i przekonywali, że nie mam racji. Przełożeni i partyjni wyrażnie bali się wtedy strajkujących.

W końcu dyrektor techniczny kazał się mi zwolnić. Nie zgodziłem się. Poprosiłem, żeby postawiono mi zarzuty i, jeśli takie są, niech mnie sami zwolnią. Przełożeni wybrnęli z tego w dość nietypowy sposób: awansowali mnie na szefa produkcji, a dokumenty potrzebne do wypłaty pensji podpisał mój następca. Awans ten wiązał się z degradacją finansową, bo straciłem na nim około jednej trzeciej zarobków.

Innym razem dobrowolnie pozbawiłem się pieniędzy, bo swoją nagrodę, w proteście przeciw decyzji moich szefów, kazałem przekazać do Korei Północnej. Początkowo się opierali, ale postawiłem na swoim.

■ Zostałem wyeksportowany

Ktoregoś dnia dowiedziałem się, że kierownictwo poszukuje człowieka do pracy na budowie elektrowni atomowej w Greiswaldzie, w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wrocławska firma Energomontaż Zachód, która wśród wielu innych, budowała tę elektrownię, wypożyczyła od kombinatu spawaczy, a ja miałem nadzorować ich pracę. I tak zostałem wyeksportowany.

Zgodziłem się, bo w czasie okupacji zatrudniony byłem w firmach niemieckich i nie bałem się pracy u zachodnich sąsiadów, oprócz tego tam więcej płacili. Moi szefowie też byli zadowoleni, bo wreszcie mieli mnie z głowy. Po egzaminie ze znajomości języka w niemieckiej firmie, zostałem kierownikiem technicznym. Kiedy przyjechałem do Greiswaldu, zobaczyłem ogromną budowę. Cztery reaktory już stały, budowano kolejne cztery. Przy wznoszeniu tej elektrowni pracowało około 30 tysięcy osób z tak zwanych demoludów. Robota szła na trzy zmiany. Po latach te gigantyczne obiekty budowane z wielką pompą i rozmachem na radzieckiej technologii, rozebrano...

Kiedy wróciłem z kontraktu, w 1988 roku przeszedłem na emeryturę. Firma w tym czasie już nazywała się Zakład Budownictwa Górniczo-Hutniczego.

Gdy byłem już wolny, pojeździłem trochę po świecie. A teraz mam już inne zajęcie: z przyjemnością obserwuję, jak rosną warzywa w moim ogrodzie. ■



Władysław Skowronek, geodeta, główny mierniczy. Pracował w ZG Konrad w latach 1960 – 1986, a w górnictwie łącznie 43 lata.

Wytyczał kierunki, korygował odchylenia

– Gdy w 1960 roku mierniczy z „Konrada” odchodził na emeryturę, nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić – mówi Władysław Skowronek. – Szef podpowiedział mi: „Władek, jedź na ten „dziki zachód”, tam potrzebują takich jak ty.”.

Władysław Skowronek miał 30 lat, ponad dziesięcioletni staż w górnictwie i co najważniejsze - posiadał uprawnienia mierniczego górniczego.

■ Władek, dasz radę

Do kopalni posłał go ojciec, który często powtarzał, że tam jest pewny chleb. Sam zarabiał na rodzinę pracując na hałdzie w kopalni Brzeszcze, gdyż powojenna Polska nie dała mu szans kontynuowania pracy w zawodzie policjanta. Ale przydatne okazały się dawne kontakty; poprosił znajomego kierownika działu mierniczego w kopalni Brzeszcze, żeby przyjął syna jako pomocnika, bo chłopak miał smykałkę do rysowania. W taki oto rzemieślniczy sposób nastoletni Władysław zaczął się wdrażać do przyszłego zawodu. Pierwsze zadanie, które

mu powierzono wciąż pamięta, bo skończyło się klęską i burą. Miał zaostriżyć ołówki i kredki za pomocą maszynki do ostrzenia. Nie umiał się nią posługiwać, rysiki wciąż się łamały i zanim się zorientował, z kredek zostały tylko „ogryzki”.

Po jakimś czasie przerzucono go na dół, żeby zapoznać się z kopalnią: pracował jako górnik, wiercił otwory strzałowe. Był sumienny i wkrótce powierzono mu brygadę, z którą robił przecinki. Takich jak on, młodych bez wyuczonego zawodu, w kopalni Brzeszcze była spora gromada.

– Byliśmy nowicjuszami, słabo znaliśmy górnictwo – wspomina pan Władysław. – Dlatego w kopalni wpadli na pomysł utworzenia przyzakładowej szkoły. Zbudowano ją bardzo szybko z gotowych elementów, a my, przyszli uczniowie, pomagaliśmy w pracach wykończeniowych; to był zwykły barak, ale na warunki nie było powodu narzekać. Uczyli nas inżynierowie z „Brzeszcza”.

Po skończeniu tej szkoły chciał się uczyć dalej, nie zadowalała go praca zwykłego górnika. Ciągnęło go do miernictwa. Na to jednak mu-

siał się zgodzić ojciec, który twardą ręką sprawował rządy w rodzinie.

- Krótko nas trzymał - przyznaje pan Władysław - ale dbał o rodzinę i nasze wykształcenie, a było nas w domu pięcioro. Ojciec i tym razem odwołał się do swoich znajomości. Pogadał z sąsiadem - inżynierem, który pomógł mi załatwić pracę w Katowicach, w Wydziale Specjalnych Robót Mierniczych, podlegającym Wyższemu Urzędowi Górniczemu, a kwatery znalazł u swojej znajomej wdowy. Pracowałem i się uczyłem w Technikum Górniczo-Hutniczym w Dąbrowie Górniczej, po czterech latach zostałem technikiem miernictwa. Trafił się mi bardzo mądry i dobry szef. Widział mój zapał do nauki i gdy tylko zdałem maturę, powiedział: „Władek, dam ci książki geodezyjne, ty się poducz i zdawaj na politechnikę. Dasz radę”. Uczyłem się dość dobrze i rzeczywiście dałem radę. Bo miernictwo znałem już z praktyki.

Nasz Wydział Specjalnych Robót Mierniczych pomagał kopalniom rozwiązywać trudniejsze problemy geodezyjne, z którymi same nie mogły sobie poradzić. W latach 50. mierniczych, a zwłaszcza z uprawnieniami górniczymi, brakowało i wiele kopalń nie miało takich specjalistów. My obsługiwaliśmy Górny i Dolny Śląsk, a nawet okolice Krakowa. Przyjeżdżaliśmy na delegacje do „Konrada” i do „Nowego Kościoła”. Tylko na „Lenie” nie bywaliśmy, bo miała własną obsługę geodezyjną.

■ Powtórnie narodzony

Z tamtych lat na Śląsku Władysław Skowronek szczególnie zapamiętał dwa zdarzenia. Do szybu w kopalni Bytom, gdzie wówczas wykonywał jakieś zlecenia, wpadł człowiek. Wszczęto alarm, w miejscu pojawiła się milicja, urzędy górnicze, władze kopalni, ściągnięto ratowników.

- Stoimy wszyscy przy tym szybie i biadoliśmy - opowiada - żałujemy człowieka. Trwają ustalenia co dalej, rozdzielane są zadania zgod-



*Wśród pracowników działu mierniczego.
Pan Władysław - drugi z prawej.*

nie z procedurą przy śmiertelnych wypadkach. Nagle ktoś krzyczy: „O Jezusie! To on!”. Patrzmy, a po ścianie szybu, przytrzymując się obudowy, wspina się człowiek, cały i zdrowy! Ten, który tam wpadł! Boże, jak myślny się cieszyli, wyściskaliśmy go. Te emocje, to całe napięcie trzeba było jakoś rozładować, więc ilu nas tam było, ruszyliśmy do najbliższej karczmy, żeby uczcić powtórne narodziny tego górnika.

Jak to możliwe, że z tak groźnego upadku wyszedł cało? Otóż, na kopalni Bytom obok szybu klatkowego był specjalny szyb do opuszczania materiałów służących do obudowy wyrobisk. Najczęściej były to potężne wiązki drewna obwiązane łańcuchami. Z tego drewna na dno szybu sypały się wióry, okorki, a że trwały to latami, utworzyła się z nich miękka „poducha”, która zamortyzowała upadek. Na dodatek nie był to szyb głęboki, miał ok. 30-40 metrów.

- Do szybów, a właściwie do szybków w rejonie działalności kopalni Bytom, wpadały też krowy - przypomina sobie pan Władysław. - Tego rodzaju skargi odbierał od rolników Urząd Górniczy. Nam, mierniczym, polecono tę sprawę wyjaśnić. Okazało się to prawdą. Na łąkach natrafiliśmy na duże ilości szybków, prawdopodobnie jeszcze ponemieckich, poszukiwaw-

czych. Przykryte były jedynie deskami a z wierzchu przysypane ziemią - cały kłopot w tym, że nie zaznaczono ich na mapach. Zmurszałe deski zapadały się pod ciężarem krów. Brałem udział w poszukiwaniu tych szybków; dokonywaliśmy pomiarów i zaznaczaliśmy je na mapach. Potem były zasypywane.

■ Teodolity i niwelatory

Władysław Skowronek przyjechał na Dolny Śląsk 1 kwietnia 1960 roku. „Dziki zachód” okazał się wcale nie taki dziki. Spodobał się mu Bolesławiec, od razu w hotelu dostał ładny pokój. „Konrad” również zrobił na nim wrażenie, podziwiał tempo budowy obiektów kopalnianych i osiedli górniczych.

- W „Konradzie” byli zadowoleni, że trafił się im taki Skowronek - opowiada z humorem o początkach swojej pracy - mój poprzednik Ildzi Piwowarczyk już odchodził na emeryturę. Mogłem go z powodzeniem zastąpić, gdyż po zdanych egzaminach w Urzędzie Górniczym zdobyłem uprawnienia mierniczego górniczego, co oznaczało, że miałem prawo podpisywać główne mapy górnicze - mimo iż byłem jeszcze w trakcie studiów zaocznych na Politechnice Gliwickiej.

Pan Władysław zaczął od zorganizowania działu mierniczego, którego został kierownikiem. Kopalnia się rozrastała, zwiększało się wydobywanie i tym samym przybywało pracy służbom mierniczym. W szczytowym okresie w dziale pracowało ponad dwadzieścia osób: około 14 fizycznych i 8-9 umysłowych. Ale zakres obowiązków był bardzo szeroki.

Z aparaturą mierniczą był kłopot. Pan Władysław mówi, że zastał same rupiecie, które do niczego się nie nadawały. Udało się mu jednak przekonać szefów do zakupu wysokiej klasy instrumentów, takich jak: teodolity i niwelatory zachodnich firm - Zeiss'a i Wilda'a.

■ Ustawiać do pionu i poziomu

- Podstawowe zadanie naszych służb polegało na pomiarach wyrobisk górniczych i nanoszeniu danych na mapy - opowiada o swojej pracy. - Najpierw sztygar górniczy dostawał od nas mapkę tej części kopalni, w której pracował i szkicował miejsce nowego wyrobiska. Raz w miesiącu zbieraliśmy stos takich roboczych mapek, dokonywaliśmy własnych szczegóło-

wych pomiarów i dopiero wtedy, mając dokładne dane, sporządzało się mapy na brystolu naklejonym na blachę - pamiętam jej wymiar: 60 na 80 cm. Robotę mieliśmy na okrągło, bo przecież fedrunek szedł cały czas i w kopalni wciąż powstawały nowe „dziury”. Wytęczyliśmy też kierunki fedrunku, chociaż spotkałem tak świetnych górników, którzy i bez tego sami potrafili utrzymać się w złożu. Prócz tego mieliśmy sporo zajęć na powierzchni. Jeszcze na Śląsku, w kopalni Bytom, brałem udział w pomiarach wież szybowych i maszyn wyciągowych, miałem więc już jakieś doświadczenie. Gdy szyb pracuje, na te potężne konstrukcje i urządzenia (koła linowe, bębny) działają ogromne siły. To wszystko drży, trzęsie się, chwieje i z tego powodu może utracić stateczność i doprowadzić do katastrofy. Dlatego co pewien czas sprawdzaliśmy, czy wszystko jest na swoim miejscu, czy klatka może bezpiecznie poruszać się w szybie. Gdy wykrywaliśmy nieprawidłowości, np. odchylenia od pionu czy poziomu, mechanicy brali się za remonty i naprawy. To samo na przeróbce, często wzywano nas, mierniczych, by sprawdzić czy taśmociągi przenoszące urobek są ustawione prawidłowo, czy młyny i kruszarki nie zmieniły swojego położenia pod wpływem drgań i w efekcie nie spowodowały luzów. Z tego powodu również ustawienie metalowych schodów należało dla bezpieczeństwa co jakiś czas na nowo korygować.

Geodeci brali również udział w komisjach powypadkowych. Mierniczy musiał pomierzyć cały plan sytuacyjny, opisać i sporządzić protokół. Drobniejsze sprawy obsługiwali pracownicy Władysława Skowronka, przy większych zawsze brał udział osobiście. Tym najpoważniejszym zdarzeniem na „Konradzie” było przerwanie tamy stawu osadowego w Iwinach, w grudniu 1967 roku. Zginęli ludzie i powstało dużo strat materialnych, zwłaszcza zniszczeń budynków - wtedy cały dział miał pełne ręce roboty, gdyż trzeba było te szkody udokumentować.

Szkodami zajmowali się także na co dzień, bo działalność kopalni odbijała się na stanie domów w okolicznych wioskach. Geodeci wydawali opinię, czy budynek pęka z winy kopalni czy też ze starości. Dokumenty trafiały do Zjednoczenia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych w Katowicach, gdzie je weryfikowano: przyjeżdżali stamtąd urzędnicy, oceniali szkody

i wydawali decyzję. Usterki usuwała brygada remontowa pod nadzorem Władysława Skowronka.

■ Ściana w ścianę

- Nigdy nie miałem poważniejszych kłopotów w pracy - zwierza się pan Władysław - szło mi dobrze. Bo zawsze zależało mi na tym,

potrafił zorganizować mi pobyt: załatwić kwatery, wyżywienie, przejazdy, przepustki i inne służbowe formalności. Gdy przyjeżdżałem, on już czekał na mnie na stacji i meldował zadowolony, że przygotował wszystko jak należy.

Kiedyś do Władysława Skowronka zadzwonili z „Nowego Kościoła” - mieli poważny problem. Fedrowali chodnikiem, który ciągnął się już po-



Dyrektor ZG Konrad Alfred Cholewiak wręcza Władysławowi Skowronkowi puchar za zwycięstwo w barbórkowym turnieju brydżowym. Po lewej Edward Boguta, pierwszy z prawej - Władysław Czarnecki - członkowie zwycięskiego zespołu.

aby nikt nie miał zastrzeżeń do mojego działu - bardzo tego pilnowałem. Przyznam, że byłem wymagający - kilku pracowników za nierzetelność musiałem niestety odesłać do kadr. Ale był jeden wyjątek - pan Płaczek. Do zwykłej roboty się nie nadawał i nikt nie chciał go u siebie. Ja zauważyłem, że ten starszy jegomość ma jeden talent, bardzo cenny w tamtych latach - potrafił wszystko załatwić, „wypląkać” - tak się mówiło o nim w kopalni, a szczególnie skutecznie udawało się mu to z kobietami. Został moim pomocnikiem. Często wyjeżdżałem na wielodniowe delegacje, m.in. do „Nowego Kościoła”. On

nad 300 metrów, i ludziom zaczynało brakować powietrza. Rozpoczęto więc budowę szybu wentylacyjnego, drążąc w skale od dołu; jego głębokość zaplanowano na jakieś 40 metrów. Wszystko szło dobrze, aż do momentu kiedy skończyła się skała, powyżej zalegała już tylko warstwa ziemi. Roboty utknęły, gdyż ziemia zasypywała szyb. Chodziło teraz o to, żeby dokończyć prace z powierzchni, tylko trzeba było wyznaczyć miejsce, w którym należy kopać, aby idealnie trafić na wydrążony już częściowo otwór.

- To było moje zadanie - mówi pan Władysław. - Przyznam, że jedno z najtrudniejszych,



Z najmłodszą wnuczką Zosią.

jakie wykonywałem. Być może dzisiaj, gdy geodeci dysponują nowoczesną generacją sprzętu, nie stanowiłoby to tak dużego problemu, wówczas jednak musiałem się sporo nabiedzić. A wstyd byłoby sknocić tę robotę. Namęczyłem się, nakombinowałem, ale trafiłem bezbłędnie, ściana w ścianę. Byłem naprawdę dumny z tego wyczynu, bo poczułem się tak, jakbym powtórnie zdał egzamin zawodowy.

■ Podejrzany o szpiegostwo

Z „Nowym Kościołem” wiąże się jeszcze inne, mniej przyjemne dla Władysława Skowronka wspomnienie: padło na niego podejrzenie o szpiegostwo. Któregoś razu bardzo się mu spieszyło na pociąg do Katowic, gdzie kończył studia w filii Politechniki Gliwickiej. Wyjechał z dołu, umyśl się szybko w łaźni i pobiegł do zakładowego sklepu. Kupując herbatę, gruby notes z zapiskami pomiarów, który trzymał w ręce, odłożył na podłogę. Wychodząc, w pośpiechu zapomniał o tej swojej podręcznej „bi-

blii”. Dochodził już do stacji kolejowej, kiedy zorientował się, że nie ma jej przy sobie. Wystraszył się, bo mógł utracić wszystkie dane, bieżące i archiwalne. W te pędy z powrotem; notesu nie ma, tam gdzie go zostawił. Szukał, pytał - nikt nic nie wiedział. Tylko kioskarka szepnęła mu ukradkiem, że strażnik zdążył zawieźć jego zgubę na milicję.

- Nie czekałem, aż mnie zawezwą - opowiada o swojej przygodzie - sam się zgłosiłem, nie bałem się „ubecji”. A tam, wielki ponury młody człowiek, taki zatwardziały komunista, od razu mnie zaatakował: „Dla kogo pan to zostawił?” Zaczęło się maglowanie pytaniami, wywnioskowałem, że dla niego te wszystkie cyfry, literki, znaczki - to szyfr. A ja tylko myślałem o tym, żeby nie zajrzał za okładkę, gdzie zwykle trzymałem mapę. Na pewno przysłoby mu do głowy, że to jakaś skrytka. Długo mnie męczył, ale w końcu chyba uwierzył, że to tylko zapiski geodety, i nic więcej. Poburczał na mnie groźnie i wypuścił.

■ Sekretarz SIiTG

Na „Konradzie” działało koło Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa Rud. Władysław Skowronek, jako sekretarz, należał do najbardziej aktywnych członków tej organizacji. Jedną z działalności koła polegała na kontaktach z podobną organizacją w NRD - Kamer der Technik w Kombinacie Mansfeld. Te wzajemne wizyty wspomina jako wyjątkową atrakcję w czasach, gdy możliwości podróżowania były bardzo ograniczone.

Pan Władysław ma na swoim koncie co najmniej dwa znaczące osiągnięcia związane z postępowaniem technicznym w kopalni. Był współautorem m.in. dwóch istotnych projektów racjonalizatorskich. Pierwszy z 1966 roku dotyczył drażenia tzw. szkieletu kamiennego w kopalni. Chodziło o koncepcję udostępnienia złoża pomiędzy poziomami wydobywczymi: między 550 a 830 m. Współautorami pomysłu byli: W. Kacprzak i Władysław Luboch, ówczesny dyrektor „Konrada”.

Drugi projekt racjonalizatorski z 1979 roku, opracowany wspólnie z E. Pieczykolanem, S. Szczśniakiem i S. Idzikiem polegał na „Rozwiązaniu problemu zaopatrzenia w wodę pitną w Niece Grodzieckiej”. Pan Władysław mówi, że na pewno „maczał w tych pomysłach palce”, ale było to tak dawno, że szczegóły zatary się



Spływ Dunajcem - wycieczka emerytów z Bolesławca. Władysław Skowronek - trzeci z prawej.

w pamięci. Dlatego nie chce się na ten temat wypowiadać, by nie pomieszać faktów.

■ Złączyły ich „szkody”

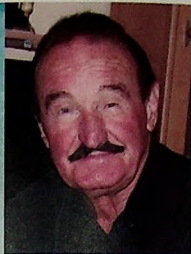
W Bolesławcu, w restauracji, przy Klub Technika NOT, pan Władysław poznał swoją żonę - Władysławę (dla najbliższych - Ada). Pracowała w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu, a do Bolesławca przyjeżdżała na inspekcje związane z likwidacją szkód górniczych. Już wcześniej wypatrzył ją w UW we Wrocławiu, gdzie był służbowo. W Bolesławcu przychodziła na obiady do Klubu NOT i tam na dobre zaczęła się ich znajomość. Pracowała później w spółdzielni mieszkaniowej Bolesławianka, którą w 1965 roku zakładali pracownicy „Konrada”, wśród nich pan Władysław.

Od 28 lat jest na emeryturze. Latem chętnie przebywa na swojej działce, która siedem lat

temu, po śmierci żony, jest tylko miejscem rekreacyjnym. Dawno temu sam te działki projektował i wytoczył - podkreśla, że społecznie, gdyż za tego rodzaju prace nigdy nie brał pieniędzy. Dużą radość sprawiają mu spotkania z najbliższymi, gdy córki (jedna polonistka, druga lekarka) odwiedzają go ze swoimi rodzinami. Mówi, że wtedy całe mieszkanie znowu wypełnia się radością. ■

**„Synek – tak mnie nazywał dyrektor Grodzicki, bo mieszkaliśmy prawie po sąsiedzku i nieraz z nim wódkę wychyliłem. – Nie dostaniesz orderu, sekretarz nie pozwolił, gdyż nie jesteś w partii, ale ja ci to wynagrodzę. Do firmy przyjdą talony na moskwicza i skodę. Dam ci talon na skodę”.
– Panie dyrektorze, dziękuję! Nawet bardziej się będę cieszył z tej skody – zapewniałem dyrektora.**

Kazimierz Wilanowski, górnik operator maszyn dołowych, strzałowy, górnik przodowy w PBKRM. Pracował w latach 1961 – 1976



Wypłatę przynosili mi do domu

W Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie czekano na fachowców z węglą, bo mieli spore doświadczenie w głębinieniu szybów. W czerwcu 1961 roku w grupie trzynastu najlepszych górników z Przedsiębiorstwa Budowy Szybów Bytom przyjechał także Kazimierz Wilanowski.

– Późnym wieczorem wysiedliśmy na stacji Lubin Górniczy. Padał deszcz i chodniki tonęły w błotnistej mazi. Odszukaliśmy bez trudu hotel pracowniczy PBKRM, mieszczący się wtedy w budynku przy skrzyżowaniu ul. Hanki Sawickiej, z ul. Kościuszki, z restauracją Eureka naprzeciw. Gdy następnego dnia w świetle dziennym zobaczyłem miasto, byłem podła-

many. Wyjechałem przecież z Katowic – dużej aglomeracji, gdzie były teatry, kina, stadiony, a tu cztery tysiące mieszkańców, niemal w każdym podwórku hodowali świnie, krowy, kury, króliki. Nawet na rynku w sadzawce pływały razem kaczki i gęsi (nieco później sadzawka została zasypana i na jej miejscu wyrosła restauracja Ratuszowa, której też już nie ma).

■ Pociągnął ich Piotr Brondel

Kazimierz Wilanowski miał w ręku fach. Skończył Szkołę Zawodową Metalową przy Zakładach Metalowych im. Józefa Strzelczyka w Łodzi. W latach pięćdziesiątych zatrudniały one trzy tysiące ludzi i były w Polsce najwięk-



Na placu przy szybie „Bolesław”. Od prawej sztygar Piotr Brondel i górnicy: Mirek Nowacki, Kazimierz Wilanowski, Tadeusz Ubowski, Józef Olczyk i Waldemar Jaroszyński.

sze w swojej branży. Przez półtora roku pracował przy obróbce skrawaniem, a potem przez dwa lata nabierał doświadczenia przy głębieniu szybów w Przedsiębiorstwie Budowy Szybów Bytom. Tam spotkał sztygara Piotra Brondla, który najlepszych trzynastu szybiarzy pociągnął za sobą na Miedź.

– Po przyjęciu do PBKRM skierowano mnie do pracy na głębiony już Szyb Wschodni zwanym później Bolesław. Urabianie zmrożonego

górotworu odbywało się ręcznie, przy pomocy młotków pneumatycznych (MP-26) zwanych pikrami. Do głębokości 100 metrów stosowaliśmy obudowę betonową z wkładką blaszaną. Potem prowadziliśmy głębenie szybu w obudowie tubingowej, którą poznaliśmy już na węglu – nawiązując do pierwszych doświadczeń.

■ Wyścig z wodą

Podczas głębenia pierwszego szybu wciąż borykano się z przeróżnymi awariami. Pierwsza zdarzyła się miesiąc po zatrudnieniu, na głębokości około 150 metrów i wiązała się z dopływem wody i kurzawki do szybu.

– Jak mogło do tego dojść? W tym czasie nie było gotowych odpowiedzi, wszyscy się uczyliśmy – objaśnia pan Wilanowski. – Dla nas, górników z Bytomia, była to także nowa sytuacja. W górnictwie węgla kamiennego, spośród wodnego, pożarowego czy pyłowego, najczęściej spotykane było zagrożenie metanem. W dyrekcji zapadła decyzja o wykonaniu korka betonowego i zregenerowaniu rur mrożeniowych. Sypaliśmy do szybu ogromne ilości suchego betonu, cement wiązał się z wodą i po kilku dniach powstawała skała. Po wypompowaniu resztek wody kolejnym etapem było pikrowanie betonowego korka. Skruszony beton wywoziliśmy



Szyb „Bolesław”. Obudowa tubingowa stała. Cieśla Władysław Rosicki rozplaszcza uszczelki ołowiane między tubingami. Obok Kazimierz Wilanowski.

na górę. Potem, po regeneracji rur mrożeniowych, znów ruszyliśmy z głębinem.

Niestety, po czterech miesiącach, w styczniu 1962 roku, na głębokości 246 metrów, pękła ściana i do wnętrza szybu wylało się około 40 litrów wody. Gdyby woda wdarła się zza płaszcz mrożeniowego, mogłoby dojść do błyskawicznego zatopienia szybu. Pierwsze próby zatamowania wycieku nie przyniosły efektu. Ale ściągnięto więcej ludzi do roboty i po nieznacznym dobraniu i wyrównaniu dna szybu rozpoczęli montaż pierścieni tubingów. To był wyścig z wodą... Dopiero po zabudowaniu szóstego pierścienia sytuacja została opanowana...

■ Wesele w cieniu... tragedii

Marię, przyszłą żonę, poznał w przychodni dla załóg PBKRM i pracowników kombinatu. Przychodnia mieściła się w małym budynku, stojącym do dzisiaj po lewej stronie przy bramie wjazdowej do zarządu KGHM. Maria była asystentką dentystki Danuty Dmitrjewskiej, która z aprobatą odnosiła się do rodzącego się związku. Po trzech miesiącach chodzenia Kazimierz i Maria postanowili się pobrać. Ślub zaplanowano na 13 października 1962 roku.

– Z tej okazji dostałem dwa dni wolnego – wspomina pan Kazimierz. – Obowiązki starsziny wesela objęła oczywiście pani Dmitrjewska. Na świadka wybrałem Władka Cupka, kolegę z Bytomia, który był dla mnie jak starszy brat. Poprosiłem inż. Ulricha, by go z trzeciej zmiany przesunął na pierwszą, żeby mógł spokojnie zdążyć na wesele. Przyjęcie na 60 osób zorganizowaliśmy w kombinacie, w miejscu gdzie później mieściła się sala NOT. Naczelnym inżynier Sztukowski sam mi zaproponował, że w dniu ślubu, do południa, dostanę samochód i ludzi, by przewieźć z firmy stoły i krzesła do weselnej sali. Było koło dwunastej, dochodziłem do budynku dyrekcji, gdy ktoś na pierwszym piętrze otworzył okno i zawołał: „Kazik! Kazik! Władek Cupek i Tadek Górniak zginęli!”. Przystanąłem i z wrażenia zemdlałem. Kiedy odyskałem przytomność, leżałem już na kozetce w BHP. Po dojściu do siebie usłyszałem, co się stało. Nocna zmiana czekała, a ranna jeszcze fedrowała. Brakowało dwudziestu minut do zakończenia szychty. Najprawdopodobniej niewypał nie został podłączony do anteny strzelniczej. Po strzeleniu przodka Tadzju Górniak poszedł

robić obrywkę. Przypuszczalnie zauważył duże pęknięcie w ociosie. Kilofem nie mógł oberwać tej luźnej skały, więc chciał sobie pomóc młotem pneumatycznym. Niestety, natrafił na niewypał i doszło do eksplozji. Tadek wybuch rozerwał, Władek zginął od podmuchu, który rzucił go na kubek. Siedmiu innych kolegów odniosło różne obrażenia. Ślub i wesele odbyły się, ale bardziej tragicznych okoliczności nie można sobie było wyobrazić.

■ Zjechał po linie

Po 3 miesiącach nowożeńcy otrzymali od firmy mieszkanie w Lubinie, w pierwszym bloku przy ul. Nowotki (obecnie ul. Śląska). Pamięć o niedawnej tragedii miała przysłonić radość z urządzania się na nowym. Niebawem Wilanowskim urodził się również najstarszy syn Mariusz. Dumny tato zaopatrywał syna w wiejskie mleko u pana Tomanka, który w czasach okupacji był burmistrzem Lubina i sympatykiem Polaków, dlatego po wojnie pozostał w Lubinie.

Po zakończeniu budowy szybu L-III pan Kazimierz został przeniesiony na kopalnię Polkowice, gdzie rozpoczęto głębinie szybów P-I i P-II.

– Drażenie szybu P-I w październiku 1963 roku zaczynałem niemal od tawnika. Byłem już wówczas przodowym, pracowałem na ładowarce szybowej KS-2u. Pamiętam, jak w trakcie zbrojenia szybu Franciszek Pluto (przodowy) wpadł do szybu. Nie znam dokładnie szczegółów zdarzenia, ale Pluto w ostatnim momencie złapał się liny prowadniczej i trąc o drugą linę plecami, skutecznie wyhamowywał impet spadania. Wprawdzie miał kufajkę i rękawice, ale strasznie zdarł sobie ręce i plecy. Z głębokimi ranami trafił do szpitala. Oczywiście przeżył. Mniej szczęścia miał mój kuzyn, Czesiek Świątek – przywołuje kolejne wspomnienia. – Pracowaliśmy przy zbrojeniu na P-II. Metalowa siatka zabezpieczająca przedział drabinowy została niedokładnie zapięta. W pewnym momencie wypięła się z zaczepu i runęła na dół, akurat w miejsce gdzie stał Czesiek.

■ Kofek w szczękach

W tamtych pionierskich czasach każdy zjazd na dół był, jak wyprawa na front. Niósł ze sobą mnóstwo niespodzianek i zwrotów akcji, wymagających trzymania nerwów na wodzy i znaj-

dowania zawsze rozsądnego wyjścia z najtrudniejszych sytuacji.

– Była nocka, siedziałem na ładowarce KS-2u i fedrowałem. Zmianę prowadził sztygar Bolek Prus. Nagle słyszę krzyk przodowego: „Kaziu, coś się dzieje, bo maź wychodzi tą rurą”. Rzeczywiście z rury perforowanej znajdującej się w samym środku szybu (rura umożliwiająca śledzenie stanu zamrożenia) wypływała czarna substancja, która z minuty na minutę robiła się coraz bardziej płynna. Po chwili prze rurę zaczęła się cisnąć woda i tak szybko przybierała, że górnikom niemal wlewała się do butów gumowych. Zadzwoeniłem do sygnalisty, żeby natychmiast ściągnął sztygara, bo szyb się topi! Prus

końca. Wypływ ustąpił, zatrzymaliśmy wodę, potem jeszcze wsadziliśmy w rurę ten krótszy i zabezpieczyliśmy go specjalnym bolcem. To była koronkowa robota. Sztygar klepał mnie po plecach: „Dobrze to pomyślałeś!” – mówił. Dyrektor dowiedział się o całym zdarzeniu z raportu sztygara i też mi dziękował.

■ Szalony maraton

Po wydrążeniu szybu P-II Kazimierz Wilanowski został przeniesiony na Polkowice Zachodnie.

– Pamiętam, zgłębiliśmy już około 200 metrów i doszliśmy do twardej skały, gdy dyrekcja wyszła z pomysłem bicia rekordów. W tym

*Brygada Pracy Socjalistycznej Bronisława Wąsika.
Kazimierz Wilanowski – drugi od prawej.*



zjechał w kubie i zatrzymał się na moim pomoście powiedziałem: „Sztygarze, trzeba brać ten kołek, który leży na pomoście i ten drugi nieco krótszy, i wkładać w rurę, ile się da”. Niestety, ten krótszy kołek woda wypychała z powrotem. Wtedy uruchomiłem ładowarkę i krzyknąłem do przodowego Jagiełły: „Tadek dawaj mi ten dłuższy kołek w szczękę!”. Złapałem go za sam koniec, a oni pilnowali, by był odpowiednio skierowany, i pocisnąłem czerpakiem ważącym 2,5 tony. Kołek wszedł do rury aż do samego

czasie w PBKRM pracowało 12 operatorów. Dyrektorzy i zawiadowcy chcieli wyłowić tych najsprytniejszych, którymi można podciągać poprzeczkę. We współzawodnictwie Jasiu Drożdżowski i ja byliśmy liderami. Rywalizacja polegała na tym, że najpierw brygada wiertaczy nawiercała dno szybu na głębokość czterech metrów. Potem odbywało się strzelanie i wietrzenie. Następnie wchodziłem ze sztygarem i przodowym na pomost, przygotowywałem maszynę do pracy i zjeżdżaliśmy pomostem

na dno szybu. Wraz ze startem rozpoczął się szaleńczy załadunek urobku do kubła. Miałem najlepszy wynik: 24 metry sześciennie urobku fedrowałem w ciągu niecałych czterech godzin, podczas gdy moi rywale robili to w ciągu pięciu godzin – przyznaje Wilanowski. – Oczywiście nie byłoby tego sukcesu, gdyby nie szły w parze umiejętności maszynisty wyciągowego, który musiał odpowiednio szybko jeździć wyciągiem.

Któregoś dnia inżynier Józef Czachowski zaproponował dyrekcji, by najlepsi operatorzy pra-

cowali w zwiększonym wymiarze godzin, czyli po 12 godzin na dobę. W dyrekcji przystali na ten eksperymentalny pomysł, zaakceptowały go także związki zawodowe jak również sami liderzy, czyli Wilanowski i Drożdżowski.

– Zgodziliśmy się mając nadzieję na spore pieniądze. Przez około pół roku pracowaliśmy po 12 godzin na zmianę. Nasze pensje dorównywały uposażeniom dyrektorskim. Pamiętam, że przez ten czas nigdy nie stałem w kolejce po wypłatę. Planista przynosił pieniądze do domu i za fatygę dostawał ode mnie koniak – wspomina pan Wilanowski. Pracowali na zmianę, na jednej maszynie. Oczywiście szyb odwierała specjalna brygada wiertaczy. Dobrani strzelawcy odpalali przodki, robili obrywkę a liderzy w napięciu czekali w sztygarówce na sygnał rozpoczęcia pracy. Dyrekcja hołubiła swoich bohaterów zapewniając im wszelkie wygody. Każdy z nich miał do dyspozycji pokój, samochód, który woził ich na obiady i do domu, by mogli spotkać się z rodziną. Zwykle po 1,5 godzinie widzenia z żoną i z dziećmi (w tym czasie szyb był strzelony i wywietrzony), wracali z powrotem do pracy. Szalony maraton trwał 6 miesięcy i miał przyspieszyć roboty związane z oddaniem szybu. Ten cel został osiągnięty.

■ Polityczna burza

– Od zawsze lubiłem spotykać się z młodymi ludźmi, dlatego pracowałem w powiatowym Związku Młodzieży Socjalistycznej. Założyłem też ZMS na Wschodnim Lubinie, później na Głównym Lubinie, a także na Głównych i Zachodnich Polkowicach. Widziałem w tej społecznej pracy głębszy sens. Wierzyłem, że dzięki takim działaniom następne pokolenie będzie mogło lepiej żyć – mówi pan Wilanowski. – Jednak kiedy I sekretarz zakładowej PZPR zagadywał, zapraszał mnie w szeregi partii, a nawet sugerował, abym przyciągnął ochotników, denerwowałem się, bo miałem całkiem inny pomysł na siebie. Sekretarz to dostrzegł i zaczęła narastać wzajemna niechęć.

Któregoś razu, jako członek zarządu powiatowego ZMS, wybrałem się do Wrocławia na konferencję wojewódzką młodzieżówki. Przygotowałem referat na temat niegospodarności zakładowej, bo nie mogłem już patrzeć na te różne machlojki i przekręty. Zabrałem głos i wyrażałem, wszystko to, co mnie najbardziej bolało. Otrzymałem rżęsiste brawa, a nawet owacje.



*Pochód pierwszomajowy PBKRM (1961 r.).
W poczcie sztandarowym (pierwszy od lewej)
Kazimierz Wilanowski.*



Przy obudowie tymczasowej pierścieniowej szybu „Bolesław”. Od lewej: przodowy Bronisław Wąsik, operator maszyn dołowych Kazimierz Wilanowski, górnicy: Władysław Cupek, Janek (Kazimierz Wilanowski zapomniał nazwiska) oraz Władysław Bylica, 1962 r.

Nie przeczuwał konsekwencji swojego wystąpienia. Po kilku dniach, po wyjeździe z dołu, (pracował wtedy na Polkowicach Głównych) sztygar Prus poinformował go, że ma się stawić u zawiadowcy Samborskiego.

– Od progu usłyszałem: „Panie Kaziu, dzwornili z komitetu zakładowego, masz pan się zgłosić o godzinie trzeciej, chcą z panem rozmawiać”. W komitecie czekał sekretarz i kilku moich kolegów. Gdy usłyszałem: „Towarzyszu Wilanowski”, zaraz odparowałem: „Bardzo przepraszam, nie jestem towarzyszem, bo nie należę do partii tylko do ZMS”. On na to: „Czy wy sobie nie zdajecie sprawy, że ZMS to jest młodszy brat PZPR?”. „Jeszcze mi nikt o tym nigdy nie mówił – udawałem głupka. – Żeby Lenin żył, toby mi o tym powiedział”. Sekretarz zrobił się ze złości czerwony, jeszcze mnie o coś pytał i w końcu wypalił: „Czy wy wiecie towarzyszu, że my mamy nagranie waszej wypowiedzi z wczorajszej konferencji we Wrocławiu? Zaraz wam to udowodnimy!”. Miał jakiś odtwarzacz i włączył. Rzeczywiście to byłem ja. Męczył

mnie tym nagraniem, rozpytywał o niektóre sformułowania i o to, co miałem na myśli. W końcu kazał mi wyjść. Stałem na korytarzu w rozterce. Miałem pracę, dobre pieniądze, a także na utrzymaniu dwoje dzieci. Jeśli mnie zwolnią, to będzie źle... Za chwilę mnie wołają. Towarzysz sekretarz oświadcza, że moja postawa kwalifikuje się do zwolnienia, a nawet „wilczego biletu”. Odpowiadam: „Trudno, przyjechałem ze Śląska, więc jak mnie zwolnicie, wrócę na Śląsk”.

Szczęściem, sekretarz nie miał prawa decydować jednoosobowo o zwolnieniu pracownika, toteż sprawa trafia pod rozagę dyrektora. Któryś z dyrektorów mocno mnie bronił. Myślę, że chyba Włodzimierz Grodzicki. Stasiu Samborski też nie wyraził zgody na zwolnienie, i dzięki temu przetrwał polityczną burzę.

■ Skoda zamiast orderu

Kazimierz Wilanowski czuł się w firmie lubiany, a nawet doceniany. Kiedyś dyrektura postanowiła uhonorować go Krzyżem Kawaler-

skim Orderu Odrodzenia Polski. W tym celu w radzie zakładowej musiał wypełnić różne deklaracje. Odnaczenie miał otrzymać podczas Barbórki Centralnej Zjednoczenia Rud Metali Nieżelaznych w Olkuszu. By zdążyć na akademię w Olkuszu, grupa wytypowanych do odnaczeń bohaterów wyjeżdżała o drugiej w nocy. Nie ujechali daleko, gdy przed Środą Śląską samochód z dyrektorem Grodzickim, który również „leciał” na akademię do centrali, wyprzedził nyskę i się zatrzymał.

– Wysiadł z niego sam dyrektor, podszedł do naszego samochodu i wywołał mnie na zewnątrz. Wyszedłem zdziwiony, a dyrektor łapie mnie za ramię, poklepuje i ścisłym głosem mówi: „Synek, tak mnie nazywał, bo mieszkaliśmy prawie po sąsiedzku i nieraz z nim wódkę wychyliłem, teraz za długo by mówić. Nie dostaniesz orderu, sekretarz nie pozwolił, bo nie jesteś w partii, ale ja ci to wynagrodzę. Do firmy przyjdą talony na moskwicza i skodę. Dam ci talon na skodę. „Panie dyrektorze, dziękuję! Nawet bardziej się będę cieszył z tej skody” – zapewniałem ogromnie zaskoczony taką delikatnością wobec mojej osoby. W Olkuszu siedziałem obok dyrektora i widziałem, jak medal dla mnie, odbierał wielki partyjniak - wydawca materiałów wybuchowych.

Wkrótce firma dostała talony na dwa samochody, a chętnych na nie było czterdziestu. Dyrektor dotrzymał słowa, dostałem talon na skodę 1000 MB, a Ulbrych Andrzej (zawiadowca) na moskwicza. Za tę skodę, sprowadzaną z Warszawy, zapłaciłem 95 tysięcy złotych. Jeździłem nią dwa lata, a potem sprzedałem, dołożyłem trochę pieniędzy i kupiłem we Wrocławiu nowego fiata 1500.

Po zakończeniu budowy szybów P-VI i P-VII Kazimierz Wilanowski jako przodowy został przeniesiony na roboty poziome.

– Pracowaliśmy w znacznie bardziej kruchym czerwonym spągowcu, ciągle z góry coś leciało. Wtedy bardzo się bałem o ludzi, nie chciałem ich narażać, przede wszystkim sam starałem się wchodzić w te najbardziej niebezpieczne miejsca. Było to jak kuszenie losu, który najwyraźniej mnie oszczędzał, chociaż mimo upływu lat wciąż wracałem pamięcią do tragicznego zdarzenia, w którym straciłem dwóch kolegów. Nie mogłem sobie z tymi wspomnieniami poradzić. Ciągłe męczyło mnie poczucie, że

Władek przeze mnie siedział na tej ładowarce, dlatego zacząłem myśleć o zmianie pracy.

■ Wracałem jak z frontu

– Mój teść prowadził sklep przemysłowo-budowlany w Lubinie na Traugutta. Zachęcał mnie, żebym przyszedł i objął po nim stanowisko, sam chciał kupić sobie warszawę i pracować na postoju taksówek – wspomina Wilanowski. W 1976 roku, po siedemnastu latach na dole, postanowił rozstać się z kopalnią i objąć sklep na Traugutta.

– Powodziło mi się dobrze. Zarabiałem nawet więcej niż w kopalni. Trudne wspomnienia i lęki przed zjazdem na dół jakby odeszły. Po czterech latach założyłem własną firmę budowlaną, która przynosiła mi jeszcze większe zyski. Mieliśmy dość pieniędzy, ale zaczęło brakować rodzinnego szczęścia – wspomina pan Wilanowski. – W 1983 roku wyjechałem do Ameryki. Pamiętam do dzisiaj słowa doktor Dmitrjewskiej: „Musiś szybko nauczyć się języka!”. Ówilem wtedy: „Po co, kiedy jadę tylko na 12 miesięcy”.

Kiedy po niespełna roku żona pana Wilanowskiego przeprowadziła zaoczny rozwód, postanowił zostać w Ameryce na dłużej.

– Przez cały czas pozostawałem z dziećmi w kontakcie i wspierałem finansowo, ale wrócić nie chciałem. Pracowałem w różnych miejscach. Nauczyłem się języka angielskiego i poznałem życie amerykańskiej Polonii. Byłem członkiem Związku Narodowego Polski i udzielałem się w organizacji wielu imprez. Związek odwiedzali różni polscy dostojnicy państwowi. Kiedyś, podczas jednego ze spotkań, rozmawiałem nawet z Andrzejem Lepperem.

Po osiągnięciu wieku emerytalnego Kazimierz Wilanowski, po 23 latach pobytu za oceanem, wrócił do kraju i osiadł w Lubinie. Od kilku lat mieszka obok swoich synów: Mariusza i Roberta, cieszy się z wnucząt: Patryka, Natalki, Ani i Dominika.

Odnalazł też starą gwardię z PBKRM; swojego pierwszego zawiadowcę - inżyniera Jana Ulricha i dyrektora Jerzego Lengasa. Chętnie też spotyka się z kolegami w Górzycy u Franciszka Hlawrysza. Kiedy pytam o lata emigracji, mówi: „Amerykę to ja kocham, gdybym miał mniej lat, jeszcze bym do niej wrócił”. ■

Zjechaliśmy pod ziemię razem z dyrektorem „Polkowic” Zbigniewem Ziomekiem. Szliśmy w kierunku epicentrum wstrząsu i właśnie wtedy nastąpił kolejny wstrząs. Ja i Babisz przewróciliśmy się i gdy zestresowani leżeliśmy w błocie, dyrektor Ziomek, znany humorysta, stał nad nami i dowcipkował: „No...! Trzeba mieć trzy nogi równe...”

Kazimierz Mrozek,
Główny Inżynier Górniczy
w Zakładzie Doświadczalnym KGHM, Dyrektor
Departamentu Technologii i
Produkcji Górniczej w KGHM,
Specjalista ds. Górnictwa w Centrum
Badawczo i Projektowym
Miedzi Cuprum.
Pracował w latach
1964 – 2003

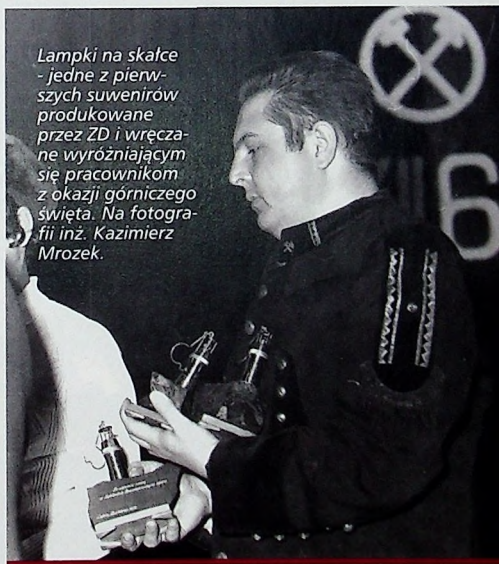


Mrozek, coś ty narozrabiał?

■ Jako student Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie został pan stypendystą kopalni Lubin, zanim jeszcze powstała. To dość nietypowa sytuacja...

Stypendium otrzymałem najprawdopodobniej od Zjednoczenia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych w Katowicach, ale stała za tym nieistniejąca, a nawet jeszcze nie zaprojektowana kopalnia Lubin. Przyznano je wówczas kilku studentom drugiego roku, choć normalnie przysługiwało dopiero od trzeciego. Czasy były jednak niezwykle. Powstawało nowe zagłębie miedziowe i pilnie potrzebna była wykształcona kadra. Istniało ogromne zapotrzebowanie zwłaszcza na górników i mechaników górnictwa. Na krakowskiej uczelni zawiązało się koło naukowe „Lubin”; jeszcze jako studenci zwiedziliśmy stare i dopiero powstające zagłębie miedziowe. W 1964 roku, będąc już absolwentami AGH, przyjechaliśmy do Lubina do pracy. Wśród nas byli górnicy, mechanicy górnictwa, górnicy specjalności przeróbki rud, geolodzy, chemicy, itp.

Lampki na skalce - jedno z pierwszych suwenirów produkowane przez ZD i wręczone pracownikom z okazji górniczego święta. Na fotografii inż. Kazimierz Mrozek.



Daliśmy początek wielu nowatorskim działaniom, realizowanym pod kierownictwem ówczesnego dyrektora generalnego KGHM w budowie Tadeusza Zastawnika, byłego szefa inwestycji kopalni Konrad. Dyrektor przyjął nas osobiście, zaimponował ogromną wiedzą, dopytywał się o nasze zainteresowania i o to, w jakich dziedzinach zamierzamy się specjalizować. Po czym zakomunikował: „Kochani, u mnie jeszcze nic nie ma. Pojedźcie do kopalni staro zagłębia”.

Część absolwentów tam skierowano na staż, a część do Głównego Instytutu Górniczego w Katowicach. Ja trafiłem z 4 kolegami na staż w ZG Konrad w Iwinach.

Dyrektor Zastawnik miał świetne wyczucie potrzeb tworzącego się zagłębia i od ręki umożliwiał pracownikom dokształcanie się w deklarowanych kierunkach

■ Co pan zadeklarował i czy potem pracował w wybranej specjalności?

Na studiach obroniłem pracę dyplomową z zakresu mechaniki górotworu i chciałem pogłębiać wiedzę w tej dziedzinie. Nadarzyła się świetna okazja. Któregoś dnia 1965 roku dyrektor Zastawnik oświadczył, że tworzy wydział

badawczo-doświadczalny i na szefa powołuje Jana Pazdro (główny projektant w Bipromecie w Katowicach - projektował kopalnie Lubin i Polkwice). Odznaczał się ogromną wiedzą i wielką kulturą osobistą, był prawą i lewą ręką Zastawnika. W tym wydziale znalazłem pracę i przez kilkanaście lat zajmowałem się głównie mechaniką górotworu, obudową górniczą, systemami eksploatacji itp.

Śmiała decyzja dyrektora Zastawnika zaskoczyła nie tylko nas, ale też polskich naukowców i praktyków związanych z górnictwem. Dyrektor zdawał sobie sprawę, że bez takiej jednostki i wykształconej kadry nie rozwiąże problemów, które rodziły się na Miedzi. Z doświadczeń górnictwa węglowego nie mogliśmy wiele skorzystać, bo jest ono odmienne. Ponadto w kopalniach węgla stosowano stare, utarte technologie i nikt takich działań, jak dyrektor Zastawnik nie podejmował. Dlatego „przeskoczyliśmy” je w poszukiwaniach nowych rozwiązań technicznych. Już na starcie mieliśmy kontakty ze świetnymi fachowcami. Szef zaprosił do współpracy profesora Bolesława Krupińskiego, światowej sławy projektanta górniczego, budowniczego kopalń, szefa słynnej Katedry Budowy Kopalń na AGH, przewodniczącego Światowego Kongresu Górniczego z siedzibą

w Genewie. Przekonał również do współpracy profesora Jerzego Litwiniszyna, współautora Tamy Asuańskiej, szefa krakowskiego oddziału PAN.

Pamiętam, że profesor Krupiński bardzo często przyjeżdżał do Lubina, gdzie spotykał się z kadrą kierowniczą KGHM i PBK Lubin oraz z nami, absolwentami AGH. W późniejszym okresie profesor Litwiniszyn wraz z dyrektorem T. Zastawnikiem powołali do życia pracownię w pionie górniczym ZD, specjalizującą się w pomiarach tensometrycznych przejawów ciśnienia górotworu. Administracyjnie podlegała mnie, zaś naukowo profesorowi



Karczma Piwna w ZD. Od lewej: Jan Pazdro, dyrektor ZD, Kazimierz Mrozek i Teofil Kowal –główny geolog kopalni Lubin.

Jerzemu Gustkiewiczowi z PAN, oddział Kraków. Wyniki prac posłużyły przede wszystkim wyjaśnianiu wielkości i charakteru deformacji stropu w chodniku badawczym, w dolomie, w polu B-3 kopalni Lubin.

■ Jakie było pierwsze poważne wyzwanie, przed którym stanął pan jako młody inżynier?

Kiedy zatrudniłem się w ZD, pierwszej jednostce badawczej w górnictwie miedziowym, budowano Szyb Wschodni Bolesław. Nie było to łatwe zadanie, bo głębiono go w warunkach dużego zagrożenia wodnego. ZD miał wówczas opracować technologię wydobywania rudy i tym zajęły się pracownie mechaniki górotworu, systemów eksploatacji, obudowy, techniki strzelniczej i wentylacji. Prace te wymagały przeprowadzenia niezliczonych pomiarów przejawów ciśnienia górotworu dla rozpoznania warunków geologicznych i tektonicznych, niemających odpowiednika w Polsce i na świecie. Ponadto musieliśmy stworzyć plan mechanizacji, transportu, opracować metodę odzyskiwania miedzi z rudy, w związku z czym powstało duże laboratorium chemiczne i Doświadczalny Zakład Wzbogacania Rud. Po opracowaniu przez nasz zespół projektu górniczego, wziąłem go pod pachę i pojechałem na krakowską AGH. Tam przedstawiłem naszą pracę profesorowi Antoniemu Sałustowiczowi, który wysoko ją ocenił, komentując krótko: „W górnictwie nikt nie robił tego od wielu lat”.

Po akceptacji naszego projektu, w 1965 roku rozpoczęto doświadczalną eksploatację w polu B-3 kopalni Lubin, rejon szybu Bolesław.

■ Jak wypadły te prace?

Zastosowaliśmy (1965 rok) ścianowy system eksploatacji ze skreperem, wzorowany

na doświadczeniach starego zagłębia. Młodzi inżynierowie trochę „burczeli” na to rozwiązanie, bo przeczuwali, że tą metodą nie uzyskamy dobrego efektu ekonomicznego. Tak też się stało. Wydajność wyniosła w granicach 7-8 ton na roboczodniówkę. To bardzo niepokoiło szefa kombinatu i mojego przełożonego Jana Pazdro. Szczęśliwym trafem w 1967 roku zorganizowano wyjazd przedstawicieli ZBiPM „Cuprum” oraz ZD KGHM do Francji, do zagłębia rud żelaza w Lotaryngii. Tam podpatrzyli oni komorowo-filarowy system wydobywania rudy żelaza. Potem, po wykonaniu wielu prac studialnych, ten system eksploatacji z ugięciem stropu opracowano w ZD KGHM i skierowano do prób w polu doświadczalnym kopalni Lubin. Z procesu jego wprowadzania śmieje się dzisiaj historia.

■ Czy wprowadzając nowy system, rozwiązaliście problem niskiej wydajności?



Barbórka centralna. Od lewej inżynierowie: Zbigniew Szabla, Kazimierz Mrozek i Jerzy Tenerowicz.

Zanim wydajność wzrosła, trzeba było zmechanizować nową metodę eksploatacji. Przecież kilofem czy ręczną wiertarką nie mogliśmy wydobywać rudy i wywozić urobku na taczkach. I wówczas sukces, chyba do dzisiaj

niedoceniony, odnieśli ludzie pracujący w ZD KGHM pod kierownictwem doktora Jana Stosiaka. Człowiek ten wykonał potężne dzieło. Kombinat zakupił w firmach Joy, Secoma, Atlas Copco i innych maszyny, lecz tylko pojedyncze sztuki, bo krajowi brakowało dewiz. Koledzy mechanicy rozebrali je na części, wówczas ich wiedza ogromnie się pogłębiła i doktor Stosiak zabrał się za projektowanie własnych maszyn górniczych. Mechanicy nawiązali współpracę z wrocławską Fadromą, która początkowo produkowała tylko maszyny budowlane. Z czasem zaczęła konstruować kotwiarki, ładowarki, ciągniki i przestawiła się wyłącznie na maszyny górnicze. Tak się w tym wyspecjalizowała, że je potem eksportowała. Z czasem nasi specjaliści zaprojektowali na bazie ciągników fadromowskich nowe maszyny. Na Zachodzie kupowano do nich tylko osprzęt, reszta była naszego własnego pomysłu i produkcji. Na pewnym etapie używaliśmy też sprzętu radzieckiego, który zdawał egzamin. Jeszcze do niedawna górnicy posługiwali się rosyjską wiertnicą jednoramienną SB-U i sobie ją chwalili. Dzisiaj na Miedzi pracują maszyny w większości produkowane w Polsce. Można więc śmiało stwierdzić, że doktor Stosiak jest ojcem mechanizacji miedziowego górnictwa.

■ Dlaczego mówi pan, że historia śmieje się z procesu wdrażania komorowo-filarowego systemu eksploatacji z ugięciem stropu?

Metodę tę zastosowaliśmy już w 1968 roku, ale 21 kwietnia 1969 roku zawałił się strop w polu komorowo-filarowym. Wówczas władze górnicze zobowiązały nas do opracowania i zastosowania nowej technologii kierowania stropem. Odtąd odbywało się ono przez wymuszanie zawału stropu specjalnymi metodami wiertniczymi i strzałowymi, które odprężając górotwór, miały poprawiać bezpieczeństwo pracy.

Kopalnie pracowały tym systemem 19 lat. Dzień w dzień wiercono otwory o długości nawet 12 m, ładowano w nie materiał wybuchowy i strzelano. Tym sposobem niepotrzebnie wyleciało w powietrze wiele miliardów złotych. Z punktu widzenia licznych doświadczeń i dzisiejszej wiedzy, pod koniec lat 60. zaczęliśmy bardzo dobrze. Niepotrzebnie przestraszyliśmy się samoczynnego zawału i przesłaliśmy na za-

wał wymuszany. Jak się z czasem okazało, nie poprawiał on bezpieczeństwa pracy, a w pewnych warunkach nawet je pogarszał. Dopiero w 1989 roku ponownie wprowadziliśmy system komorowo-filarowy z ugięciem stropu.

■ Nie było oporu kierownictwa KGHM i władz górniczych, gdy proponowaliście odejście od systemu „uświęconego” czasem i powrót do starej metody?

Niektórzy uparcie twierdzili, że eksploatacja z zawałem samoczynnym skazana jest na porażkę. Stoczyliśmy więc z nimi walkę - zgromadziliśmy ogromny materiał i przez rok przedstawiliśmy władzom nasze dobre doświadczenia z ugięciem stropu. Popierał nas m.in. profesor Zdzisław Kleczek z AGH Kraków, dyrektor Mirosław Pawlak, dyrektor Władysław Luboch z ZG-HMN, a w KGHM Stanisław Siewierski, Janusz Janus, Jan Butra, Aleksander Kosior, Janusz Mróz i inni. W końcu przekonaaliśmy własną komisję tępą i uzyskaliśmy zgodę Wyższego Urzędu Górniczego na zastosowanie wcześniej wypróbowanego systemu eksploatacji z ugięciem stropu. Po latach wyeliminowaliśmy tym samym nietrafioną metodę. Jako naczelny inżynier KGHM brałem w tych potyczkach bezpośredni i aktywny udział.

■ Nie było to jedyne „puďło” w historii kombinatu. Jak zareagowało kierownictwo, kiedy wbrew temu, co twierdzili niektórzy praktycy górnictwa, okazało się, że kopalnie miedzi zagrożone są tąpnięciami?

Pierwszych tępnięć nie ujawniano. W końcu, kiedy okazało się, że nie są to pojedyncze przypadki, trzeba było się do nich przyznać. A gdy stało się jasne, że tąpnięcia są największym zagrożeniem w naszych kopalniach, mechanice górotworu nadano wysoką rangę.

W 1972 roku, gdy na ZG Lubin, na Polkowicach Głównych i Wschodnich szła już eksploatacja, zaczęliśmy organizować w ZD służbę mechaniki górotworu dla potrzeb kopalni. W pracach bardzo pomagał mi dr inż. Narcyz Kunysz, mój współpracownik, wybitny fachowiec z zakresu geomechaniki górniczej, tępnięć i zawałów. Stworzono kolejne pola doświadczalne, na których priorytetem były badania, a nie wydobywanie. Taki poligon doświadczalny był niespotykany w naszych kopalniach wę-

gla i kopalniach zagranicznych. Obserwowaliśmy na nim, jak się zachowuje górotwór, kiedy naruszamy jego równowagę, wybierając rudę. Współpracując z kolegami z ruchu, dzień w dzień wykonywaliśmy liczne pomiary geodezyjne i geofizyczne, po czym przekazywaliśmy przełożonym raporty o tym, co dzieje się na każdym oddziale. Obserwacje prowadzili też naukowcy z AGH. Nie mieliśmy jednak jeszcze doświadczenia w łagodzeniu problemów związanych z tąpniętami.

■ **Czy korzystaliście z wiedzy kolegów po fachu pracujących w zagranicznych kopalniach?**

Nie było za bardzo u kogo podglądać, jak radzić sobie z tąpniętami. Współpracę w zakre-

kami, następnie zabrał mnie samolot lecący do Alma-Aty. Pilot robiąc międzylądowanie w Kentau (Kazachstan), zawiózł mnie do siedziby kopalni miedzi „Mirgalimsaja”. Przebywałem tam około 10 dni. Udało mi się zwiedzić również kopalnię w Alty-Topkan (Tadżykistan). Tam, w wysokich górach, pozyskiwano rudy polimetaliczne, eksploatując złoża od dołu do góry. Potem zaliczyłem pobyt w Instytucie Geodezyjnym w Leningradzie, gdzie pracował profesor Pietuchow, światowej sławy specjalista od mechaniki górotworu. Z wyprawy tej wysłałem do kraju przez polską ambasadę wór publikacji, książek i próbek.

Po latach, już jako główny inżynier w kombinacie, współpracowałem z Instytutem Górni-



*Uroczystość SITG w KGHM (1991 r.).
Od lewej Rafał Dąbkowski z „Cuprum”,
inż. Kazimierz Dubiński, inż. Kazimierz
Mrozek i Jan Sadecki (pierwszy prezes
KGHM PM S.A.).*

sie mechaniki górotworu rozwinęliśmy przede wszystkim z Rosjanami. Już po 6 latach od zatrudnienia w KGHM, wyjechałem do ZSRR na 3-miesięczną stazirowkę. Szkoliłem się w Instytucie Górniczym w Moskwie, po czym poleciałem do Taszkientu. Była to pamiętna podróż, bo leciały z nami barany. Tam przesiadłem się na samolot pocztowy i siedziałem między wor-

czym w Swierdłowsku, dzisiejszym Jekaterynburgu. Wówczas grupa inżynierów zajmujących się mechaniką górotworu, pod moim kierunkiem, nieomalże co roku wyjeżdżała do ZSRR. Wzajemnie dzieliliśmy się swoimi doświadczeniami. Pamiętam, że wykorzystaliśmy ich pomiary geofizyczne przeprowadzone w kopalni cynku na Uralu. Ale kiedy robię bilans tej współ-

pracy, to wydaje się mi, że Rosjanie jednak więcej z niej wynieśli.

■ Już kilkadziesiąt lat funkcjonuje Zimowa Szkoła Mechaniki Górniczej, czy przyniosła wymierne korzyści?

Utworzono ją w latach 70., we współpracy z pracownikami Politechniki Wrocławskiej. Ojcem szkoły był profesor Zdzisław Gergo-

W ramach ZD służby mechaniki górotworu pracowały do 77 roku, po czym wielu inżynierów tej specjalizacji przeniesiono do poszczególnych kopalń. Ja przeszedłem do pracy w centrali KGHM, a stało się to dość nieoczekiwanie. 24 marca 1977 roku doszło na granicy „Lubina” i „Polkowice” do wstrząsu, którego siłę oceniono na 10 do 10 dżuła. Jak dotąd mocniejszego w zagłębiu miedziowym nie było. Natychmiast zadzwonił do



ZG Sieroszowice. Otwarcie rejonu wydobywania soli. Wstęgę nacina Kazimierz Mrozek.

wicz. Kopalnie delegowały na szkolenia wielu pracowników. Po wykładach naukowców, inżynierowie górniczy dzielili się doświadczeniami i opowiadali o problemach powstających w kopalniach. Przez szkołę tę przeszła armia ludzi.

■ Z czasem odszedł pan z Zakładu Doświadczalnego. Gdzie było właściwsze miejsce dla człowieka z pana kompetencjami?

mnie ówczesny dyrektor generalny Tadeusz Babisz i powiedział: „Mrozek, coś ty narozrabiał? Nie mogę się opędzić od dziennikarzy. Atakują mnie, bo Ameryka podała na cały świat, że u podnóża Karkonoszy prowadzone są doświadczenia jądrowe. Co ja mam teraz powiedzieć dziennikarzom”. Wyjaśniłem mu, ale dyrektor nie dał mi spokoju. Za parę minut znowu zadzwonił i polecił: „Zabierz wszystko, co masz i przychodź do mnie, bo ja nie dam sobie z nimi rady”.

O godzinie 9. był wstrząs, a już o 13. dobijali się do dyrektora ludzie z prasy. Bez pardonowo atakowali nas, zarzucając, że nie mówimy prawdy, tymczasem sami byli w błędzie. 2-3 dni po konferencji odebrałem kolejny telefon z centrali KGHM z informacją, żeby się zgłosić w kombinacie. Dowiedziałem się wówczas, że dyrektor Babisz przenosi mnie do siebie. I tak po 13 latach pracy w ZD zostałem głównym inżynierem KGHM do spraw mechaniki górotworu.

Moja bliższa współpraca z dyrektorem Babiszem zaczęła się od wspólnego „spaceru” po kopalni, krótko po pamiętnym wstrząsie. Zjechaliśmy pod ziemię razem z dyrektorem „Polkowic” Zbigniewem Ziomkiem. Szliśmy w kierunku epicentrum wstrząsu i właśnie wtedy nastąpił kolejny wstrząs. Ja i Babisz przewróciliśmy się i gdy zestresowani leżeliśmy w błocie, dyrektor Ziomek, znany humorysta, stał nad nami i dowcipkował: „No...! Trzeba mieć trzy nogi równe...”. Nawet w takich chwilach nie opuszczało go poczucie humoru.

■ W tym czasie słynną wpadkę zaliczyła polska nauka...

Trzy dni po pamiętnym wydarzeniu z Instytutu Geofizyki PAN otrzymaliśmy komunikat podpisany przez profesora, którego nazwiska nie będę wymieniał. Twierdził on, że wstrząs z 24 marca związany jest z dużym tąpnięciem uskoku Dolna Odra i nie ma nic wspólnego z kopalnią. To co zafirmowała polska nauka, poważnie potraktowały władze górnicze. Dlatego dość długo to trwało, zanim udowodniliśmy, że żaba nie ma sierści, że to nasz wstrząs i nikomu go nie oddamy. Wynikło to potem jasno z wykonania dodatkowych obserwacji powierzchni, która nad polami Lubina Zachodniego i Polkowic Wschodnich siadła o 500 procent.

■ Na wstrząsie „przejechała” się też kierowniczka pewnego sklepu...

To był dość „egzotyczny” przypadek. Któraś raz zwróciła się do nas szefowa lubińskiej placówki handlowej z żądaniem zwrotu pieniędzy za szkody powstałe w wyniku rzekomego wstrząsu górniczego. Przekonywała, że z tego powodu rozbiło się kilkadziesiąt butelek ze spirytusem. Dzięki naszej aparaturze sejsmicznej udowodniliśmy, że żadnego wstrząsu we wskazanym przez nią czasie nie było. Odpisaliśmy, że

odszkodowania wypłacić nie zamierzamy, możemy natomiast zawiadomić policję. Nie było jednak takiej potrzeby, bo roszczenia tej pani się skończyły. Mieliśmy już wówczas dobrą aparaturę sejsmiczną i przekonujące dane. A zaczęliśmy w 1965 roku od pomiarów fotooptycznych autorstwa Mirosława Kazimierczyka z ZD. Kiedy zostałem głównym inżynierem górniczym w ZD, nadzorowałem też pracę geofizyków. Wówczas zaczęliśmy budować na powierzchni stacje sejsmologiczne, laboratoria i je wyposażać. W 1983 roku nawiązaliśmy kontakt z geofizykami z Wielkiej Brytanii, w tym ze światowej sławy profesorem Willmorem z Edynburga. Zakupiliśmy nowoczesną aparaturę firmy Thermomic, zakontraktowaliśmy najnowszy system obserwacji i dostosowaliśmy go do naszych warunków. Po tym zakupie okazało się, że dysponujemy sprzętem nie gorszym niż ten, który miał Główny Instytut Górniczy w Katowicach.

Z czasem w ZD pod kierownictwem Jerzego Tenerowicza dpracowaliśmy się rodzimych urządzeń, które okazały się jeszcze lepszymi niż sprowadzone zza granicy. Teraz KGHM dysponuje zintegrowaną siecią punktów obserwacyjnych, obejmującą swoim zasięgiem wszystkie oddziały, a nawet niektóre wysokie budynki narażone na wstrząsy.

■ Czy dla tak aktywnego w zawodzie inżyniera przejście na emeryturę nie było wstrząsem?

Z życia zawodowego wycofywałem się powoli. W kombinacie zakończyłem pracę w 1996 roku i przeszedłem do wrocławskiego Centrum Badawczo-Projektowego „Cuprum”. Tam byłem specjalistą do spraw górnictwa. Początkowo codziennie dojeżdżałem do Wrocławia, potem przeszedłem na pół etatu, a w 2003 roku ostatecznie przestałem pracować.

Przez długi czas byłem członkiem Komisji ds. Tąpań (miedzi i węgla), powoływanej przez resorty i WUG w Katowicach. Wchodziłem też w skład Sekcji Mechaniki Górotworu przy Komitecie Górniczym PAN, oddział Kraków. Do dzisiaj należę do Zespołu ds. Tąpań przy KGHM.

Teraz najwięcej czasu poświęcam łowieniu ryb. To bardzo relaksujące zajęcie.

W Elpenie produkowaliśmy mikrokel na radzieckiej licencji. Służył on do kierowania rakietą przeciwpancerną, która mogła razić na odległość zaledwie 3300 m. Nazywaliśmy ją rakieta na sznurku, bo wystrzelona ciągnęła za sobą kabelek. Ponieważ wyrób był ściśle tajny, w zakładzie pracował wojskowy, który nadzorował produkcję i odbiór tylko tego jednego kabelka.

Stanisław Łukaszewicz,
dyrektor techniczny
Fabryki Przewodów
Nawojowych Elpena.
Pracował w latach
1965 – 2009



Nie byliśmy pariasami

Fabryka Przewodów Nawojowych Elpena w Legnicy weszła w struktury KGHM w 1988 roku. Pięć lat później przekształcono ją w spółkę ze 100-procentowym udziałem kombinatu a w 1996 roku włączono w strukturę Dolnośląskiej Spółki Inwestycyjnej w Lubinie, a potem w KGHM Metale S.A.

■ Od Anglii do Cedyni

Zarząd KGHM w końcu lat 80. przyjął strategię przetwarzania produkowanej miedzi. A że Elpena pasowała branżowo i terytorialnie kombinatowi, jego kierownictwo było zainteresowane przejęciem tego zakładu. W 1988 roku decyzją Ministra Hutnictwa i Przemysłu Ciężkiego z października 1987 roku Elpena została

włączona w struktury KGHM. Ale współpraca obu firm trwała już od wielu lat.

– Początkowo musieliśmy kupować walcówkę w Anglii, bo w kraju nie było jeszcze technologii, przy pomocy której można by ją produkować. Potem sprowadzaliśmy ją z Szopienic. Huta dostarczała nam 80- i 100-kilogramowe kręgi z utlenioną powierzchnią w procesie walcowania. Z tego powodu przed jej przeciąganiem musiała być podana kłopotliwemu procesowi trawienia w roztworze kwasu. Te, które już później kupowaliśmy od Huty Cedynia, były skokiem technologicznym. Otrzymywaliśmy piękne 5-tonowe kręgi walcówki zabezpieczonej przed utlenianiem powłoką ochronną. Nam pozostawało już tylko włączyćciągarkę i mieli-

śmy gotowe przewody, które trafiały do kopalni zagłębia miedziowego jako przewody strzałowe, służące do podłączania ładunków wybuchowych – wyjaśnia Stanisław Łukaszewicz, emerytowany dyrektor techniczny „Elpeny”, jeden z pracowników o najdłuższym stażu w tym zakładzie.

■ Byłem tu – Sasza

Do Polski przyjechał z Litwy w 1955 roku z okolic Joniszek. Jego ojciec już od dwóch lat mieszkał w Giżycku, czekając na połączenie z rodziną. Wcześniej wywieziony był przez Rosjan na Sybir. Po śmierci Stalina i odwilży politycz-

Na początku koledzy ze szkoły trochę się z niego śmiali, ale z czasem dogadywali się coraz lepiej. Po skończeniu podstawówki na pięć lat wyjechał do Wrocławia, gdzie uczył się w Technikum Lotniczym. Potem wrócił do Legnicy i w 1965 roku zatrudnił się w Fabryce Przewodów Nawojowych. Pracując, skończył Politechnikę Wrocławską, wydział elektryczny.

Fabryka była ulokowana w obiektach przejętych w 1957 roku od wojsk radzieckich. Jeszcze do niedawna na murach zakładu można było przeczytać napisy w rodzaju: „Byłem tu – „Sasza”. Zdewastowane budynki remontowano do 1962 roku, po czym otwarto w nich Zakła-



*Stanisław Łukaszewicz z żoną Elżbietą,
z którą poznali się w Elpenie.*

nej został zwolniony z łagru i pracy w kopalni w Workucie. Kiedy dołączyła do niego rodzina, zamieszkali w Legnicy.

– Dla mnie, chłopaka wychowanego w drewnianej chałupie, przyjazd do Polski był szokiem. Adaptacja do nowych warunków nie zawsze była przyjemna. Zanim wyjechalismy z Litwy, wydawało się mi, że mówię po polsku. Potem okazało się, że mam mnóstwo naleciałości litewskich i rosyjskich, a nawet staropolskich – wspomina.

dy Wytwórcze Sprzętu Elektrotechnicznego. W tym też roku zmieniono nazwę na Fabrykę Przewodów Nawojowych, po latach dodano słowo „Elpena”.

■ Mniej zanieczyszczeń, więcej pretensji

Pierwszy dzień w firmie zaskoczył nieco Stanisława Łukaszewicza. Trafił on na wydział produkcji przewodów emaliowanych. Nakładano na nie powłoki za pomocą prymitywnych

maszyn. Emaliernia wyposażona była głównie w urządzenia radzieckie. Produkcja w tej technologii mocno zanieczyszczała otoczenie. Kiedy się wchodziło na halę, z podrażnionych oczu leciały łzy. A o takich „dziwnych” rzeczach, jak ochrona środowiska, nikt wówczas nie rozmyślał.

– Pozostawało się przyzwyczaić do uciążliwych warunków, w jakich pracowała załoga. Takie były czasy i specyfika firmy. Dzisiaj nikt by na funkcjonowanie takiego wydziału, jak dawna emaliernia „Elpeny”, nie pozwolił – przekonuje Stanisław Łukaszewicz.

Początkowo ludzie mieszkający w pobliskich kamienicach też nie narzekali na uciążliwe go sąsiada. Paradoksalnie, zaczęli przychodzić do firmy z pretensjami, że truje, dopiero kiedy zmodernizowano park maszynowy i FPN stała się dużo mniej uciążliwa dla środowiska

– Wynikało to chyba z faktu, że po zmianach politycznych można było sobie do woli ponażekać. Ponadto zaczęło się więcej mówić o ochronie środowiska i na tej fali przybyło nam awanturników się sąsiadów – śmieje się dzisiaj Stanisław Łukaszewicz.

■ Dziewczyny szły w ogień

Zanim zmodernizowano proces produkcji, emalierki nie miały katalitycznego dopalania gazów i wydział „produkował” gęsty dym. Gazy odprowadzano prymitywnymi rurociągami do murowanego komina. Wówczas na ściankach rur gromadził się łatwopalny osad i powodował wybuchowy zapłon. Eksplozja potrafiła skrócić komin nawet o dwa segmenty. Do pożarów dochodziło w niektórych okresach raz na tydzień, więc własna drużyna pożarnicza była w firmie niezbędna. Należeli do niej nie tylko mężczyźni, odrębną grupę tworzyły też kobiety. Większość zakładów w tej branży miała podobne problemy i prawie we wszystkich funkcjonowały ochotnicze straże pożarne. Drużyny brały udział w corocznych zawodach strażackich i wtedy panie szły w ogień. Zawsze zajmowały czołowe miejsca, a nawet pierwsze w Polsce wśród pokrewnych branżowych zakładach.

Natomiast gaszeniem prawdziwych pożarów i innymi wypadkami w firmie zajmowali się panowie. Któregoś dnia przybiegli na pomoc operatorowi koparki, bo zahaczył łyżką o kabel średniego napięcia.



Drużyna pożarnicza FPN na krajowych zawodach zajmowała czołowe miejsca.

– Huk był wówczas ogromny, w łyżce koparki wypaliło dziurę. Takie historie wcześniej się zdarzały, ale nigdy nie było tak, że nie mogliśmy znaleźć operatora. Za pół godziny sam przyszedł do zakładu. Doznał takiego szoku przy wybuchu, że wydostał się z maszyny, przeskoczył płot i uciekł. Opamiętał się dopiero na ulicy, kiedy był już daleko poza firmą – wspomina Stanisław Łukaszewicz.

Innym razem operator koparki zahaczył o podziemny, poniemiecki kabel. Pracownicy Zakładu Energetycznego byli z tego zadowoleni, bo wreszcie zlokalizowali przewód, o którym wiedzieli, że jest, nie mieli natomiast pojęcia, którędy on biegnie.

■ Polityka ponad gospodarką

FPN początkowo była firmą państwową, której z góry narzucano określone zadania gospodarcze, przydzielano materiał, a rachunkiem



Stanisław Łukaszewicz używał w pracy kamery. Służyła do pokazywania problemów nad którymi później debatowano.

ekonomicznym nikt się specjalnie nie przejmował. Postęp technologiczny ograniczała polityka.

– W „Elpenie” produkowaliśmy mikroka-
bel na radzieckiej licencji. Był to bardzo cienki
kabelek, składający się z trzech żył o średnicy
0,11 mm. Służył do kierowania raketą przeciw-
pancerną, która mogła razić na odległość tylko
3300 m. Nazywaliśmy ją raketą na sznurku,
bo wystrzelona ciągnęła za sobą kabelek. Wie-
działa o nim cała Legnica, choć pracownicy byli
zobowiązani do zachowania tajemnicy. Dlatego
mieliśmy w zakładzie wojskowego, który nad-
zorował produkcję i odbiór tego jednego kabe-
lka. W różnych okresach produkowaliśmy różne
jego ilości, i nagle w latach 80. zainteresowanie
tym „strategicznym” wyrobem zmalało. Widać

armia polska dopracowała się czegoś lepszego –
śmieje się były dyrektor.

W latach zimnej wojny na Zachodzie obo-
wiązywało embargo na dostawę nowoczesnych
technologii do krajów Bloku Wschodniego.
Doprowadzało to czasem do absurdów.

– Na przykład zakupiliśmy kiedyś w daw-
nej RFN ciągarę FSA-13. Niemcy, żeby ominąć
embargo, zamontowali w niej system stero-
wania o jedną generację starszy – przypomina
stare układy polityczne dyrektor.

Zanim mało wydajne maszyny, kupowane
w ZSRR, NRD i na Węgrzech zaczęto sukce-
sywnie zastępować urządzeniami z Austrii,
Włoch i Niemiec, upłynęły lata.

Maszyny starej generacji obsługiwane były
przez wielu pracowników, więc i zatrudnie-
nie było spore. W drugiej połowie lat 70. do-
chodziło nawet do 650 osób. Potem wyraźnie
zmałało wskutek między innymi komplek-
sowej modernizacji ciągu technologicznego,
która rozpoczęła się jakiś czas po wejściu „El-
peny” w struktury kombinatu. W 1996 roku
FPN zatrudniała już tylko 360 osób.

■ Kredyt na postęp

FPN, kilka lat po przejściu jej przez KGHM,
została przekształcona w spółkę. Zaczęła wów-
czas działać, jak samodzielna firma, bo Polska
Miedź, jak zapewnia były dyrektor, mocnych
ograniczeń nie narzucała. Dopiero wówczas
zarząd „Elpeny” mógł poważnie myśleć o mo-
dernizacji parku maszynowego.

Po przygotowaniu planów przekonujących
właściciela, że zakup nowych urządzeń jest
opłacalny, firma sprowadziła wyspecjalizowane
maszyny, wyprodukowane na konkretne zamówie-
nienie. W związku z tym była to dość kosztowa
inwestycja. „Elpena” wzbogaciła się wówczas
o nowe ciągarci i kilka emalierok.

Po modernizacji obsługa nowych urządzeń
była o wiele łatwiejsza. Na przykład początkowo
pojemności szpul były małe i co chwile trzeba
było je wymieniać. Potem wprowadzono szpule
o pojemności kilkanaście razy większej. Robot-
nik pracował spokojniej, a i maszyna była o wie-
le wydajniejsza.

Zmieniło się też samo otoczenie, bo znacz-
nie ograniczono zanieczyszczenie środowiska.

– Gdybyśmy się nie związali się z kombina-
tem, nie dokonalibyśmy tych zmian, gdyż kre-



Po modernizacji parku maszynowego praca w Elpenie stała się łatwiejsza a sam zakład ograniczył zanieczyszczanie środowiska naturalnego.

dyty bankowe były wówczas zbyt drogie. Pracując na przestarzałej technologii, nie mieliśmy szans konkurować z zagranicznymi, a nawet krajowymi producentami. Modernizacja okazała się niezbędna, żeby wyjść na szersze rynki. To się w niemałym mierze udało. Sporo naszych produktów sprzedawaliśmy do RFN, Francji, Wielkiej Brytanii, Austrii. Niektóre znalazły odbiorców w Nigerii i Libii, inne w Hongkongu, Tajlandii, Arabii Saudyjskiej. Rynki zbytu się poszerzały, ale nadal głównymi odbiorcami były firmy krajowe produkujące sprzęt elektro-techniczny – informuje były dyrektor.

■ W rękach Włochów

KGHM Metale w dwóch etapach sprzedawały swoje udziały Włochom i w maju 2000 roku Elpena stała się w stu procentach własnością włoskiej firmy Patelec.

– Doszło do tego, bo nie mieliśmy rewelacyjnych wyników ekonomicznych, choć unowocześniłszy zakład. Pieniądze z KGHM na modernizację się znalazły, ale oczywiście obciążały nasze koszty wytwarzania. Trzeba było sporo zarobić, żeby inwestycje się zwróciły i to się nam nie udało. Jakie były

przyczyny? Mieliśmy silną konkurencję. Nasi koledzy z branży szybciej poszli do przodu, jeśli chodzi o technologie. My początkowo nie mieliśmy takich możliwości, a po modernizacji parku maszynowego okazaliśmy się zbyt drodzy. Wynikało to między innymi z faktu, że produkowaliśmy na energożer-nych maszynach i zbyt mało w porównaniu z naszą konkurencją. A to przekładało się na wysoką cenę jednostkową – wyjaśnia Stanisław Łukaszewicz.

Włosi zmienili podstawowy profil „Elpeny” – zaprzestali produkcji przewodów nawojowych. Całe wyposażenie wydziału emalierni sprzedali do Kolumbii, natomiast firma Patelec-Elpena utworzyła nowy wydział przewodów zasilających i skupiła się na ich wytwarzaniu. Zakład Przewodów Nawojowych Elpena funkcjonował w strukturach KGHM przez 12 lat.

– Mieliśmy wówczas względną swobodę działania, korzystaliśmy z socjalnych przywilejów, byliśmy zapraszani na ważniejsze spotkania, ale też i na Karczmę Piwne. Patrząc wstecz, nie mogę powiedzieć, by KGHM traktował nas jak pariasów – podsumowuje były dyrektor techniczny Elpeny Stanisław Łukaszewicz. ■

Równie ciężką batalię trzeba było stoczyć, przekształcając przedsiębiorstwo państwowe KGHM w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Trudności brały się stąd, że do końca żywe były koncepcje „rozwalenia” kombinatu, tak jak chciało tego Asarco.

Jan Sadecki, pełnił funkcje kierownicze w ZG Lubin - dyrektor ds. technicznych i w ZG Rudna - dyrektor naczelny, pierwszy prezes KGHM Polska Miedź S.A. Pracował w latach 1965 – 2006



Nie chciałem ożenku z Asarco

■ W jednym z wywiadów zwierzył się pan, że chciał zostać pilotem, tymczasem wylądował pan pod ziemią...

Marzenia o lataniu przeszły mi po tym, jak w wypadku lotniczym zginął mój kuzyn - pilot. Górnictwo też mnie pociągało. Po podstawówce zdałem do Technikum Górniczego w Chorzowie Batorem, ale wytrzymałem tam tylko dwa miesiące - nie potrafiłem się odnaleźć na Górnym Śląsku. Wróciłem w rodzinne strony, na Rzeszowszczyznę, skończyłem liceum ogólnokształcące, z górnictwa jednak nie zrezygnowałem; na Akademii Górniczo-Hutniczej studiowałem projektowanie i budowę zakładów górniczych.

■ A co pana przywiodło akurat na Miedź?

Pierwsze miedziowe bakcyle dopadły mnie tuż po maturze, w 1959 roku. Z kolegami wyruszyłem autostopem dookoła Polski. Jednym z etapów był Lubin - zachwyciło mnie to nie-

wielkie, tonące w zieleni miasteczko, nawet kury łączące po rynku mi nie przeszkadzały. Gdy dwa lata później na AGH pojawiła się oferta stypendialna Zjednoczenia Górniczo-Hutniczego Metali Nieżelaznych dla przyszłych pracowników Miedzi, od razu się zdecydowałem a razem ze mną grupa kolegów.

Na uczelni założyliśmy koło naukowe „Lubin”, zbierając wszelkie informacje na temat przemysłu miedziowego. Zaprośmy nawet do Krakowa dyrektora naczelnego kombinatu Tadeusza Zastawnika. Spotkanie odbyło się nie na AGH, tylko w klubie ZSP Pod Jaszczurami, z myślą o całym środowisku akademickim. Mój przyszły Pryncypał, jak go zawsze z wielkim szacunkiem nazywałem, dał piękny wykład i przedstawił kuszące perspektywy; dobre zarobki, mieszkania. Na praktyce dyplomowej w 1964 roku (pisałem pracę nt. budowy szybów) moja fascynacja zagłębieniem miedziowym jeszcze się umocniła, m.in. dzięki opiekunowi Piotrowi

Nowakowskiemu z Przedsiębiorstwa Budowy Kopalni w Lubinie, który sam był pasjonatem górnictwa. Podziwiałem ludzi z PBK, drążących szyby pionierskimi w Polsce metodami mrożeniowymi, i to w tak ciężkich warunkach; na szybie Bolestaw, do głębokości 310 m musieli przejść przez 18 horyzontów wodonośnych! W tym czasie w zachodnich publikacjach pisano, że polska technika nie poradzi sobie z tak wielkim wyzwaniem inżynierskim.

■ Po studiach, w 1965 roku, od razu zostaje pan asystentem dyrektora Zastawnika. To też nie małe wyzwanie...

To był trudny okres, musiałem się bardzo intensywnie uczyć, by ogarnąć te wszystkie problemy, które trafiały do dyrektora. Wołałem pracę w ruchu. Szybko dostałem mieszkanie na osiedlu Awaryjnym w Lubinie. Sprowadziłem żonę, gdyż dyrektor Zastawnik zgodził się na refundację jej stypendium, które pobierała z fabryki żarówek w Pabianicach. Jako chemik Cecylia znalazła pracę w centralnym laboratorium na Szybie Wschodnim „Lubina”. Staż kończyłem na „Lenie”, potem egzamin i skierowanie do SOWI. Tam zaczęła się prawdziwa robota: kierowałem oddziałem joy'owskim i uczyłem się dobrych wzorców, m.in. od dyrektorów: Wiesława Trzaka i Tadeusza Drzewi.

1 stycznia 1969 roku przekazanie do ZG Lubin. Tu też trafiłem na wspaniałych dyrektorów, takich jak: Włodzimierz Mięśowicz, Janusz Bojakowski, Adam Jesionek, Zenon Słowiński. Przeszedłem po kolei wszystkie szczeble w górniczym nadzorze, aż do kierownika robót na Lubinie Zachodnim - tam zdobyłem pierwsze „oficerskie” szlify. Miałem dużo samodzielności, ale i życzliwe wsparcie od dyr. Bojakowskiego, który często zaglądał na moje poletko. Nie bez powodu: na LZ była najlepsza ruda - o najwyższej zawartości miedzi. Obchód zwykle kończyliśmy na podszybiu, w węźle przepływowym. Dyrektor

lubił się tam zatrzymywać; oparty o barierki z zadowoleniem przyglądał się, jak urobek spływa do szybika.



Początek lat 70. Kopalnia Lubin. Jan Sadecki z Jerzym Markowskim, byłym dyr. ZG Lubin, ZG Rudna i wiceprezesem KGHM.

■ Pamięta pan, jak po drabinkach schodziliście z Piotrem Maćkowem w głąb 750-metrowego szybu?

To było w 1974 roku. Ośmiotonowy wóz wpadł do szybu L-IV. Z Piotrem, głównym inżynierem energo-maszynowym, dostaliśmy polecenie zejścia przedziałem drabinowym, by ocenić rozmiar uszkodzeń. Przedział był częściowo zniszczony, wyczynialiśmy cyrkowe numery, żeby dostać się na dół. Na poziomie 670 m wyczerpani padliśmy na spąg, nie mogąc nawet słowa wydusić z siebie. Dzisiaj do tak ekstremalnego wyczynu nikt w mnie nie zmusił.

Trudną technicznie sprawą na „Lubinie”, za czasów dyrektora Jesionka, była eksploatacja pod zbiornikiem odpadów poftotacyjnych Gilów. Istniało zagrożenie naruszenia zapory, gdyby doszło do jej przzerwiania, szlam ze zbiornika zalałby część miasta. Tak wynikało z ekspertyzy prof. W. Molisza z Politechniki Gdańskiej. Dzięki jego fachowej pomocy bezpiecznie wybieraliśmy złożę pod „Gilowem”. To był duży sukces,

zauważony także w „centrali”. Za udział w projekcie: „Eksploatacja zawałowa złoża rud miedzi w filarze ochronnym zapory zbiornika Gilów” dostałem 10 tys. zł nagrody od Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Wcześniej, w 1972 roku, otrzymałem państwową nagrodę zespołową pierwszego stopnia za udział we wdrożeniu wysokowydajnych systemów eksploatacji złoża rud miedzi.

W 1975 roku zostałem zawiadowcą a potem dyrektorem technicznym kopalni. Sztab kierowniczy „Lubina” był tak świetnie zgrany jak doborowa orkiestra. A co się dzieje, jak się ktoś sprawdza na swoim stanowisku? Oczywiście awansuje się go, i to do gorszej roboty. Na tej zasadzie mój naczelny, Zenon Słowiński, został dyrektorem nowo uruchomionej „Rudnej”, a że na „Lubinie” dobrze się dogadywaliśmy, poprosił szefów kombinatu, żeby i mnie przeniesli.

■ Na „Rudnej” miał pan opinię dyrektora, który twardą ręką trzymał dyscyplinę.

„Rudna” - największa w tym czasie kopalnia w Europie - była jeszcze w trakcie budowy. Będąc dyrektorem technicznym, kierowałem jednocześnie komisją rozruchową. Jak zwykle przy tak wielkiej inwestycji, panowało tam spore zamieszanie. Czasem było śmiesznie, czasem tragicznie. Kiedyś na jednym z oddziałów chciałem zobaczyć dwie upadowe. Sztymar zmianowy próbował mnie zniechęcić. Uparłem się, zaglądam, a tam basen: wyrobisko zatopione. Świecę lampką - coś wystaje z wody. Sztymar tłumaczy się, że nie zdążył na czas wyprowadzić maszyn. Gdy widziałem karygodne nieróbstwo i niedbalstwo, od razu ostro i zdecydowanie reagowałem. Mieliśmy też kłopot z oponami, które często się przebiły, a główną tego przyczyną były pogięte kotwy porzucane na spągach. To nas słono kosztowało, gdyż używaliśmy opony firmy Michelin, drogich, ale wielokrotnie trwalszych od polskich. Nie pomagały prośby ani upomnienia. Poskutkowały dopiero radykalne metody; za kotwę, którą znalazłem na spągu, sztymar tracił 150 zł z premii.

Inny problem dotyczył braku integracji, tego specyficznego poczucia wspólnoty wśród górników. Słabe utożsamianie się z kopalnią rzutowało również na stosunek do pracy, a więc i na wyniki. A mnie po nocach śniło się te 12 mln ton rocznego wydobycia, które nam narzucono. Po-

trzebni byli liderzy, wokół których załoga by się integrowała. Znalazło się takich dwóch: Józek Bednarkiewicz i Wiktor Błądek - ich oddziały najlepiej fedrowały. Błądek znany był z barwnego słownictwa. Kiedyś powiedziałem mu: „Wiktuś - tak się do niego zwracałem - będę dumny, jak mi się uda oduczyć pana używania słowa na - k”. Skutki mego apelu były raczej mizerne, ale przy mnie się hamował. Miał za to niesamowitą charyzmę i górnicy go uwielbiali. (Jeśli chodzi o poziom sztuki górniczej, zrobił olbrzymi postęp - od sztygara, któremu potracąłem premię za kotwy na spągu, do prezesa KGHM.).

Staraliśmy się też zauważać solidną robotę. Gdy oddział dobrze pofedrował, w nagrodę zapraszaliśmy wszystkich na ucztę; przy piwku czy setce ludzie się otwierali, łatwiej rozmawiało się o sprawach zawodowych. W latach 70. zaczęło się bicie rekordów. Różne były na ich temat opinie, ale takie współzawodnictwo też scalało oddziały i pozwalało lepiej zapłacić za dobre wyniki, bo sam dyplom to za mało.

■ W 1976 roku w „Rudnej” doszło do największego w historii kopalni pożaru. Pan kierował wtedy akcją ratowniczą?

Zapalił się główny szyb wydobywczy R-II, prawdopodobnie podczas robót spawalniczych przy kieszeniach odmiarowych, poniżej poziomu 1000 m. Kierowałem akcją ratowniczą na dole, dyrektor Słowiński na górze. W strefie zagrożenia znalazły się 522 osoby, które bezpiecznie ewakuowaliśmy - do szpitala trafiło jedynie ok. 20 podtrutych górników. Ogromniszczeń niewyobrażalny, ale zagrożenie było jeszcze większe, ponieważ przy szybie znajdowały się magazyny materiałów pędnych i wybuchowych. Gdybyśmy w porę nie opanowali pożaru, doszłoby do katastrofy. To, że uniknęliśmy tak dramatycznego scenariusza, było m.in. rezultatem szkoleń, które nieustannie prowadziliśmy na wypadek pożaru lub wdarcia się wody. Dzięki temu szybko dokonaliśmy rewersji wentylatorów, by toksyczny dym nie przedostał się w głąb kopalni, tylko był kierowany na powierzchnię.

To zdarzenie było i klęską, i sukcesem jednocześnie. Akcję ratowniczą docenił dyrektor KGHM Tadeusz Babisz: dziękował za uratowanie ludzi i kopalni. Gdy podczas oficjalnego spotkania poprosił mnie o krótką relację, czułem jeszcze tak silne emocje, że początkowo

głos mi się załamał. Za pomoc w tej akcji jestem szczególnie wdzięczny: kpt. Waldemarowi Jakubowskiemu - wtedy szefowi ratowników w ZG Lubin i Janowi Wandzłowi, który w pewnym trudnym momencie uratował mi skórę.

■ Na stanowisko dyrektora naczelnego „Rudnej” wyniósł pana ruch solidarnościowy, mimo że był pan członkiem partii.

Miałem legitymację, ale nigdy nie byłem działaczem. Zresztą wyrzucono mnie za to, że moje córki poszły do komunii. Ten pierwszy autentyczny ruch solidarnościowy to było rzeczywiście coś pięknego, porywającego. Całe kierownictwo „Rudnej” wpisało się do Solidarności. Świetnie układały się nam relacje ze

Mówił, że było mu tam bardzo ciężko - zmarł parę lat temu). Z tego okresu szczególnie dobrze wspominam współpracę m.in. ze Staszkiem Lembasem, z Zenkiem Hamelakiem, a także Jurka Pankowskiego i Józefa Waltera z klubu krwiodawców - oddanych temu ruchowi.

Mimo czarnowidztwa władz i rewolucyjnych nastrojów, „Rudna” fedrowała jak należy. Nie było politycznych podziałów, czuło się, że załoga stanowi jedność. Procentowała postawa (nie tylko moja) „dyrektora-humanisty” polegająca na wzajemnym poszanowaniu niezależnie od przekonań i koloru legitymacji. Pod tym względem w KGHM wzorami byli dyrektorzy: Jesionek, Słowiński, Bojakowski, Markowski, Siewierski. Ja, mimo dobrych wyników produkcyjnych, miałem fatalne notowania w KW PZPR w Legnicy za sprzyjanie Solidarności i bojkotowanie partyjnych decyzji, np. gdy zatrudniłem Kazia Gałajdę, którego partia z „wilczym biletem” wyrzuciła z pracy.

■ Pewnie nie przypuszczał pan, że wkrótce i pana to spotka?

Ogłoszono stan wojenny. Strajk. Wielkie emocje, burzliwe nastroje. I niepokój - jak się dalej potoczą zdarzenia. 16 grudnia, o godzinie 16, w moim gabinecie pojawili się mundurowi pułkownicy. Prosił o spotkanie z załogą. Komitet strajkowy zgodził się.

Zostawili broń w gabinecie i poszliśmy na cechownię, gdzie zgromadziło się ok. 2,5 tys. ludzi (na Szybie Zachodnim około 1,5 tys.). O powrót do pracy zaapelował płk Garus z komendy wojewódzkiej MO, co przyjęto w miarę spokojnie, ale drugi pułkownik - komisarz tylko zaognił atmosferę. Wziąłem mikrofon i poprosiłem o jedność i rozwagę. Moje wystąpienie zakończyło się hymnem narodowym. Pułkownicy opuścili kopalnię. Wieczorem wezwanie do kombinatu. Dyrektor naczelny KGHM Janusz Maciejewicz wręczył mi odwołanie: „Zgodnie z decyzją Wojewódzkiego Komitetu Obrony odwołuję obywatela z dotychczas zajmowanego stanowiska



2007 rok. Ryszard Sawicki odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Obok Jan Sadecki i Stanisław Lembas.

związkowcami, m.in. z Andrzejem Poroszewskim i Ryszardem Sawickim - później działaczem struktur kombinackich, wojewódzkich i krajowych. To prawda, że dzięki nim zostałem dyrektorem „Rudnej” - mój szef Zenon Słowiński w tym czasie awansował na wiceministra. (Niedługo po ogłoszeniu stanu wojennego Ryśka zmuszono do emigracji. Mieszkał w Kanadzie, spotykaliśmy się, gdy przyjeżdżał do kraju.

dyrektora ZG Rudna". Odesłano mnie do dyspozycji dyrektora technicznego Mirka Pawlaka. Byłem załamany. Mirek poradził: „Idź do szpitala, niech cię reanimują, bo swoim wyglądem ludzi straszysz”. Tak też zrobiłem. W tym czasie, z 16 na 17 grudnia, ZOMO pacyfikowało strajk, brutalnie rozpędzając załogę „Rudnej”.

Któregoś dnia pod szpital zajechała milicyjna suka. Zabrali mnie na komendę. Po wielogodzinnym przesłuchaniu dostałem protokół do podpisania. Odmówiłem, bo znalazłem w nim sformułowania, których nie wypowiedziałem. Zagrozili, że tak długo będę siedział, aż podpiszę. Nie miałem wyjścia: żona w szpitalu, w domu dwoje małych dzieci...

■ Ale nie wyrzucono pana na bruk - wtedy każdy musiał pracować. Uchylających się wywożono na Żuławy...

Byłem laborantem, docentem, betoniarzem i złomiarzem. Ale po kolei. W połowie stycznia 1982 roku dostałem angaż głównego inżyniera górniczego w Zakładzie Doświadczalnym, a pod koniec miesiąca decyzję anulowano, wysyłając mnie do „Cuprum” we Wrocławiu, byle dalej od

Lubina. Dyrektor Zbigniew Pochciał zaofერował mi stanowisko ... starszego laboranta. Czułem się poniżony i zagubiony, dlatego z wdzięcznością przyjąłem pomoc zastępcy Pochciała - Stasia Siewierskiego, którego nawet dobrze nie znałem. Jemu nie przeszkadzało moje polityczne uwikłanie. Podobnie jak przyjaciółom z Politechniki Wrocławskiej; prof. Żur i doc. Fiszer zaproponowali mi prowadzenie zajęć ze studentami w Instytucie Górnictwa. Tak więc, przydał się mi stopień doktora, który zrobiłem w 1979 roku. Dojazdy do Wrocławia były kłopotliwe ze względu na stan wojenny (przepustki) i na koszty - zarobki miałem mizerne. Aby nie musiał codziennie dojeżdżać, zablokowali mi zajęcia w dwóch dniach. A mój bratanek przegarnął mnie do swojego mieszkania. Dużo życzliwości doświadczyłem również ze strony grona pedagogicznego SP nr 2 w Lubinie, gdzie uczyły się moje córki.

Na politechnice wykładałem projektowanie techniczne w górnictwie. Okazało się, że program nauczania, całkowicie odstawał od współczesnej praktyki, zaproponowałem więc inny materiał: faszerowałem studentów nowinkami

z przemysłu miedziowego a przy okazji przemyciałem trochę polityki. W 1987 roku niespodziewanie rektor prof. Jan Kmita nie przedłużył ze mną umowy, choć wydział wystawił mi bardzo dobrą opinię. Mimo wszystko dumny jestem z tego, że dzisiaj na Karczmach Piwnych spotykam moich byłych wychowanków, których wykładami zachęciłem do pracy na Miedzi.

Znalazłem się na kolejnym życiowym zakręcie. Próbowiałem handlować, czym się dało - bez większego powodzenia. W Suchej Górnej uruchomiłem

zakład plastobetonu, wcześniej zdając egzamin czeladniczy. Nic z tego nie wyszło - brakowało materiałów wsadowych. Założyłem przedsiębiorstwo zagraniczne Bruno, z kontrahentem z Niemiec, chcieliśmy przerabiać złom. Szło



Tadeusz Zastawnik (po lewej) na Barbórcie w Lubinie. Obok: Janusz Maciejewicz - były dyrektor generalny KGHM, później minister, Mirosław Pawlak - były dyrektor generalny KGHM, Jan Sadecki i Krzysztof Sędzikowski - były prezes KGHM PM S.A.

marnie, bo w Polsce nie było jeszcze warunków dla prywatnej przedsiębiorczości. Nie miałem za co żyć, zacząłem więc wyprzedawać swoją filalistyczną kolekcję - tak przetrwałem do 1989 roku.

■ Ustawa przywróciła pana do pracy w kombinacie i od razu postanowił pan zawalczyć o swoje?

Zgłosiłem się do pierwszego i jedynego w historii kombinatu konkursu na dyrektora generalnego. Wygrałem, a na swoich zastępców wybrałem doświadczonych fachowców: Wojtkę Skocznińskiego i Jurka Legiecia. Niestety, zastałem nieciekawą sytuację. Firmę prześwietlał AT Kearney - wciąż uważam, że było to marnowanie pieniędzy. Trwały rozmowy z Asarco, koncernem, który chciał z KGHM założyć spółkę joint venture, a tak naprawdę liczył na łatwy interes, wydzierając dla siebie najlepsze kąski („Rudną”, część „Sieroszowic”, HM Głogów).

rządowych i parlamentarnych miało swoich popleczników, którzy pod sztandarem Solidarności głosili skrajny liberalizm gospodarczy. Do sprawy trzeba było podejść dyplomatycznie. Pojechałem do USA zobaczyć gospodarstwo Asarco. W składzie delegacji znaleźli się dyrektorzy: Janusz Łyszczarz, Jerzy Markowski i Marian Krzemiński z rady pracowniczej. Na końcowym spotkaniu Amerykanie przedstawili swoje podstępne propozycje, ubrane w piękne szaty. W miarę dyplomatycznie powiedziałem, że ich oferta jest niedorzeczna. Byli wściekli na nas, demonstracyjnie opuścili salę. Nie zapewnili nawet samochodu na lotnisko. Wtedy Janusz Łyszczarz powiedział asystentce prezesa Asarco, że robi taką aferę w mediach, że jej szefowie sto lat będą nas przepraszać. To poskutkowało, odwieźli nas na lotnisko. Dla zwolenników mariażu KGHM z Asarco stałem się wrogiem nr 1.

W tym czasie pojawiła się konkurencja dla Asarco - australijski koncern Western Mining, który również chciał robić z nami biznes. Ale ich oferta też nie powalała; proponowali śmiesznie niskie kwoty na inwestycje.

■ A jak to było z pana odwołaniem za pośrednictwem telewizji?

W końcu Australijczycy wycofali się z honorem, ale popierane przez liberałów Asarco nie dawało za wygraną. Byłem przeszkodą w ich planach, więc trzeba się było mnie pozbyć. Minister Andrzej Zawisłak zwołał mnie w wieczornym dzienniku TVP. Rano pociągami dotarł do Lubina emisariusz pana ministra z odwołaniem na piśmie. Nasz

prawnik oświadczył mu: „Proszę ten papier zabrać i wracać do Warszawy - to jest bezprawie”. Kombinat był jeszcze przedsiębiorstwem państwowym i odwołać mogła mnie jedynie rada pracownicza.

Tego samego dnia minister pojawił się osobiście. Przyleciał samolotem do Lubina i omijając KGHM, udał się do Urzędu Wojewódzkiego. Tam zażyczył sobie spotkania z dyrektorami



Jan Sadecki (w środku) oprowadza po kopalni gości: kardynała Henryka Gulbinowicza (po lewej) i ks. Wiesława Migdała, proboszcza parafii pw. św. M. Kolbego w Lubinie.

Gdyby tak się stało, reszta firmy, mniej dochodowa, skazana byłaby na upadek. Nie mogliśmy wydać Asarco otwartej wojny, bo w kręgach



Lubin. 1991 rok. Prezes Jan Sadecki (po lewej) podejmuje w Lubinie premiera Jana K. Bieleckiego i Henrykę Bochniarz - minister przemysłu i handlu.

zakładów KGHM, ale bez kierownictwa kombinatu. Na tym spotkaniu głos zabrał m.in. Rysiu Wdowiak, dyrektor techniczny ZG Sieroszowice: „Panie profesorze - zwrócił się do ministra Zawiślaka - pan mnie uczył, słuchałem pańskich wykładów i muszę z przykrością powiedzieć, że to co pan robi, przeczy temu co pan kiedyś nam mówił”. Po południu odbyło się następne spotkanie już w Lubinie, z udziałem przedstawicieli załogi. Było ono szczególnie niefortunne dla pana ministra. Po jego zakończeniu przyszliśmy do mojego gabinetu i Zawiślakowi ponownie się ostro oberwało, tym razem od mojego zastępcy Wojtka Skoczyńskiego, który w niezbyt parlamentarnych słowach powiedział, co myśli o jego decyzjach. Minister w końcu przeprosił mnie za zamieszanie. Kazał wezwać dziennikarzy i przy nich oficjalnie porwał pismo z moją dymisją.

Aby ministerstwo mogło negocjować z zagranicznymi kontrahentami, potrzebna była opinia zarządu KGHM. Zawiślak to uszanował, nie naciskał na jej wynik. A nasz zarząd nie miał wątpliwości: ożenek z Asarco nie był dobry dla firmy, tylko by ją pogrążył. W prasie ukazywały się wypowiedzi zatroškanych lokalnych polityków: cyt. „Bez kapitału zachodniego polski przemysł miedziowy nie będzie w stanie stanąć na nogi o własnych siłach”. Tymczasem Polska

Miedź do dziś pięknie się rozwija bez grosza kapitału zagranicznego!

Z jednej strony toczyłem walkę z przeciwnikami, z drugiej był to dla mnie czas honorów. W sierpniu 1991 roku prof. Zdzisław Kłeczek, przewodniczący Komitetu Górniczego PAN, powołał mnie w skład Sekcji Mechaniki Górniczej. W styczniu 1992 roku zostałem doradcą ministra przemysłu i handlu. W kwietniu, na zaproszenie Bronisława Geremka, przewodniczącego Unii Demokratycznej, wygłosiłem w gmachu Sejmu główny referat na konferencji poświęconej barierom przedsiębiorczości. Ale moi oponenci nie odpuszczali. Ostatecznie rozprawiono się ze mną 22 maja 1992 roku podczas posiedzenia rady nadzorczej KGHM Polska Miedź S.A., na które nie zostałem zaproszony - odwołano mnie tam jednym głosem.

■ Był pan ostatnim generalnym dyrektorem kombinatu i pierwszym prezesem miedziowej spółki, czyli zamykał pan starą epokę i jednocześnie wprowadzał KGHM w nową. Jaką część zamierzeń udało się panu zrealizować i w jakiej atmosferze odbywały się te zmiany?

80 proc. planów zrealizowaliśmy, czasami wręcz trzeba było o nie walczyć. „Oczyściliśmy” firmę z otoczki socjalnej, przekazując

mieszkania samorządom, a ośrodki wczasowe utworzonej spółce Interferie. Założyliśmy spółkę Mercus, którą do dziś z sukcesami kieruje Bogusław Ksel. Bardzo trudnym zabiegiem było zabranie Impeksmetalowi handlu miedzią i srebrem, ponieważ naruszało to interesy ludzi i firm spijających całą śmietankę z tych transakcji. Działaliśmy w atmosferze pomówień i niewybrednych ataków: w interpelacji poselskiej oskarżano mnie o to, że rządzę się jak kacyk. A jeden z głównych przeciwników mówił, że w siedzibie Impeksmetalu będzie stał mój pomnik z napisem: „Tu wolno pluć!”. Straszono, że nie damy rady sami sprzedawać miedzi, że wrócę z workiem na głowie błagając, by Impekmetal z powrotem nią handlował. Tymczasem spółka Metraco, którą powołaliśmy, płynnie przejęła zagraniczne transakcje miedzią, dzięki wspólnemu menedżerowi Januszowi Łyszczarzowi. Solidarność zarzucała mi, że komucha przygarnąłem (wcześniej był pracownikiem wydziału ekonomicznego KW PZPR), ale ja gdzie miałem partyjne kolory. Pod jego okiem młodzi ludzie przygotowywali się do przejścia handlu miedzią, a potem świetnie się spisali, gdy tę operację finalizowano.

Z uporem forsowałem decyzję budowy fabryki metali szlachetnych przy HM Głogów w oparciu o technologię szwedzkiej firmy Boliden. Ta inwestycja nie była po myśli niektórych osób wewnątrz KGHM, a przede wszystkim nie podobala się w Hucie Szopienice. To tam wysyłano szlamy anodowe z naszych hut i tam odzyskiwano z nich srebro i złoto. Przeciwnicy mówili, że to nieopłacalna inwestycja, bo zwrot nakładów nastąpi dopiero po 12 latach. Zaprzęgnięni ekonomiści z Wrocławia obliczyli, że najwyżej po 2-2,5 latach odzyskamy nakłady. Zwrot nastąpił jeszcze szybciej!

Równie ciężką batalię toczyliśmy, przekształcając przedsiębiorstwo państwowe KGHM w jednoosobową spółkę skarbu państwa. Trudności brały się stąd, że do końca żywe były koncepcje „rozwalenia” kombinatu, tak jak chciało tego Asarco. Ostatnim etapem przed przekształceniem było uzyskanie opinii 52 delegatów załogi. Początek spotkania nie wróżył niczego dobrego; to przeciwnicy nadawali ton. Zabrałem głos i szybko zyskałem sprzymierzeńców. Tylko 3 delegatów głosowało przeciw. Jednak triumf był przedwczesny, bo kiedy

przyjechałem do ministerstwa z dokumentami, by u notariusza zarejestrować KGHM jako spółkę, pewien urząd (pomińmy nazwę) zablokował dalsze kroki. Nie wiedziałem co dalej robić. Mój przyjaciel z kręgów rządowych poradził: jedź do nich i wyjaśnij. Pojechałem i przez godzinę tłumaczyłem, co to jest KGHM i jakie ma znaczenie dla kraju. I wtedy ten człowiek, o którym krążyły różne niepochlebne opinie, powiedział: „Może pan wracać do resortu - sprawa załatwiona”. 11 września 1991 roku złożyliśmy u notariusza stosowne podpisy.

■ Jak się potoczyły pana losy po odwołaniu z funkcji prezesa Polskiej Miedzi?

Przez osiem miesięcy nie było dla mnie miejsca w KGHM. Dopiero w lutym 1993 roku dostałem pracę w Przedstawicielstwie w Pradze. W pierwszym okresie w charakterze personelu a później - dyrektora Przedstawicielstwa. Cały personel: to byłem ja i sekretarka, ale efekty miałem; opanowaliśmy cały rynek miedziowy w Czechach i na Słowacji. W 2006 roku nastały rządy „sprawiedliwych” i prezes Skóra odwołał mnie „dla dobra firmy”. Przez okres wypowiedzenia uczyłem swego następcę - filologa, co to jest walcówka, co to jest katoda...

Podczas jubileuszu 50-lecia KGHM Polska Miedź S.A., w 2011 roku, z ogromną przyjemnością odbierałem z rąk prezesa Herberta Wirtha pamiątkowy dyplom wryty w miedzi z podziękowaniami za wkład w rozwój firmy. To najważniejsza nagroda w mojej zawodowej karierze. Gdybym raz jeszcze wybierał ścieżkę zawodową, nie zmieniłbym niczego, mimo tylu życiowych zawirowań, stoczonych bitew, bolesnych upadków i codziennej walki o przetrwanie. W mojej rodzinie nie tylko ja działałem na pierwszej linii frontu. Geny walki przekazał mi zapewne ojciec, Wojciech Sadecki - legionista. Jako sierżant liniowy walczył z bolszewikami i Ukraińcami. Jego książeczka wojskowa z zapisem bojowego szlaku, to dla mnie relikwia.

Zadowolony jestem z życia rodzinnego. Po 9 latach wdowieństwa poznałem Wioletkę, moją obecną żonę. Mieszkamy w Jeleniej Górze i mamy wspaniałą córkę Kasię, przebojową licealistkę, która zapowiada, że kiedyś też będzie dyrektorem. Starsze córki mieszkają za granicą: Renata w USA a Joasia we Francji. Jestem także dziadkiem pięciorga wnuków. ■

**Zmrożony górotwór pikrowali-
śmy ręcznie. Huk i potężne wi-
bracje wiertarek dawały się we
znaki. Pot zamarzał na plecach,
bo przecież urabiany górotwór
miał minus 15 stopni Celsjusza,
a temperatura otoczenia była
tylko o siedem stopni wyższa –
wspomina Zdzisław Chamielec.
– Wielu nie wytrzymało tych
piekielnych warunków.**

Zdzisław Chamielec,
górnik operator
maszyn dołowych,
strzałowy, górnik
przodowy w PBKRM.
Pracował w latach
1966 – 1993



Ech, czego się miałem bać!?

Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Budowlanej w Nowej Rudzie stawiał piec kaflowe i kuchenne. Gdy z początkiem lat sześćdziesiątych medium gazowe zaczęło wypierać węgiel, zdun Chamielec postanowił szukać lepiej płatnego zajęcia i zdecydował, że z rodzinnego Dzikowca ruszy do kopalni na Górny Śląsk.

Szczęśliwym trafem, na dworcu kolejowym w Nowej Rudzie, spotkał kuzyna Staszka, wracającego z Lubina. Krewniak perswadował: – Po co ci Górny Śląsk? Masz kopalnię węgla koło domu w Słupcu, masz kopalnię wałbrzyskie. Albo możesz jechać ze mną na miedź, właśnie są przyjęcia!

I ta argumentacja przyniosła efekt, Zdzisław Chamielec w ostatniej chwili zmienił kierunek wyprawy.

■ Wybrał Lubin

13 września 1966 roku zgłosił się do PBKRM Lubin. Stamtąd skierowano go na Polkowice Główne, gdzie zawiadowca Stanisław Samborski bez wahania podpisał podanie o przyjęcie do pracy. W tym czasie polkowickie szyby P-I i P-II zostały już zgłębione. Trwały prace nad połączeniem prowadzonych z tych szybów wyrobisk poziomych.

– Pierwsze trzy miesiące były wprost „wariackie” – mówi pan Chamielec. – Terminowałem na powierzchni jako pomocnik sygnalisty, czyli pracownik od wszystkiego. Starałem się udowodnić swoją przydatność. Oprócz załogi, opuszczaliśmy na dół różne maszyny, urządzenia i narzędzia. Przychodziłem ze zmiany, to

z tego zmęczenia i emocji nawet jeść nie mogłem.

W niedługim czasie rozpoczął pracę jako pomocnik górnika:

– Ech, czego się miałem bać! Nie brałem pod uwagę tego, że może mi się coś przydarzyć. Z chęcią szedłem do tej pracy, bo pensja była nieporównywalnie większa od tej, którą dostawałem w zduńskim fachu, w Nowej Rudzie – porównuje odległe czasy i wypowiada wiele ciepłych słów pod adresem kolegów i przełożonych. O Kazimierzu Głowackim, jednym z pierwszych kierowników oddziału mówi:

– Złoty człowiek, wspaniały nauczyciel i cenny fachowiec. Robiliśmy u niego tory pod elektrowozy i wózki, budowaliśmy komorę pomp na poziomie 540 m, począwszy od drążenia w skałę, następnie kotwienia, siatkowania i torkretowania, czyli zarzucania ścian komory zaprawą cementową dla bezpieczeństwa tych, którzy w niej pracują. Potem jeszcze betonowaliśmy ociosy w stacji pomp i w przepompowni.

W 1967 roku upomniął się o Zdzisława Chamielca wojsko. Przez pewien czas był przekonany, że do kopalni już nie wróci. A jednak, w niecały miesiąc po skończeniu służby znowu zgłosił się do firmy, bo jak mówi: „Coś ciągnęło do tej zorganizowanej, twardej, męskiej roboty, gdzie obok siły mięśni ważny jest pomyślny”.

■ Pot zamarzał na plecach

Kiedy zauważył, że praca w wyrobiskach poziomych nie jest najlepiej płatna, pod koniec 1970 roku postanowił przejść do pracy przy głębinie szybów.

– Przed każdym drążeniem górotwór był najpierw przez dwa lata zamrażany. Po zamknięciu płaszcza mrozeniowego i uzyskaniu odpowiedniego stanu zmrózenia wkraczaliśmy jako PBKRM Lubin i przystępowaliśmy do głębinia – wspomina pan Zdzisław. – Do siedemdziesięciu metrów głębokości wchodziliśmy do szybu po drabinach. Zmrożony górotwór pikrowaliśmy ręcznie. Najpierw obudowywaliśmy szyb cegłami. Potem szedł pomost, do którego się podwieszało radziecką ładowarkę szybową KS-2-u. Już nie łopatami, ale przy użyciu „łyżki” załadowywaliśmy do kubłów urobione warstwy ziemi.

Fedrowali na cztery zmiany, po sześć godzin, bo w tamtym okresie roboty szybowe wykonywało się na okrągło. Na każdej zmianie pracowało po 16 ludzi. Huk i potężne wibracje pikrów udarowych

(młotów pneumatycznych) dawały się we znaki. Pot zamarzał na plecach, bo przecież urabiany górotwór miał minus 15 stopni Celsjusza, a temperatura otoczenia tylko o sześć, siedem stopni wyższa.

– Od siedemdziesięciu metrów głębokości wykładaliśmy szyb tubingami, jakby segmentami wycinanymi z walca. Połączenie 14 tubingów za pomocą olbrzymich śrub dawało pierścieni będący częścią obudowy – objaśnia pan Chamielc. – W miarę głębokości stosowaliśmy coraz grubsze tubingi, jakby proporcjonalnie do wzrostu ciśnienia górotworu. W strefie pomrożeniowej transport załogi w szybie odbywał się przy pomocy kubła. Przodek szybu urabialiśmy przy użyciu materiałów wybuchowych. W tym celu wierciło się od 150 do 160 otworów o długości 4 metrów. Na ich załadowanie szło około pół tony materiału wybuchowego.

■ Awanse zawodowe i prywatne

Od samego początku pan Zdzisław nie chciał mieszkać w hotelu pracowniczym, ludzie mówili, że tam nic dobrego, tylko wódka i hulanki! A w domu u stryjenki miał spokój i lubił wiesz z jej atmosferą i zwyczajami.

Podczas jednej z wiejskich potańcówek poznał Halinę, która spod Milicza przyjeżdżała w odwiedziny do brata. Młodzi zaczęli się spotykać częściej i po sześciu miesiącach znajomości Zdzisław i Halina się pobrali. Zamieszkali w Chrośniku na sublokatorce. W 1971 roku urodził się syn Krzysztof, a następnie po 3 latach Aneta. Pani Halina zaczęła się mocno upominać w firmie o mieszkanie. Dopisali nawet teściową, aby zakład przyznał od razu większy metraż. Akurat kiedy Anetka miała roczek, wprowadzili się do własnego M-5.

■ 87 metrów w ciągu miesiąca

Pan Zdzisław starał się uzupełniać wykształcenie zawodowe. Po uprawnieniach do obsługi sprzętu dołowego, ładowarek, zdobył kwalifikacje strzałowego, zaliczył także kurs operatorski na ładowarkę zgarniakovą tzw. skreper i ładowarkę chwytakową KS-2-u, przy pomocy której, po przejściu strefy mrozeniowej, wybierało się urobioną skałę i wywoziło na powierzchnię. W miarę zdobywania zawodowych uprawnień, awansował na przodowego szybowego.

Po polkowickich szybach firma zaczęła głębinie Rudnej Głównej. Szybowy Chamielc pracował przy R-1 począwszy od samej głowicy, następnie



Drużyna piłki nożnej powstała podczas głębenia szybu na Sieroszowicach. W ramach relaksu górnicy z mechanikami rozgrywali mecze piłki nożnej. Zdzisław Chamielec (drugi rząd, trzeci od prawej) grał w obronie.

– Dźwigaliśmy w czterech jedną z tych klap, już ją nawet otworzyliśmy, gdy któryś z kolegów źle odbezpieczył drugą klapę. Niestety klapa z powrotem spadła uderzając mnie w nogę. Poczułem straszliwy ból pod kolanem. Tym razem odstawiono mnie do szpitala karetką. Po prześwietleniach okazało się, że doszło do złamania kości strzałkowej.

■ Nie chciała otworzyć

Pani Halina Chamiełcowa włącza się do tych wspomnień:

– Mieliliśmy iść na dancing ze znajomymi. Kiedy więc po godzinie trzynastej mąż nie przyszedł do domu, byłam pełna złych przeczuć. Chodziłam od okna do okna i go wypatrywałam. W pewnym momencie podjechała zakładowa nyska. Pomyślałam: „Boże, to już koniec!”. Z nyski wysiadło dwóch mężczyzn w górniczych mundurach. Słyszałam ich kroki na klatce schodowej. Zatrzymali się przed drzwiami naszego

mieszkania i zapukali. Nie chciałam otwierać, nie chciałam nie słyszeć, ale oni wciąż stali, więc przekreśliłam klucz:

„Niech się pani nie denerwuje. Mąż żyje, uległ tylko wypadkowi, ale wszystko jest pod kontrolą lekarzy” – mówił behapowiec. Wzięłam głęboki oddech.

W tym samym dniu, po 3 godzinach od pamiętnej wizyty, karetka przywiozła męża ze szpitala, wniesiono go do domu na noszach, bo noga była w gipsie. Przez cztery tygodnie miał nogę usztywnioną. Potem oczywiście rehabilitacja i znów do pracy.

■ Jak się wyleczył, wróć

Z początkiem lat osiemdziesiątych Zdzisław Chamielec wyjechał na kontrakt do kopalni węgla kamiennego w Ibbenburen (Niemcy).

– Pracowaliśmy tam na najtrudniejszych odcinkach, przy przebudowie wyrobisk, gdzie oprócz taśm nic innego nie jeździło. My również docieraliśmy na swoje stanowiska pracy siedząc na taśmach (na dolnej taśmie transportowano załogę, a na górnej urobek). Pracowaliśmy na akord, bo w tamtych



Ibbenburen. Kopalnia węgla kamiennego. Zdzisław Chamielec w drugim rzędzie, przy maszynie.

latach czy to w Polsce, czy w Niemczech, najważniejsze były metry.

Kiedys, przy poszerzaniu szybu, omal nie zginałem – odtworza pamiętne zdarzenie. – Pracowaliśmy u góry, pod samą klatką. Czuliśmy niemal namacalnie, jak górotwór zaciska obudowę. Właśnie pikrowaliśmy stary beton, znajdujący się za ringami. W pewnym momencie półtonowy głaz wysunął się z ociosu na ringi i ścisnął mi głowę, aż kask popękał. Myślałem, że to chyba już koniec, ułamki sekund dzieliły mnie od zmiążdżenia czaszki. W ostatniej chwili zrobiłem unik, jednak na wysokości serca ale w rękę wbił mi się 15-centymetrowy zbrojeniowy pręt. Miesiąc chorowałem, kierownik kazał mi jechać do kraju na leczenie. A ja na to: „Do kraju wrócę, jak się wyleczę!”. Nie powiadomiłem rodziny o zdarzeniu, nie chciałem, żeby żona się zamartwiała. Kierownik w końcu zrozumiał mnie i odpuszcił. Co drugi dzień tłumacz Kolbe woził mnie do szpitala na opatrunki. Wkładali mi w ranę spory bandaż nasączony lekarstwem, a potem za następną wizytą go wyciągali. W miarę leczenia opatrunki były coraz krótsze, bo rana pięknie się zarastała.

Kontrakt w Ibbenbüren był dla rodziny Chamiełców potężnym zastrzykiem finansowym, zwłaszcza że w tamtym czasie (w latach 1986 – 1989) w polskich sklepach brakowało wszystkiego.

Raz kiedys przyjechała do męża w odwiedzin pani Halina z dziećmi.

– Kiedy zobaczyłam ogromne sklepy pełne towarów, a u nas w tym czasie na sklepowych półkach była tylko musztarda, przeżyłam szok – wspomina. – Zaświtało mi w głowie, aby na zawsze pozostać na Zachodzie, zwłaszcza że tylu znajomych już zaczęło tu nowe życie. Mieliśmy też pewną przewagę, bo mama Zdzicha urodziła

się koło Dusseldorfu. Niestety, mąż te pomysły skwitował krótko: „Co? Ja przecież mam swoją ojczyznę. Tutaj nie będę!”.

Po 2,5 latach pobytu na kontrakcie Zbigniew Chamielec wrócił do kraju.

■ Coś go pędzi

Jeszcze przed przejściem na emeryturę pracował jako przodowy przy głębieniu szybu W-1,



Karczma Piwna PeBeKa. W pierwszym rzędzie od prawej Stanisław Widziak, obok Grzegorz Dziedzic. W drugim rzędzie od prawej: Kazimierz Turkiewicz, Zdzisław Chamielec, Mieczysław Bielecki, Marian Chominiec.

widniejącego z daleka po prawej stronie drogi do Głogowa.

– Zawsze miałem szczęście pracować z ludźmi starszymi od siebie. Podstawą moich relacji z nimi był wzajemny szacunek – podsumowuje pan Zdzisław. – My szybiarze przede wszystkim musieliśmy zawsze polegać na sobie. Po przejściu strefy zmrożonej pracowaliśmy na zmianie w okrojonych pięcio-, sześciuosobowych zespołach. Jeśli coś tam nie wychodziło, to po pracy, przy piwie, wszystko sobie wyjaśnialiśmy. W takim wąskim gronie nie ma miejsca na niedomówienia – podkreśla pan Chamielec. I można mu wierzyć. Przepracował 27 lat pod ziemią



Spotkanie u Jana Hawrysa w Górzycy. Od prawej: Zdzisław Chamielec, Zdzisław Minkina, Kazimierz Wilanowski, Stanisław Kukułka.

bez jednej bumelki. Za wyróżniającą się postawę otrzymał Brązowy, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, a także Order Sztandaru Pracy II klasy.

Kiedy zbliżał się do końca pracy zawodowej, syn Krzysztof przyjmował się na „Rudną”. Obecnie jest już kierownikiem jednego z oddziałów. Córka Aneta znalazła zatrudnienie w Urzędzie Miasta Lubina - pracuje tam do dzisiaj.

W 1993 roku pan Zdzisław przeszedł na zasłużoną emeryturę. Oczywiście nie pobył w domu długo. Najpierw na 10 lat znalazł zajęcie w Remopolu, a potem w Fordzie.

Pani Halina z odrobiną pretensji stwierdza:

–Wiecznie ma jakąś robotę, jakby go coś pędziło. A przecież mógłby sobie to wszystko jakoś inaczej ułożyć, bo lat mu też przybywa. Nie spotkałam człowieka, który po tylu latach pracy na dole ma jeszcze tyle siły. On dzisiaj chciałby stawiać pięk-

ne piece kaflowe, bo ponoć znów wchodzi w modę.

Pan Zdzisław nie zaprzecza tym tęsknotom, ale także chce mieć czas na inne pasje.

– Od trzynastego roku życia jeździłem na nartach w rejonie Srebrnej Góry i Dzikowca. W tym czasie nie było wyciągów i trzeba było po każdym zjeździe wracać pieszo na szczyt góry. Potem w narciarstwie miałem dłuższą przerwę, ale po latach znów wróciłem na stok. Na zimowe wypadki biorę wnuczka Sebastiana (obecnie ucznia Technikum Górniczego) i z przyjaciółmi: Kaziem Turkiewiczem, Stasiem Kukułką i Marianem Chomińcem jeżdżymy do Kudowy, Zieleńca, czy do Czech. Zamawiamy pokoje, wyżywienie i przez tydzień szusujemy po ośnieżonych stokach.

Pan Zdzisław Chamielec należy również do grona, które spotyka się raz w miesiącu u Jana Hawrysa w Górzycy. Stare Strzechy przy kuflu piwa wspominają, dyskutują i intonują górnicze śpiewki. ■



Halina i Zdzisław Chamielec lubią wspominać pierwsze lata małżeństwa.

– Alkomatów wtedy nie było, ale mieliśmy baloniki do dmuchania – opowiada o swojej pracy.

– Zwykle jednak kierowców na bani wychwytywał dyspozytor wydający karty drogowe.

Każdego uważnie obserwował, a jak któryś wydał się mu niewyraźny, to kazał chuchnąć, albo nawet dmuchać w balon. Jednak przyłapani na nietrzeźwości rzadko byli wyrzucani z pracy, ale za kółko tego dnia już ich nie dopuszczano. Zamiatali np. plac lub kierowano ich do innych robot pomocniczych. A to uderzało po kieszeni.

*Jerzy Chomenko,
kierownik zajezdni
w PBKRM, potem
w Hutmar Częstochowa,
szef TOS w ZG Rudna i następnie
w TRAWOS.
Pracował w latach:
1967 – 2005*



Resory zdobywaliśmy za książki

Urodził się w wagonie kolejowym na stacji w Rejowcu, niedysiejszych dobrach Mikołaja Reja. Był rok 1945. Rodzice Jerzego Chomenki jechali ze Śniatynia, spod Stanisławowa, na zachód jak Kargule i Pawlaki; w wagonie towarowym z całym swoim dobytkiem i z krową.

Dwa tygodnie później rodzina dotarła do stacji docelowej - Rudna Miasto. Nazwisko Chomenko dobrze znane jest zarówno w Rudnej, jak i w Ścinawie. Pani Janina, matka pana Jerzego, zakładała w Rudnej szkołę: kilkoro pierwszych dzieci uczyła w swoim domu, założyła również

przedszkole. Pewnego dnia odwiedzili ją funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Na dwie doby zamknęli ją w areszcie, bo któreś dziecko napisało na szkolnej tablicy: „Niech żyje 3 Maja!”.

Natomiast ojciec pana Jerzego organizował placówki kolejowe w rejonie Rudnej i Ścinawy. O tych pionierskich latach Janina Chomenko opowiedziała dziennikarzowi radiowemu Wojciechowi Jażdżewskiemu - jego reportaż zajął drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie. Wkład rodziców pana Jerzego w organizowanie

życia na nowych ziemiach opisał również autor monografii Rudnej.

■ Suwmiarka z wodotryskiem

Po powrocie z wojska, wiosną 1967 roku, Jerzy Chomenko zaczął się rozglądać za jakąś robotą. W tym czasie mieszkał z rodzicami w Ścinawie, dokąd się przenieśli w 1953 roku. Wszyscy, szczególnie młodzi szukający zatrudnienia, spoglądali w kierunku Lubina, bo tam ruszyła „miedź” i tam można było zarobić.

Pojechał z kolegą na rozpoznanie. Przed bazą PBKRM Lubin natknęli się na starszego siwego pana, zapytali go o drogę do kombinatu, zwie-

a podanie mogą przynieść na drugi dzień. W ten sposób, przechwyceni przez Tadeusza Jagiełłę, pierwszego kierownika działu transportu samochodowego, stali się w 1967 roku pracownikami tego przedsiębiorstwa. Dyrektorem PBKRM był wtedy Władysław Grodzicki, a jego zastępcą ds. zaplecza - Stefan Fiebig.

- Dostałem angaż montera-mechanika samochodowego ze stawką 7 zł na godzinę - nie-
żle, jak na pierwszą pracę po szkole - ocenia pan Jerzy. - Ale kierownik Jagiełło od razu zastrzegł, że pracować będziemy w biurze. Przez pierwsze dwa dni zapoznawaliśmy się z zakładem - zro-
bił na mnie duże wrażenie, szczególnie nowe



W bazie PBKRM Lubin. Po prawej kierownik Tadeusz Jagiełło, Jerzy Chomenko - drugi od lewej.

rzając się, że szukają pracy. „A po co wam kombinat? U mnie jest robota” - odpowiedział im. A kiedy usłyszał, że są absolwentami technikum samochodowego, od razu zaprowadził ich do biura i powiedział, że od dzisiaj są zatrudnieni,

samochody (mazy, krazy, żyły), wszystkie produkcji radzieckiej. W szkole mieliśmy praktyki, nawet w fabrykach Trabanta i Wartburga, ale ciężarowe wozy były dla nas czymś zupełnie nowym i ciekawym, dlatego praca od razu nam

się spodobała. Tym bardziej, że po trzech miesiącach nasze stawki podskoczyły do 10,20 zł za godzinę.

Albo najpierw, jak każdy młody, Jerzy Chomenko musiał przejść „chrzest” i zapłacić tzw. frycowe. Od starszych kolegów padały takie polecenia: „Ej, młody, przynieś z narzędziowni suwmiarkę, ale z wodotryskiem!”, „Daj mi tu majzel!”, „Kopsnij się po laubzegę!”. Wszyscy tylko patrzyli, jak zareaguje taki wystraszony żółtodziób, nie znający warsztatowego żargonu. Zwykle widać było, że nie wie, co do niego mówią, wtedy reszta w śmiech, ale taki życzliwy, bez złośliwości – zapewnia Chomenko. – Albo na bramie, przy kontroli sprawności samochodu, dla zgrywy mówiło się do kierowcy: „Wrzuć lewy kierunkowskaz, wrzuć prawy, a teraz oba naraz”. „No, nie ma! Wysiadaj! Wóz nie pojedzie!”.

■ Chuchali albo dmuchali

Przedsiębiorstwo miało początkowo trzy zajezdnie transportowe: w Lubiechowie, która obsługiwała ZG Konrad, w Lubinie na potrzeby kopalni nowego zagłębia miedziowego i w Polkowicach. (Później, w 1980 roku, wybudowano nową bazę przy ul. Krzywej w Polkowicach, gdyż w tamtym kierunku rozwijało się zagłębie.). Lubińska zajezdnia mieściła się na placu Łukasiewicza, za szkołą górniczą.

– Mieliliśmy tam około stu ciężarówek – przypomina sobie Jerzy Chomenko – głównie wywrotki do 16 ton ładowności, plus samochody skrzyniowe, dostawcze i osobowe. W sumie w całym zakładzie transportowym PBKRM było 250 samochodów. Żadne inne przedsiębiorstwo nie posiadało tak dużego zaplecza pojazdów. Nasze wozy w początkowym okresie obsługiwały budowę wszystkich kopalń w LGOM. Wozili urobek spod szybów na hałdy, przywoziły piasek, cement, żwir, pospółkę, nawet tubingi do budowy szybów.

Staż odbywał w dziale eksploatacyjnym, zajmował się rozliczaniem kart paliwa, ogumienia, sporządzaniem miesięcznych kart eksploatacyjnych. Jednocześnie uczył się obowiązków kontrolera technicznego. Zanim samochód wyjechał za bramę, należało sprawdzić jego stan techniczny: światła, opony, hamulce, układ kierowniczy itd. Jeśli nie było zastrzeżeń, podpisywał kartę. Pod warunkiem oczywiście, że kierowca był trzeźwy.

– Alkomatów wtedy nie było, ale mieliśmy baloniki do dmuchania – opowiada o swojej pracy. – Zwykle jednak kierowców na bani wychwytywał dyspozytor wydający karty drogowe. Każdego uważnie obserwował, a jak któryś wydał się mu niewyraźny, to kazał chuchnąć, albo nawet dmuchać w balon. Jednak przyłapani na nietrzeźwości rzadko byli wyrzucani z pracy, ale za kółko tego dnia już ich nie dopuszczano. Zamiatali np. plac lub kierowano ich do innych robót pomocniczych. A to uderzało po kieszeni. Z wywalaniem trzeba było ostrożnie. Zakład nie mógł sobie pozwolić na drastyczne kary, takie jak dyscyplinarka, bo kierowców stale brakowało. Zwolniony natychmiast był przyjmowany w innym zakładzie, i to z wyższą stawką – tłumaczy Jerzy Chomenko.

Pracy mieli bardzo dużo, bo potrzeby transportowe KGHM wciąż rosły. Kopalnie powstawały, jedna za drugą, a każda miała po kilka szybów. Brakowało sprzętu, samochodów i przede wszystkim części zamiennych, które pochodziły głównie z importu. Pamięta, jak niecierpliwie oczekiwali na dostawy niezbędnych podzespołów, a potem gorączkowo przeglądali zawartość nadesłanych skrzyń.

– Emocje przy tym były – nie ukrywa pan Jerzy – bo od tego, co nam przysłało, zależała nasza gotowość techniczna, a od gotowości – tempo robót na kopalniach. Cały czas pracowaliśmy pod ogromną presją. Drobne naprawy odbywały się w naszych warsztatach, a główne remonty w różnych miejscach w kraju. W remontach krazów specjalizowały się zakłady w Głownie, koło Łodzi. Ziły odstawiało się do Solca Kujawskiego, koło Bydgoszczy. Po takich naprawach sam często siadałem za kółko ciężarówki i podczas próbnych jazd sprawdzałem jej stan techniczny.

■ Prośby, groźby i błagania

Kiedy, w 1980 roku, otwierano nową zajezdnię w Polkowicach, Jerzy Chomenko został tam kierownikiem dyspozytorni. Krótko potem baza przeszła pod Hutmar Częstochowę.

– Dysponowałem całym sprzętem, jaki był w zakładzie (ciężarówki, osinobusy-stonki, dźwigi, spychacze, koparki, ładowarki) – mówi Chomenko. – Miałem pod sobą kierowców, operatorów, dyspozytorów, razem około 250 osób. Co tydzień kopalnie i inne górnicze zakła-

dy zaplecza składały zamówienia na samochody i sprzęt. Dla przykładu: Polkowice Wschodnie (kopalnia i firmy wykonawcze) potrzebowały codziennie po 2 krazy, 2 mazy i 2 ziły. Ale z tego zamówienia trzeba było obciąć; nie po dwa samochody, tylko po jednym przydzielić na każdy dzień, bo nie wystarczyłoby dla wszystkich potrzebujących. Albo: danego dnia zapotrzebowano np. 10 dźwigów, a my mieliśmy 6-7. Do tego trzeba było uwzględnić tzw. współczynnik gotowości technicznej: naprawy bieżące, wymiana oleju, smarowanie, więc dźwig nie mógł w tym czasie pracować. Sprzętu było za mało, nie dawaliśmy rady wszystkim zadowolić – dodaje. – Z tego powodu często dochodziło do spięć, kłótni, przekleństw fruwały w powietrzu, i na k... i na ch... „Do dyrektora zadzwonie!” – grozili. „A dzwoni sobie dokąd chcesz!”, „A pocałuj mnie w dupę!”. Różnymi takimi epitetami się obrzucaliśmy, bo nerwówka była straszna. Klienci żalili się: „A jak mam to robić bez spychacza?”, „Dyrektor mnie ciśnie! Czym ja to zrobię?” itp. Były prośby, groźby i błagania. Ale bez nienawiści – przekonyuje. – Nerwy przechodziły, uśmiech wracał na twarz i dalej byliśmy kolegami. Do pracy chciał się iść, bo mimo wszystko lubiłem swoją robotę. Kopalniom i innym zakładom zależało na dobrej współpracy, dlatego zawsze ich kierownictwo zapraszało mnie na swoje imprezy barbórkowe. Z tych wszystkich karczm uzbierała się niemała kolekcja kufli. A po 80. roku, jak nasza baza przeszła pod Hutmar Częstochowa, to świętowało się dwa razy do roku: na Barbórkę i na Floriana, w maju.

■ Najważniejsze były kontakty

Z brakami części zamiennych radzili sobie różnymi sposobami. Zdobywali je m.in. przy pomocy... książek. Żona zaopatrzeniowca Kazimierza Dziocha pracowała w księgarni w lubińskim rynku. Dobre książki, encyklopedie były tak samo deficytowym i pożądanym towarem, jak wszystkie inne dobra.

– Jak należało coś załatwić – mówi Jerzy Chomenko – Kaziu wybierał jakąś atrakcyjną pozycję spod księgarskiej lady i jechał np. do hurtowni po resory, amortyzatory, silniki czy inne niezbędne części. Książki torowały nam również drogę do tych warsztatów, które zajmowały się kapitalnymi remontami sprzętu i aut. Zawsze tych kilka miejsc zdobywało się



Z kolegami podczas czynu partyjnego w lubińskim parku. Chomenko - trzeci z prawej.

tym sposobem. Kaziu Dziocha był bardzo energicznym i sprytnym zaopatrzeniowcem, nigdy z trasy nie wracał z pustymi rękoma. Oczywiście, te jego wydatki uwzględniano potem przy podziale premii czy funduszu reprezentacyjnego.

Nie tylko książki wybawiały z kłopotów zaopatrzeniowych. Firma pana Jerzego miała też inny mocny atut przetargowy - własny sprzęt.

– Jeśli ktoś np. potrzebował pilnie spychacza albo koparki, a miał ścieżki dojścia do potrzebnych nam rzeczy czy usług, był cennym partnerem – objaśnia zawiłości peerelowskiej gospodarki pan Jerzy. – My jemu udostępnialiśmy sprzęt (za normalną opłatą) a on nam swoje źródła zaopatrzenia. W podobny sposób zdobywało się również przydziały na nowe samochody ciężarowe. Czasami w podzięcie załatwiali się takiej osobie wczasy, np. w ośrodku zakłado-



Na zakładowej wycieczce w Wieliczce. Pan Jerzy w najwyższym rzędzie, po prawej, tuż przy tablicy informacyjnej.

wym Hutmaru w Brennie. Dobre kontakty były ważniejsze niż same pieniądze.

■ Mazy pod ziemią

Samochody z polkowickiej bazy jeździły nie tylko na powierzchni, woziły również urobek pod ziemią, zanim rozpowszechniły się wozy odstawcze - np. joy'e wchodziły powoli, gdyż były bardzo drogie. Pan Chomenko pamięta, że pierwszego maza -wywrotkę opuszczali na Polkowicach Wschodnich. Taki samochód należało najpierw przystosować do pracy pod ziemią; obcinało się mu kabinę i zakładało katalizator na rurę wydechową, żeby zneutralizować spaliny. To była rewelacja w kombinacie.

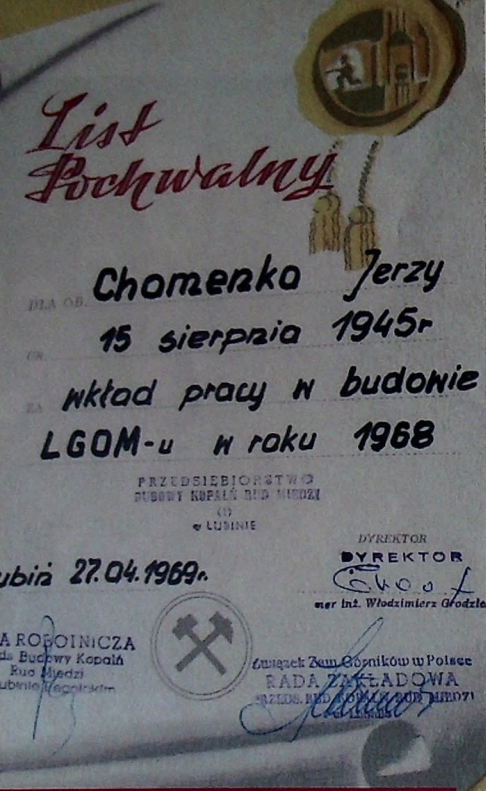
Później, w latach 90., gdy został kierownikiem stacji Technicznej Obsługi Samochodów na ZG Rudna, z Poznania sprowadzali pierwsze samochody tarpany do przewozu pod ziemią ludzi i sprzętu. Przerabiało się je zakładając katalizatory i wzmacniając kabiny. Dopiero z czasem

pojawiały się toyoty i landrowery. Tarpany długo utrzymywały się na dole. Na pewno co najmniej do 2005 roku, kiedy odchodził na emeryturę. Pamięta, że jeszcze wtedy trafiały do serwisu, którym kierował. Nie był pracownikiem dołowym, ale gdy zaszła taka potrzeba, zjeżdżał, żeby na miejscu sprawdzać stan techniczny pojazdu.

Prócz tego w TOS zajmowali się także naprawą różnego sprzętu powierzchniowego, takiego jak: widłaki, wózki akumulatorowe, multicary (samochody dostawcze). Pracownicy „Rudnej” bardzo sobie chwalili możliwość serwisowania swoich prywatnych samochodów. Przyjeżdżał górnik rano do pracy swoim autem, zlecał usługę, np. jego umycie, przegląd, diagnostykę rejestracyjną czy jakąś naprawę, zostawiał kluczyki a po pracy odbierał auto.

■ Z „Rudnej” pod Trawos

Po prywatyzacji i restrukturyzacji kombinatu TOS odłączono od „Rudnej”, bazę zlikwid-



Jerzy Chomenko bardzo szybko okazał się wzorowym i docenianym pracownikiem.

wano, a ludzi i sprzęt przejęło Przedsiębiorstwo Sprzętowo-Transportowe - Trawos. Na wcześniejszą emeryturę przeszedł po ukończeniu 60. lat, do czego uprawniało zatrudnienie w uciążliwych warunkach.

Gdy spogląda wstecz, to najlepiej wspomina te lata, kiedy pracował w PBKRM. Mówi, że mimo ciężkich czasów, ludzie byli do siebie bardzo przyjaźnie nastawieni. Zżyli się ze sobą, razem jeździli na wycieczki, na imprezy integracyjne. Bardzo lubił Karczmy Piwne,

które prowadził zastępca dyrektora ds. pracowniczych pan Kazimierz Gałajda. Pan Jerzy był pracownikiem zaplecza, ale w firmie górniczej, dlatego przysługiwał mu mundur i biały pióropus, otrzymał nawet stopnie górnicze.

- Bywały też ciężkie chwile - nie ukrywa Jerzy Chomenko - gdy dochodziło do wypadków w pracy, tych śmiertelnych. Przeżyłem kilka takich zdarzeń. Raz spragniony pracownik złapał za butelkę i wypił jakiś żrący kwas, myśląc że to woda. Innym razem kierowca przejechał kolegę nieuważnie wyjeżdżając za bramę zakładu. Dochodziło też do wypadków drogowych spowodowanych przez naszych kierowców. Zawsze oznaczało to poważne kłopoty: przesłuchania, kontrole na bazie, sprawy sądowe. Nigdy jednak nie znalazłem się w kręgu winnych.

■ Pomaga emerytom

Na emeryturze powrócił do Ścinawy, gdzie się wychowywał. Przedtem przez wiele lat mieszkał w Lubinie, a jeszcze wcześniej w Głogowie - tam z PBKRM dostał mieszkanie w 1971 roku, kiedy założył rodzinę. Mówi, że zajęć mu nie brakuje. Przy domu ma ogródek i mały sadek, opiekuje się wnukami, no i społecznikuje. Jest prezesem ścinawskiego rejonu Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów byłych Pracowników KGHM. Tego dnia, kiedy rozmawialiśmy, stowarzyszenie organizowało towarzyskie spotkanie, na które zaproszono wszystkich emerytów ze Ścinawy, bez względu na to, gdzie kto kiedyś pracował. Przyszło około stu osób. ■



Czekał na zakończenie wiercenia otworów strzałowych, aby załadować przodki. Nie zdążył, silny wstrząs zmusił go do wycofania się z oddziału. Niestety trzech kolegów nie miało takiego szczęścia jak on. Wtedy postanowił zostać ratownikiem.

*Antoni Piotrowski,
górnik strzałowy
w ZG Lubin. Pracował
w latach 1968 – 1996*



Nieraz zamarzały szachciaki

– Wrocław to takie miasto, w którym po wojnie osiedliło się wielu kresowiaków i tak samo było z moją rodziną. W 1946 r. tato Antoni, mama Anastazja z domu Szynklarz, wraz z moimi trzema siostrami i bratem wyjechali transportem z Brzeżan (dawne województwo tarnopolskie) na Ziemię Zachodnie. Podobnie jak wielu przesiedleńców, zamieszkali we Wrocławiu – zaczyna swoją opowieść Antoni Piotrowski.

■ Nie rozczarował się

Jak przekonuje, już bardzo wcześnie wiedział, kim chce być, gdy dorośnie. Kiedyś zachwycił się grupą górników w galowych strojach i podziw przerodził się w postanowienie, że w przyszłości będzie jednym z nich. W 1967 r. pojechał na Górny Śląsk, trafił do Kopalni Węgla Kamiennego Marcel jako niewykwalifikowany pracownik. Potem ukończył kurs uprawniający

do pracy na kołowrocie i pracował na tzw. guziku – przy obsłudze taśmociągu.

Praca w kopalni odbiegała jednak od wcześniejszych wyobrażeń, dokuczała mu również samotność, tęsknił za rodziną. Po roku wrócił do Wrocławia, ale nie myślał rezygnować z marzeń. Wiedział, że w niedalekim Lubinie powstaje nowe zagłębie i buduje się kopalnię miedzi. Przyjechał tu i, jak wielu kandydatów na górników w tamtych czasach, trafił do firmy o dość dziwnej nazwie – Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego – budującej Szyb Wschodni kopalni Lubin. Na oddziale przygotowawczym, którego kierownikiem był inż. Wierzczoń, został zatrudniony jako pomoc przodkowa. Przydzielono go do brygady sztygara Stefana Szczerby.

– W przeciwieństwie do wielu innych, miałem już pewne doświadczenie w pracy w górnictwie, więc przyjęli mnie z otwartymi ramio-

nami. Niestety nie było ono udokumentowane, formalnie nie miałem żadnych uprawnień i ponownie zaczynałem od najniższego stanowiska. Tym razem jednak nie rozczarowałem się: zjadł kuble na dół, prace przy głębieniu szybu, choć czasami uciążliwe i wyczerpujące, miały dla mnie swój urok czasów pionierskich - wiedziałem, że uczestniczę w czymś ważnym.

■ Stojaki trzeszczały...

W 1969 r. pan Antoni wraz z grupą pracowników SOWI został przekazany do Zakładów Górniczych Lubin.

- Zapakowali nas chyba z dziesięciu do żuka - opowiada - i przywieźli na Szyb Zachodni. Oprócz mnie w grupie tej znaleźli się m.in. Henryk Ciupa i Władysław Kostrzewa. Kierownikiem oddziału G-6, gdzie trafiłem, był dawny sztygar z SOWI Stefan Szczerba, a sztygarem pan Lisiecki. Oficjalnie zostałem pomocnikiem kotwiarza, ale praktycznie robiłem wszystko - wspomina Antoni Piotrowski.

Przez trzy lata wykonywał roboty przodkowe, ręcznie zabudowywał stropy i wiercił otwory strzałowe, do których następnie lado-

wał amonit. Materiał wybuchowy znajdował się na powierzchni, w tzw. kopcach. Pakowali go do puszek metalowych, natomiast zapalniki do puszek plastikowych i zwozili na dół. Była to prawdziwie pionierska robota, na dodatek w razie awarii na przodku, materiały wybuchowe musieli wywozić na powierzchnię.

- Dzisiaj jest to nie do pomyślenia, ale wówczas nikt się nie zastanawiał nad tym, jakie to niebezpieczne - dodaje. - Pamiętam też, że najtrudniej było zimą. Z dołu wyjeżdżał człowiek spocony, a na powierzchni minus 20 stopni. Zanim zdało się ten materiał, szachciak zamarał i dopadał nas przenikliwy chłód. Pracowałem w brygadzie z Waldemarem Gajowym oraz Mieczysławem Kopaniarzem i Władysławem Kostrzewą. Niestety tych dwóch ostatnich już nie żyje.

Z oddziału G-6 na Szybie Zachodnim przeszedł na oddział G-5 na Lubinie Wschodnim, gdzie utworzono specjalną grupę, której zadaniem było układanie stojaków z drewna; Antoni Piotrowski został jej przodowym. W ten sposób kontrolowano wówczas ciśnienie górotworu. Gdy stojaki trzeszczały, łamały się, wiedzieli, że

UPRAWNIENIE Nr. 256/GS

Na podstawie postanowień § 4, ust. 3G-4 Zarządzeń nr 36 Ministra Hutnictwa z dnia 31.12.1977 r. w sprawie określenia stanowisk pracy w ruchu zakładu górniczego, które wymagają szczególnych kwalifikacji oraz sposobu ich stwierdzenia, uprawniając

PIOTROWSKI ANTONI

Ob. 1945-08-11

ur. ZSRR

do wykonywania zawodu na stanowisku

górnika strzałowego

Data 26-05-07

Kierownik Zakładu

Kazimierz Ziela

Uprawnienie ważne!	Ważność przedłuża się	
91-04-29	18.10.92	16.09.96
do dnia	do dnia	do dnia
po	po	po
pieczęć okrągła	pieczęć okrągła	pieczęć okrągła

POUCZENIE

1. Uprawnienie niniejsze stanowi prawny dokument do wykonywania zawodu na określonym stanowisku pracy.
2. Uprawnienia należy posiadać zawsze przy sobie a w czasie pracy okazywać na żądanie osób dozorcu.
3. Kierownik ruchu zakładu górniczego może w przypadku ciężkiego naruszenia obowiązków pracowniczych lub innych uzasadnionych przyczyn pozbawić pracownika uprawnień do zajmowania określonego stanowiska.

Górnikiem strzałowym został w 1986 roku.

POZWOLENIE
na obsługę
samojezdnych
maszyn górniczych

Nr **001088**



DYREKTOR
Zakładu Doświadczalnego przy KGHM

mgr inż. Jan Stosiak

Podpis posiadacza
Piotrowski Antoni

Nazwisko i imię

11.VIII.45 Brzezany

Data i miejsce urodzenia

20. Lubin

Miejsce zamieszkania

5.VI.1972

Data wydania

Od 1972 r. posiadał pozwolenie na obsługę samojezdnych maszyn górniczych.

naprężenia w górotworze wzrastają, strop się ugina i może dojść do zawалу.

■ Rekordowe G-5

Górnice szczęście dopisywało panu Antoniemu przez cały okres pracy zawodowej, ale w życiu prywatnym opuściło go w lutym 1972 roku. Niedługo przed historycznym zbieciem chodników Lubina Zachodniego i Wschodniego wziął urlop. Wyjazd skończył się groźnym wypadkiem, który na 10 lat wyeliminował go z życia zawodowego.

– Jechałem rowerem poboczem drogi. Mijał mnie transport wojskowy jadący ciężarówkami marki Ził. W pewnym momencie jeden z kie-

rowców podjechał za blisko i uderzył mnie lusterkiem. Obudziłem się w szpitalu z rozległymi obrażeniami.

W styczniu 1982 roku wrócił do pracy na Szyb Główny, do oddziału wydobywczego G-5, którego kierownikiem był wtedy Stefan Nowacki. Przyszedł on ze starego zagłębia, bo „Lubin” w tym okresie był pod kreską i poszukiwano sprawdzonych ludzi do dozoru, by podciągnąć wydobywanie. To dzięki sztygarowi oddział G-5, o najgorszej opinii w kopalni, później najlepiej fedrował, a nawet wielokrotnie bił rekordy wydobywania.

■ Został ratownikiem

W pierwszej połowie lat 80. ubiegłego wieku, gdy pracował na oddziale wydobywczym G-5 jako pomocnik kotwiarza Pisalskiego, wydarzył się okropny wypadek. Dwóch jego kolegów zginęło podczas wiercenia otworów strzałowych, po zawaleniu się stropu. Jeszcze bardziej tragiczny w skutkach był wstrząs górotworu na Szybie Zachodnim. Będąc strzałowym, oczekiwał na zakończenie wiercenia otworów, aby załadować przodki. Nie zdążył,

silny wstrząs zmusił go do wycofania się z oddziału. Niestety trzech górników nie miało takiego szczęścia jak on.

Bardzo przeżył oba wypadki i postanowił zostać ratownikiem. Zapisał się na kurs, który ukończył z pomyślnym wynikiem. Jako ratownik nie podziałal zbyt długo. Wyeliminował go pogarszający się stan zdrowia, co było efektem wypadku z 1972 roku.

Potem został przodowym na oddziale wydobywczym G-4. Wspólnie z Romanem Wochem i Konstantym Cichym stawiali stojaki w miejscach stwarzających zagrożenie. Przez pewien czas był również przodowym pola. W przedostatnim roku pracy trafił do brygady sztygara

Antoni Piotrowski

**Z OKAZJI DZIA GÓRNIKA 1974 r.
SERDECZNE PODZIĘKOWANIA ZA
TRUD I OFIARNĄ PRACĘ WŁOŻONĄ
W BUDOWĘ ZAKŁADÓW GÓRNI-
CZYCH „LUBIN” ORAZ ZA UDZIAŁ
W OSIĄGNIĘCIACH EKONOMICZNO-
SPOŁECZNYCH ZAKŁADU I PRZYSŁA-
DNĄ OSTATECZNY PRACOWNIKA
I OBYWATELA**

1. SEKRETARZ KŁ. PŁPRA
EDWARD KOZIOŁ

PRZEWODZĄCY ROB.
WIKTOR TROJAŃSKI

PRZEWODZĄCY ZAKŁAD.
PIOTR SZAJA

PRZEWODZĄCY ZIM
RYSZARD BUDOWIEZ

DYREKTOR
ADAM JESIONEK

BARBURKA 74

Jeden z licznych dyplomów Antoniego Piotrowskiego.

Niechwieja, gdy funkcję kierownika G-4 sprawował Zbigniew Lechman. Wówczas na oddział przyszedł m.in. Krzysztof Tkaczuk, obecny dyrektor kopalni, pracował tam również Jerzy Stąporek, już wtedy na kopalni człowiek legenda oraz Janusz Gola, który zginął tragicznie na stoku narciarskim podczas zakładowych zawodów. Tuż przed odejściem na emeryturę, w styczniu 1996 roku, pracował jako strzałowy w brygadzie z instruktorem strzałowym Józefem Zawadzikiem i strzałowym Mieczysławem Lekkim.

■ Opuścił Lubin

Swoją małżonkę Alinę poznał na zabawie we Wrocławiu Leśnicy, jeszcze przed odbyciem zasadniczej służby wojskowej. Gdy odchodził na dwa lata do wojska, przyrzekł, że się z nią ożeni. Służył w jednostkach: w Krakowie, Łodzi oraz Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, jako instruktor nauki jazdy. Słowa danego dziewczynie dotrzymał.

Już w 1969 roku otrzymał nieduże mieszkanie, o powierzchni 36 m kw., przy ulicy Mickiewicza w Lubinie, które dziesięć lat później zamienił na 57 m kw. przy ulicy Orlej. Urodziło im się trzech synów. Najstarszy Zbigniew ukończył Technikum Górnicze w Lubinie i po odbyciu zasadniczej służby wojskowej poszedł do pracy na kopalnię. Zaczął na Rudnej Północnej gdzie pracuje do dziś a w przyszłym roku już odchodzi na emeryturę. Drugi z synów - Michał, poszukiwał pracy, ale ani on, ani jego małżonka, nie mogli znaleźć zatrudnienia w kraju. Wyjechali do Anglii, dobrze im się tam powodzi i nie zamierzają

wracać do Polski. Najmłodszy Sławomir mieszka w Lubinie, tyle że nie na Dolnym Śląsku, a w tym koło Świnoujścia. Tam się ożenił, ma dwie córki i prowadzi własną firmę transportową.

Niestety Alina Piotrowska zmarła w 2004 roku, z czym pan Antoni długo nie mógł się pogodzić. Sprzedał mieszkanie w Lubinie i wyjechał do Świnoujścia, gdzie niegdyś często spędzał urlopy i gdzie bardzo mu się podobało. Kilka lat później ponownie się ożenił. Wybranką serca została Krystyna Woś.

■ Pionierskie czasy

Pan Antoni z sentymentem wspomina pracę w ZG Lubin i gdyby dziś miał zaczynać wszystko od nowa, też wybrałby „zetgie” (zapis fonetyczny). To bardzo popularna nazwa Zakładów Górniczych Lubin wśród byłych i obecnych pracowników kopalni, którzy mówią byłem na „zetgie”, a nie Zakła-

Piwne, spotkania biesiadne, itp.) oraz na rocznice wydarzeń z okresu II wojny światowej, gdyż jest również członkiem Powiatowego Związku Weteranów i Rezerwy Wojska Polskiego w Lubinie (posiada stopień st. sierżanta).

Zdrowie i kondycja mu dopisują i ma nadzieję, że jeszcze długo tak będzie.



Małżonka Krystyna bardzo chętnie towarzyszy panu Antoniemu w wyjazdach do Lubina na spotkania z kolegami.

dach Górniczych Lubin. Do dziś doskonale pamięta urok tych pionierskich czasów i wspinała atmosferę w pracy, koleżeńskie relacje oraz wzajemną życzliwość. Nie obywało się bez różnych psikusów i kawałów, takich jak choćby wiązanie nogawek spodni w łaźni, czy sznurówek przy butach, gdy ktoś na dole uciął sobie drzemkę. Nie było w tym jednak żadnej złośliwości, czy obrażania.

Często i bardzo chętnie, wspólnie z małżonką Krystyną, przyjeżdża do Lubina, na koleżeńskie spotkania organizowane z różnych okazji (Karczmy

– Mama zmarła w 2013 roku w wieku 100 lat, 5 miesięcy i 13 dni – podkreśla – więc przede mną jeszcze dużo czasu – dodaje z humorem i zapewnia, że dopóki będzie mógł, nie opuści żadnego spotkania w górniczym Lubinie. ■

Różne pojawiały się pomysły na zagospodarowanie „Konrada”.

W pewnym okresie zapadła decyzja o uprawie pieczarek.

Na poziomie 240 i 550 panowały odpowiednie ku temu warunki.

Jeden z pracowników został wysłany do Holandii na szkolenie. Potem kilkanaście osób znalazło zatrudnienie przy ich uprawie.

*Kazimierz Plewa,
ostatni kierownik
ruchu ZG Konrad,
członek zarządu
kopalni Nowy Łąd.
Pracował w latach
1969 – 2009*



Nadal czuli się górnikami

– Urodziłem się w Tymowej, w dawnym województwie krakowskim, jako najmłodszy z pięciorga rodzeństwa – mówi Kazimierz Plewa. – W Krakowie rozpocząłem naukę w Technikum Mechanicznym.

W tym czasie trzy siostry Kazimierza Plewy mieszkały już w Bolesławcu. Ich mężowie położyli krakowską Akademię Górniczo-Hutniczą i z nakazem pracy wylądowali w stolicy starego zagłębia miedziowego.

■ Za rodziną

– Siostry ściągnęły mnie do siebie – wspomina pan Kazimierz. – Od razu pojawił się problem, bo tu nie było technikum mechanicznego,

tylko górnicze. I tak – zamiast mechanikiem – zostałem górnikiem. Praktyki odbywaliśmy na „Konradzie”. Robiliśmy prawie wszystko to, co górnicy pracując na przygotowanych wyrobiskach i ścianach. Nie mogliśmy tylko uczestniczyć przy załadunku materiałów wybuchowych do otworów strzałowych.

Do kopalni uczniów dowożono autobusami. Był grudzień 1967 roku.

– Pamiętam dzień, w którym pękła tama na zbiorniku osadowym w Iwinach. Akurat rano jechaliśmy na praktykę – przypomina sobie K. Plewa. – To był straszny widok. Lawina błota zniszczyła ponad pół tysiąca zabudowań. Wiele osób zginęło. To najgorsze wspomnienie z mo-



Spotkanie absolwentów technikum górniczego pod szybem kopalni Lubichów.

jego górniczego życiorysu. Katastrofa nagle uświadomiła wszystkim, że z wydobyciem rud miedzi mogą się wiązać realne i wielkie zagrożenia. Nie tylko dla górników, ale i dla otoczenia, w którym znajdują się kopalnie.

W 1969 roku rozpoczął pracę w ZG Konrad. (Na krótko musiał porzucić górnictwo, gdyż został powołany do wojska, ale potem wrócił). Zaczynał jako młodszy górnik, potem pracował na oddziale gospodarczym, ale też często zjeżdżał na dół. Szybko awansował. Od 1970 roku był już sztygarem zmianowym, a dwa lata później został sztygarem oddziałowym na oddziale pozawydobyczym. W „Konradzie” pracował do 1998 roku, aż do zamknięcia tej kopalni - był jej ostatnim kierownikiem ruchu.

■ **Piecarki z... kopalni**

Ale miał do czynienia nie tylko z rudą miedzi. W 1985 roku ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą i został przeniesiony z K-1 na nieczynny „Lubichów” i prowadził tam budowę kopalni anhydrytu. Był inspektorem nadzoru budowy i zajmował się współpracą z firmami zewnętrznymi. Rudę miedzi zaprzestano wydobywać w Lubichowie już w 1976 roku. Cały czas jednak pracowały tam pompy. Dzięki temu kopalnia nie została zalana.

– Wiadomo było, że jest tam anhydryt i z myślą o nim kopalnię oszczędzono – wyjaśnia Kazimierz

Plewa. – Już w 1984 roku mogły się tam rozpocząć pierwsze roboty górnicze w celu udostępnienia złoża anhydrytu.

W tym okresie Kazimierz Plewa (już inżynier) dzielił swój czas pomiędzy „Lubichowem” a „Konradem”, gdzie był nadsztygarem i gdzie już powoli działalność górnicza zmierzała ku końcowi. W 1989 roku zapadła ostateczna decyzja o zamknięciu „Konrada” i zaprzestaniu wydobycia rud miedzi.

– Szkoda – żałuje inżynier Plewa. – To, co wówczas wydawało się nieopłacalne, dziś mogłoby jeszcze dać ludziom pracę i zyski dla kopalni.

Wciąż śledzi ceny miedzi na giełdzie w Londynie. Kiedy likwidowano kopalnię, płacono 1300 dolarów za tonę, dzisiaj – nawet ponad 7 tysięcy!

– Powstała koncepcja, żeby połączyć „Lubichów” z szybem K-1 „Konrada”, który był szybem wydobywczym – wspomina inżynier Plewa. – Chodziło o to, by wydobycie anhydrytu i wody pitnej zajmowała się jedna firma. W efekcie, w 1996 roku, zawiązała się spółka Aquakonrad S.A.

Różne pojawiały się pomysły na zagospodarowanie „Konrada”. W pewnym okresie zapadła decyzja o uprawie pieczarek. Na poziomie 240 i 550 panowały odpowiednie ku temu warunki. Jeden z pracowników został wysłany do Holandii na szkolenie. Potem kilkanaście osób znalazło zatrudnienie przy ich uprawie. Pierwsze wyniki były nawet obiecujące, póki nie okazało się, że koszty pompowania wody oraz zjazdu ludzi na dół przewyższają zyski z pieczarek.

– Ale ten przeszkolony w Holandii pracownik do dziś, już na własną rękę, uprawia pieczarki na powierzchni zlikwidowanego zakładu – dodaje K. Plewa.

Powodzeniem natomiast zakończył się inny eksperyment. W 1991 roku uruchomiono produkcję gum trudnościeralnych. Kilka lat później powstała samodzielna spółka, która do dzisiaj wytwarza gumy o tych specyficznych właściwościach na potrzeby Polskiej Miedzi. Niejako sztandarowym działaniem po zakończeniu eksploatacji rud miedzi w „Konradzie” miała być eksploatacja podziemnych wód mineralnych,

łatwo dostępnych dzięki wciąż funkcjonującym szybom kopalni. Woda odznaczała się bardzo dobrą jakością a jej nadmiar zagrażał kopalni - na minutę dopływało aż 50 metrów sześciennych. Niestety, interes się nie powiódł. Inżynier Plewa jest przekonany, że przyczyną porażki Aquakonrada była chęć nadmiernego obniżenia kosztów wydobycia wody.

- Ktoś postanowił dostać się do wody za pomocą odwiertów z powierzchni - mówi. - Jednak popełniono błąd techniczny. W efekcie woda została zanieczyszczona i spółka Aquakonrad musiała upaść.

■ Stracili przywileje

W styczniu 1997 roku kopalnię anhydrytu Nowy Łąd w Niwnicach oraz kopalnię Lubichów przejęła Dolnośląska Spółka Inwestycyjna należąca do KGHM, która rok później całość udziałów odsprzedała Atlasowi, producentowi materiałów

zmianami w układzie zbiorowym dotyczącym warunków wynagrodzenia; m.in. z brakiem deputatu węglowego, dopłat do „wakacji pod gruszą”, autobusów dowożących ich do pracy i likwidacją innych przywilejów.

Na szczęście pozostała premia barbórkowa. Może dlatego wciąż uważali się za górników. Odebranie tego miedziowego „socjału” było trudne do zaakceptowania przez załogę. W spółce działało sześć związków zawodowych (po trzy w Nowym Łądzie i w Lubichowie). - Ludzie jednak wiedzieli, że gdyby nas nikt nie wykupił, to zostalibyśmy bez pracy. A właściciel też nie żartował, kiedy mówił, że zwolni wszystkich i zatrudni od nowa, jeśli załoga nie zgodzi się na jego warunki.

Na szczęście groźba lockoutu została zażegnana. Głównie z tego powodu, że od 1999 roku obie kopalnie zaczęły przynosić zyski.

- Pracowałem tam do 2009 roku - opowiada Kazimierz Plewa. - Odszedłem po czterdziestu la-

tach w górnictwie, choć miałem jeszcze umowę na trzy lata. Skończyłem 60 lat i postanowiłem się zwolnić, by odpocząć. Przez te wszystkie lata byłem w stałej dyspozycji, i w dzień i w nocy. Jak się coś działo, dzwonił telefon i trzeba było być gotowym do działania. Czulem, że zdrowie zaczęło się mi pogarszać a w firmie był godny następca z młodszej kadry.

Anhydryt i gips wciąż są eksploatowane w obu kopalniach. Wykorzystuje się je w górnictwie, przemyśle budowlanym, chemicznym i medycznym. Ale problemów tam nie brakuje.

- Po likwidacji spółki Aquakonrad i zatopieniu „Konrada”, również „Lubichów” był zagrożony zalaniem - tłumaczy inżynier Plewa. - Początkowo dopływ wody do kopalni wynosił średnio 3,5

m³/minutę. Według wcześniejszych opracowań „Cuprum” ilość ta miała wzrosnąć do 7m³/min. Obecnie dopływ wody do kopalni Lubichów wynosi ponad 9 m³/min, które trzeba wypompować, co oznacza wyższe koszty wydobycia.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji spółka Atlas zastanawia się nad zamknięciem „Lubichowa” i eksploatacją anhydrytu tylko w „Nowym Łądzie”



Przed uroczystą mszą przy kapliczce św. Barbary w Iwinach. Od lewej: Alojzy Mocny, dyrektor Aquakonrad, obok Edward Michalczyk, przewodniczący NSZZ Solidarność ZG Konrad i Kazimierz Plewa, kierownik ruchu zakładu ZG Konrad.

budowlanych. Miejsce pracy Kazimierza Plewy pozostało w prywatnej Kopalni Gipsu i Anhydrytu „Nowy Łąd”, ale pojawiły się zupełnie nowe wyzwania. I nie miały one nic wspólnego z technologiami górniczymi.

- Trzeba było dostosować funkcjonowanie zakładu do wymogów inwestora - tłumaczy. - Przede wszystkim pracownicy musieli pogodzić się ze

w Niwnicach. Zwłaszcza, że wywalczone sądownie odszkodowanie od Aquakonrad (za zabezpieczenie sąsiedniej kopalni przed zalaniem) w wysokości 3 mln złotych nigdy nie zostało wyegzekwowane.

■ Ach, ta Barbarka!

Spogląda na stare zdjęcia. Mężczyźni w różnym wieku siedzą za stołem ustawionym pod murami zamku Grodziec. Na czarno-białej fotografii wszyscy zadowoleni, uśmiechnięci.

– Na lata 1969-74 przypadł największy rozkwit starego zagłębia – opowiada K. Plewa. – Pracowało tu ponad 3 tysiące ludzi. Eksploatowano rudę miedzi na Upadowej Grodziec, w rejonach szybów: K-1, K-2, K-3 i w kopalni Lubichów. Praca odbywała się na głębokości od 140 metrów a na K-1 zjeżdżaliśmy szybem na poziom 550, najniżej eksploatowane wyrobiska znajdowały się na głębokości 830 metrów.

W tym czasie powstawały też górnicze osiedla mieszkaniowe w Bolesławcu i w Iwinach, budowano również na wioskach, choćby w Olszanicy. Z „Konrada” do okolicznych miejscowości objętych szkodami górniczymi dostarczano za darmo wodę pitną. Kopalnia pomagała też szkołom i gminom, które korzystały na tej współpracy.

Kwitło życie towarzyskie. Klub Górniczy NOT był znany w Bolesławcu jako jeden z lepszych lokali w mieście. Wpuszczano tam tylko posiadaczy karty członkowskiej NOT. W znajdującej się tam stołówce wieczorami odbywały się daniści. Ale jak ktoś narozbrajał, to już na drugi dzień musiał się tłumaczyć u szefa na dywaniku.

Na Barbórkę przez ulice Bolesławca maszerowały pochody górników z swoją orkiestrą. Było dużo klubów sportowych. Tu boksował m.in. Ry-



Przed uroczystą mszą przy kapliczce św. Barbary w Iwinach. Od lewej: Alojzy Mocny, dyrektor Aquakonrad, obok Edward Michalczyk, przewodniczący NSZZ Solidarność ZG Konrad i Kazimierz Plewa, kierownik ruchu zakładu ZG Konrad.

szard Tomczyk, mistrz Europy, olimpijczyk. Sukcesy odnosili ciężarowcy, piłkarze i brydżyści. We wspomnieniach Kazimierza Plewy często pojawia się... Barbarka.

– To był nasz dom wczasowy w Świnoujściu – wyjaśnia. – Każdy chciał tam jechać. Ale liczba miejsc była ograniczona. Najczęściej udawało się trafić do Barbarki raz na 2-3 lata. Zawoziły nas tam autobusy zakładowe.

Tamten czas był również pomyślny dla Kazimierza Plewy w sprawach prywatnych. Ożenił się w 1972 roku i wkrótce rozpoczął budowę domu.

– Z teściami było nam za ciasno – mówi. – Wziąłem kredyt – 150 tysięcy ówczesnych złotych. Szwagrowi ręka drżała, kiedy poręczał tę kwotę na 30 lat. W tym jednorodzinnym domku mieszkamy z żoną do dzisiaj. Córka skończyła architekturę i wyfrunęła z rodzinnego gniazda.

■ Przyrządzali parzące

Mało osób wiedziało o tym, że na „Konradzie” pracowali więźniowie. Szczególnie wielu w latach 70. Do-

Biesiada barbórkowa w Iwinach. Pierwszy od prawej Alfred Cholewiak, wieloletni dyrektor ZG Konrad.





Ostatni dyrektorzy: z prawej Adolf Chyra, ostatni dyrektor - likwidator ZG Konrad i Kazimierz Plewa - ostatni kierownik ruchu zakładu górniczego.

wożono ich z Zaremby i Wilkowa dwoma autobusami. Raz zdarzył się nawet bunt więźniów - nie chcieli wyjechać na powierzchnię.

- Przysparzali problemów - nie ukrywa K. Plewa. - Do pracy przywożono ich pod konwojem strażników, ale na dole to już dozór górniczy musiał się nimi zajmować. Często przyrządzali sobie tzw. parzącę; mikstura ta składała się z niedopałków papierosów, herbaty, startej gumy i wody. Podłączali się do energii elektrycznej i gotowali tę dziwną mieszankę. Po jej zażyciu byli oszołomieni a przez to niebezpieczni. Nie tylko dla siebie, ale i dla innych.

Inżynier Plewa przyznaje jednak, że wśród więźniów trafiło się też sporo zdolnych ludzi, jednak większość sprawiała kłopoty. Ale problemy byłyby nie tylko z więźniami. Do dzisiaj Kazimierzowi Plewie zapadło w pamięci zdarzenie sprzed wielu lat:

- Niespodziewanie dostałem wezwanie do sekretarza partii, „na dywanik”, jak to się mówiło. Zaczęło się śledztwo w sprawie rzekomo wywołanego przeze mnie złomu z terenu kopalni. Szybko się okazało, że zdarzenie miało miejsce, ale tylko na papierze, na którym jeden z moich podwładnych wysmarował na mnie donos. Miał do mnie żal, że nie dostał urlopu, w tym czasie, kiedy chciał. A że wtedy akurat się budowałem, to miał łatwe uzasadnienie do swojej „zemsty”. Oszczerstwo szybko się wyjaśniło: złom rzeczywiście był wywożony, ale do magazynu złomu kopalni.

W starym zagłębiu działo się z roku na rok coraz gorzej. W 1976 roku zaprzestano wydobywania

rud miedzi w „Lubichowie” (bardzo strome złożo, dużo uskoków i trudna eksploatacja), choć w wydobywanej tam rudzie było 1,1 proc. miedzi (w „Konradzie” tylko 0,6-0,8 proc.). Następnie do likwidacji poszła Upadowa Grodziec, a na K-1 i K-2 zaprzestano wydobywania dopiero w 1989 roku.

- W Bolesławcu już nie ma szkoły górniczej, w której się uczyłem - mówi inżynier Plewa. - Zlikwidowano ją w latach 90. W tym roku otwarto jedną klasę górniczą w Zespole Szkół Mechanicznych. Dyrektor szkoły proponował mi nawet prowadzenie zajęć dla uczniów. Podziękowałem, bo to już nie dla mnie.

■ Marzą o miedzi

Nie ma już górnictwa miedzi w starym zagłębiu, ale ci którzy kiedyś tam pracowali, kontynuują górnicze tradycje. Pamiętają o Barbórcie, przyjeżdżają z różnych okolic, by powspominać stare czasy. Obowiązkowo zaglądają do Iwin, gdzie wciąż jest jeszcze wiele pozostałości po dawnej kopalni rudy miedzi.

- W okolicy Bolesławca trwają wiercenia - mówi inżynier Plewa. - Ludzie mają nadzieję, że kopalnie odżyją i dadzą im pracę. Najgorsze, że po likwidacji „Konrada” cała infrastruktura (tory, kolejka, przeróbka mechaniczna) popadła w ruinę. Wszystko trzeba byłoby odbudowywać. Pozostała sieć energetyczna, drogi i część opuszczonych budynków, w których pracowali ludzie. A pod ziemią - wielkie jezioro.

Kilka lat temu zawartością pokonradowych stawów osadowych interesowali się Japończycy. Chcieli z nich odzyskać pozostałości miedzi i metale rzadkie.

- Byłoby to opłacalne, gdyby eksploatacja rudy odbywała się na bieżąco w „Konradzie” żeby do stawów osadowych trafiał coraz to nowy materiał - mówi K. Plewa.

To jeszcze jeden z powodów, dla których myślenie o przywróceniu do życia starego zagłębia miedziowego ma sens nie tylko społeczny, ale i ekonomiczny - uważa inż. Plewa. Tym pierwszym jest cena miedzi, która przekracza już 7 tys. dolarów za tonę przy zaledwie 1,3 tys. w okresie, kiedy „Konrad” został zlikwidowany. ■

– Dokładnie pamiętam datę 24 kwietnia 1969 roku – wspomina Ryszard Tomczyk. – Tego dnia zostałem przyjęty do pracy w ZG Konrad. Wtedy już cała sekcja bokserska była utrzymywana przez kopalnię. Zwalniali nas dwie godziny wcześniej z pracy. Przyjeżdżał autobus i jechaliśmy na salę trenować.

*Ryszard Tomczyk,
bokser, mistrz
Europy z Madrytu
w 1971 roku, górnik.
Pracował w ZG
Konrad od 1969 roku
do 1996*



Fedrował i boksował

– Byłem fajterem – mówi o sobie Ryszard Tomczyk. Po zdobyciu złota na mistrzostwach Europy w Madrycie, w 1971 roku, mieszkańcy Bolesławca zgotowali mu gorące przywitanie. Nieśli go na rękach przez całe miasto, od dworca kolejowego aż do restauracji NOT, w towarzystwie grającej orkiestry górniczej. Wracął do Bolesławca jako mistrz.

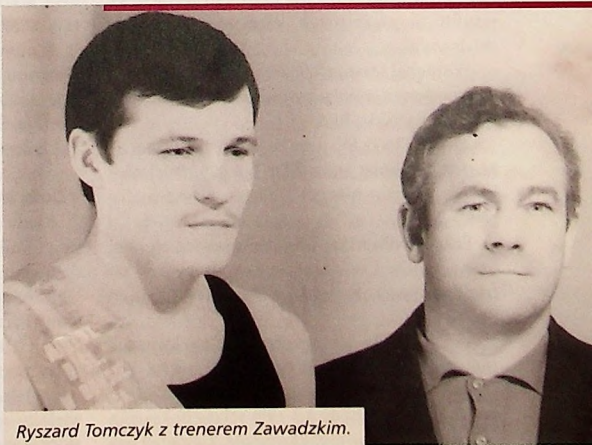
■ „Wrócił do Konrada”

W 1986 roku skończył karierę zawodniczą, sekcja bokserska w jego macierzystym klubie BKS Bolesławiec, gdzie był również trenerem, rozpadła się. Miał propozycje z innych klubów, ale nie chciał się włączyć po Polsce. Trzeba było coś robić. Zarabiać na życie, na utrzymanie rodziny. Powrócił do ZG Konrad. Odnowił posiadane już wcześniej uprawnienia i znowu zaczął zjeżdżać na dół.

– To był oddział likwidacyjny – wspomina. – Naszym zadaniem była likwidacja nieczynnych wyro-

bisk pomiedziowych w zamykanej kopalni. Co się dało, wyciągaliśmy na powierzchnię: maszyny, urządzenia, narzędzia. A potem przeprowadzaliśmy zawał wyrobisk.

Początkowo miał wątpliwości, czy sobie poradzi. Wśród kolegów – bokserów byli tacy,



Ryszard Tomczyk z trenerem Zawadzki.

którzy zjechali na dół, zobaczyli jak tam jest, że nie ma okien, zewsząd sączy się woda, duszne powietrze nie pozwala oddychać i szybko rezygnowali. Nie ukrywa, że było trudno.

- Niektórzy podśmiewali się ze mnie - wspomina. - Słyszałem, jak szeptali między sobą: „taki sławny a stoczył się, pracuje i musi zjeżdżać na dół”. Ale ja jestem twardy, choć nieraz było przykro słyszeć takie głosy. Starsi koledzy przyuczili mnie do tej roboty. Zostałem. Nawet polubiłem ją, tę czarną rozpacz, jak niektórzy mówili.

Ci, co szukali okien pod ziemią, nie mają dziś emerytur. A Tomczyk ją ma, choć i z tym też nie było łatwo.

- Okazało się, że zabrakło mi lat pracy, bo te spędzone na ringu zaliczono mi jako urlop w kopalni - mówi. - Właśnie dlatego musiałem wrócić na ZG Konrad w 1986 roku.

■ Nie było fikcji

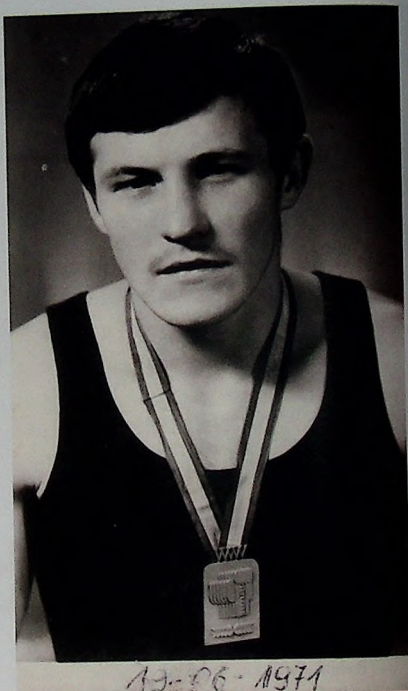
A zaczęło się w Tomaszowie Bolesławieckim. „Rysiek zetknął się z boksem, kiedy miał trzynaście lat, oglądając sprawozdanie z turnieju olimpijskiego - wspominała przed laty w artykule Henryka Czajki jego mama Paulina, już nieżyjąca. - Tak się do tego zapalił, że sam się wziął za naukę pięściarstwa. Pewnego razu chłopak mi się gdzieś zapodział. Szukam go po całym obejściu. Naraz na strychu słyszę łomotanie. Patrzę i oczom nie wierzę. Rysiek wali pięściami w jakichś rękawiczkach w duży długi worek napęczniony siecką i zawieszony na belce u sufitu. Skrzyczałam go i kazałam, żeby narąbał mi drzewa”.

Posłuchał i narąbał, a kiedy rozpoczął naukę w zawodowce w Bolesławcu, zaraz zapisał się do sekcji bokserskiej BKS.

- Kiedy to było? - sięga pamięcią wstecz. - Może pod koniec 1967 roku. A rok później zdobyłem już tytuł mistrza Dolnego Śląska juniorów.

Sekcja bokserska BKS Bolesławiec w tym czasie kwitła. Co zdolniejsi zawodnicy byli zatrudniani w ZG Konrad. I nie do końca była to fikcja.

- Dokładnie pamiętam datę 24 kwietnia 1969 roku - wspomina późniejszy mistrz Europy. - Tego dnia zostałem przyjęty do pracy w ZG Konrad. Wtedy już cała sekcja bokserska była utrzymywana przez kopalnię. Zwalniali nas



Ryszard Tomczyk ze złotym medalem
Mistrzostw Europy w Madrycie w 1971 roku.

dwie godziny wcześniej z pracy. Przyjeżdżał autobus i jechaliśmy na salę ćwiczyć boks.

Już wtedy, po skończeniu kursów, uzyskał uprawnienia górnika przodowego. Jednocześnie zdobywał kolejne laury na ringu. Trener Czesław Zawadzki widział w nim wielki potencjał bokserski. Potencjał na mistrza.

■ Złoto w Madrycie

Kiedy znalazł się w kadrze narodowej, treningi stały się znacznie intensywniejsze. Nie dało się ich pogodzić z pracą pod ziemią.

- Wciąż byłem górnikiem - wspomina Ryszard Tomczyk - ale oddelegowanym z kopalni. Nie zjeżdżałem już na dół. Zostałem objęty programem przygotowań kadry.

W 1971 roku Ryszard Tomczyk odniósł największy sukces w swojej karierze, zdobywając złoty medal Mistrzostw Europy w Madrycie. Do



W ringu. Ryszard Tomczyk po lewej.

dziś pamięta nazwiska swoich przeciwników: Rosjanin Walerian Sokołow, mistrz olimpijski (w ćwierćfinale), Rumun - Gabriel Pometcu (półfinał) i Węgier - Andreas Botos (finał).

Ale wielu kibiców pamięta również jego pojedynki z monachijskiej olimpiady w 1972 roku. Przegrał wówczas z Rosjaninem Kuzniecowa, któremu przepadł złoty medal olimpijski.

■ Stamm zaklepał

W swojej karierze na amatorskim ringu Ryszard Tomczyk stoczył 300 walk, w których aż 280 razy zwyciężał, raz zremisował i 19 razy schodził pokonany. Duże znaczenie w karierze zawodniczej miał dla Ryszarda Tomczyka wyjazd na wyspy brytyjskie. Było to jeszcze przed mistrzostwami w Madrycie. Polscy pięściarze walczyli tam z angielskimi, a potem irlandzkimi.

– Przed wyjazdem byłem na zgrupowaniu w ośrodku w Cetniewie. Opiekował się nami Feliks Stamm – wspomina Ryszard Tomczyk. – Chyba upatrzył sobie mnie na mistrza. Raz przerwał mój sparring i powiedział głośno: „Masz zaklepane miejsce w kadrze”. Chyba go nie zawiodłem. Byli starsi zawodnicy ode mnie, ale po Anglii to ja pojechałem do Madrytu i zdobyłem złoto. Stamm był chyba dumny. Cieszył się, że to właśnie mnie wybrał na reprezentanta kraju.

Tomczyk nie musiał już jeździć na poziom 550 w „Konradzie”, a potem na Upadową Grodziec. A jak się zbliżała godzina 12, to rzucał robotę i biegł chodnikami, żeby zdążyć na trening.

– Na tych podziemnych chodnikach praca była ciężka – wspomina. – Nieraz trzeba się było nawet czołgać. Zdarzały się niebezpieczne sytuacje. Jeden z moich kolegów zginął. Przyginiotło go...

■ Ring i miedź

– Nie myślałem, że Tomek - mój syn - będzie kiedyś boksował. W 2002 roku powstał UKS Fighter - Bolesławiec. Tomek był wtedy ochroniarzem. Czasem przychodził na treningi, żeby złapać trochę drygu sportowego. To Arek Sowa, sędzia, namówił go, żeby przeniósł się do pracy na „Rudnej”. Dzisiaj pracuje tam, prawie, jak ja kiedyś w Iwinach, choć tam ma lepsze maszyny niż my kiedyś na „Konradzie”. Poza tym obaj trenują w jednym klubie, bolesławieckim TOP.

– Syn lubi trenować. Coś chyba jednak coś po mnie odziedziczył. Tylko czy to miłość do boks, czy do miedzi? A może jedno i drugie?

Dziś młodzież trenująca boks w Bolesławcu inaczej podchodzi do tego sportu. To już nie jest kwestia sławy czy choćby tylko odskoczni od zwyczajnego życia. Boks traktują jak ćwiczenia dla tężyzny fizycznej, poprawy kondycji. Wyjeżdżają na studia z Bolesławca, a kiedy czasem wracają, przychodzą na salę potrenować. Nawet nie jak amatorzy, bo tych w Polsce już prawie nie ma, ale tak dla siebie. Są miłośnicy boks, jak ci młodzi, i są zawodowcy, którym marzą się zwycięstwa na zawodowych ringach i mistrzowskie pasy światowych organizacji bokserskich. Syn z ojcem spotykają się na sali, za której wynajem muszą płacić, jak wszyscy. Na ogół dwa - trzy razy w tygodniu.

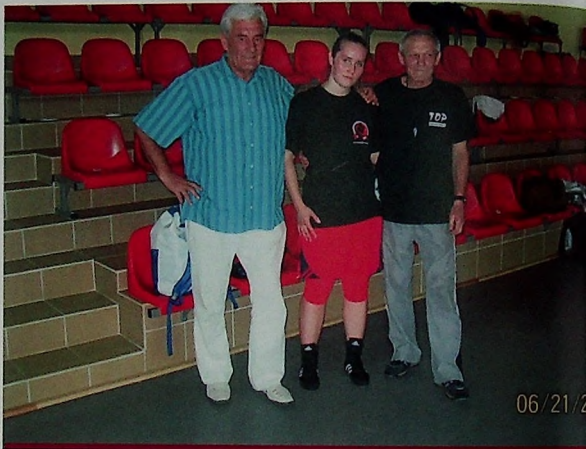
■ Lewy prosty, prawy hak

Na treningi przychodzi około 15-20 młodych chłopców. Ryszard Tomczyk podpowiada im, co jest ważne w tym sporcie, nie tylko w oparciu o własne doświadczenie z ringu, lecz także o wiedzę, którą zdobył na AWF we Wrocławiu, na kursie trenerów:

– W boksie liczy się cios: lewy prosty, prawy hak. Do tego jeszcze praca nóg, dojsście i odskok, refleks i ...troszeczkę serca. I żeby się krwi nie wystraszyć, bo na ringu krew często się leje.

W swojej kolekcji mistrz ma wiele medali, pucharów, dyplomów. Liczne podziękowania

i wyrazy uznania. W 1971 roku zajął drugie miejsce w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca kraju. W 1973 roku został wybrany na sportowca roku w Zagłębiu Miedziowym (tytuł najlepszego trenera zdobył wówczas



Ryszard Tomczyk (pierwszy z prawej) na sali w klubie TOP.

Czesław Zawadzki). Zdobył Laur Wrocławia. Za dokonania sportowe otrzymał tytuł Mistrza Sportu (1977 r.) i Zasłużonego Mistrza Sportu (1983 r.), medal Zasłużony dla Polskiego Komitetu Olimpijskiego (2001r.). Ponadto: brązowy, srebrny i złoty Medal za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. W 2001 roku Rada Miejska wyróżniła go tytułem Honorowego Obywatela Bolesławca. Jest również Zasłużonym dla Dolnego Śląska.

Posiada też odznaczenia, które nie mają nic wspólnego ze sportem: Zasłużony dla kopalni Konrad, górniczą szablę i mundur, na którym prezentują się krzyże zasługi: srebrny i złoty.

– Zakładam ten garnitur na Barbórkę – mówi Ryszard Tomczyk. – Idziemy wtedy z kolegami do kościoła na naszą mszę górniczą.

Jego dokonania sportowe zainspirowały Dariusza Stępnia do napisania w 2000 roku pracy magisterskiej pt. „Życie i kariera sportowa Ryszarda Tomczyka” w Katedrze Historii Sportu AWF Poznań. Jak również zostały opisane przez Jana Pałdzińską, byłego pracownika ZG Konrad, w zarysie monografii Bolesławieckiego Klubu Sportowego.



Mistrz wśród mistrzów. Ryszard Tomczyk – siedzi po prawej stronie, Janusz Gortat stoi pierwszy po prawej.

■ Pozostał mistrzem!

Spotyka się też z kolegami - bokserami. Przy okazji turniejów, na które są zapraszani. Nawet na wszystkie nie jeździ, bo nieraz zdarza się, że odbywają się co tydzień. Czasu brak. Ale kiedy już jest, to zawsze spotyka się ze „starą gwardią”. Grzesiak, Bartnik, Zarenkiewicz - medaliści, mistrzowie. Wielu już odeszło, na zawsze zeszli z ringu. Niektórzy zostali znokautowani przez życie. Ale nie Tomczyk. Pozostaje mistrzem. Nie pęka.

– Zawsze byłem twardy – powtarza. – Może dlatego, że wciąż mam, co robić. Nie tylko trenuję. Mam swój ogródek, rodzinę. Toczę zwykłą codzienną walkę, jak każdy w swoim życiu.



Ryszard Tomczyk na skwerze przed klubem TOP w Bolesławcu.



Mistrzowskie szarfy Ryszarda Tomczyka.

Sukcesy i trofea sportowe Ryszarda Tomczyka:

Tytuł Mistrza Europy - Madryt, 1971 r.

Medale: srebrny (Belgrad 1973 r.) i brązowy (Katowice 1975 r.) Mistrzostw Europy. W latach: 1971 i 1972 - mistrz Polski w wadze piórkowej (57 kg), w latach 1973 i 1975 mistrz Polski w wadze lekkiej (60 kg). Ponadto dwukrotnie zdobywał brązowe medale MP. Uczestnik olimpiady w Monachium (1972) i Mistrzostw Świata w Hawanie w 1974 r.

Wygrane turnieje rangi międzynarodowej:

Turniej Gryfa Pomorskiego - Szczecin 1972 r.,
Turniej o Czarne Diamenty - Katowice 1972 r.,
Turniej o Złotą Łódkę - Łódź 1973 r.,
Turniej o Memoriał Prohazki - Ostrawa 1976 r.,
Turniej Złotego Oskara - Jugosławia 1976 r.,
Turniej o Laur Wrocławia - Wrocław 1977 r.,
Turniej Asów - Jastrzębie 1977 r.,
Turniej Wojvodanska Rukavica - Subotica 1980 r.

Źródło: Jan Paździora - Bolesławiecki Klub Sportowy - zarys monografii 1955-2005. Bolesławiec 2005 rok.

Siadły wszystkie trzy zasilania kopalni. Sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz bardziej dramatyczna: pompy przestały pracować, załazał rzępa a potem magazyny i warsztaty. Brodziliśmy w wodzie po kolana zdenerwowani i zdezorientowani, bezskutecznie szukając przyczyn tak totalnej awarii. W końcu okazało się, że wina leży po stronie energetyki. Całą noc czekaliśmy na usunięcie awarii.

*Tomasz Bączek,
elektryk utrzymania
ruchu w ZG Lubin.
Wieloletni muzyk
w Orkiestrze
Górnictwej ZG „Lubin”.
Pracował w latach
1969 – 2008*



Kiedy gra orkiestra dęta...

Nasze drogi do kopalni Lubin były różne. Ja wcześniej pracowałem na kolei, Janek jako specjalista od wysokich napięć (powyżej 110. tysięcy Volt) w zakładzie chemicznym NZPO Rokita w Brzegu Dolnym, i w tym samym zakładzie Jerzy, jako mechanik. To on pierwszy ruszył na Miedź. Najpierw zaczęził się w kopalni Polkowice, a potem trafił na Oddział Wodny w „Lubinie”, gdzie obsługiwał pompy, ujęcia wodne i rurociągi.

Kiedyś Jurek zadzwonił do Janka: „Przyjeżdżaj! Potrzebują ludzi do pracy i chcą tworzyć orkiestrę”. Janek go posłuchał. W ZG Lubin dostał stanowisko dyspozytora mocy. Te trzy duże transformatory przed rotundami, które jadąc do Polkowic widzi się po lewej stronie przed kopalnią Lubin, były pod jego nadzorem przez 6 lat.

Ja trafiłem do kopalni Lubin jako ostatni z trójki braci. Przyjechałem z kolegą Kazikiem Wajmanem. Pierwszego napotkanego nadsztyn-

gara, a był nim Marcinkowski, zapytałem: „Ile możemy zarobić po technikum elektrycznym?”. „Na początek dwa siedemset!”. Zamurowało mnie, bo była to wówczas suma bardzo duża. Na kolei po 3 latach pracy dostawałem zaledwie półtora tysiąca złotych. W tej sytuacji już nawet nie kalkulowałem, tylko szybko, w połowie stycznia 1969 roku, złożyłem dokumenty i podanie o przyjęcie do pracy.

Po miesiacu przyniosłem do domu pierwszą wypłatę. Ojciec powiedział: „Chłopie, ty masz więcej ode mnie!”. A kiedy dowiedział się jeszcze o trzynastce, a po roku pracy o Karcie Górnik, przyznał, że kopalnia, w przeciwieństwie do kolei, nawet gdy się jest zawiadowcą odcinka elektrycznego, to zupełnie inny świat. I już nigdy mi nie proponował funkcji zastępcy zawiadowcy w PKP Ścinawa.

Ten inny świat stworzony z ogromu nowych urządzeń elektrycznych, znajdujących się kil-

kaset metrów pod ziemią, stawiał nowe wymagania. Musiałem wiele wysiłku włożyć w przyzwyczajanie się do dołowych warunków pracy, a także do obsługi wszystkich urządzeń elektrycznych poczynawszy od 24 i 220V do 6000kV, rozdzielni wysokiego i niskiego napięcia, różnego typu sterowni a także zabezpieczeń silników i transformatorów.

Po roku dało znać o sobie wojsko. Znalazłem się w szkole podoficerskiej w Orzyszu, a potem po półrocznej edukacji przeniesiono mnie do jednostki bojowej w Bolesławcu, skąd do domu było już blisko.

■ W spadku po dziadkach

Dla Tomasza Bączka i jego rodzeństwa dom, rodzina od zawsze była wyjątkowo ważna, bo jak podkreśla: „Z rodziny płynie wzór i siła, rodzina wpływa na nasz sposób widzenia i przeżywania świata”. Opowieść o pradziadku Dominiku Rachoniū, powstańcu styczniowym - człowieku z dużą fantazją i gestem, bardzo długo była popularna w Lublinie i w Zakrzówku. Z rodzinnych przekazów wiadomo, że pradziadek pracując jako furman powozowy,

za podwiezienie klienta do Lublina otrzymał w formie zapłaty 1/4 losu. Na los ten padła wielka wygrana i pradziadkowi wypłacono 25 tysięcy rubli. Szczęśliwy posiadacz fortuny balował w Lublinie przepijając z kompanami powstańcami okrągłe 20 tysięcy rubli. Pozostałe 5 tysięcy przekazał wnuczce pod warunkiem poślubienia wybranego przez siebie kawalera. Na stare lata pradziadek mieszkał u swego syna a naszego dziadka Andrzeja. Tenże dziadek był stelmachem, a oprócz tego zajmował się muzykowaniem. Miał swoją kapelę i grał na skrzypcach. Jako znany w okolicy muzykant grał często na wiejskich weselach, w kościele, a także uczył gry na skrzypcach w Krańniku.

- Myślę, że nasza mama - Zofia Rachoniówna (córka Andrzeja) - odziedziczyła po swoim ojcu słuch i piękny głos. Jeszcze w starszych latach będąc, śpiewała w chórze ścinawskim, który działał przy miejscowym domu kultury. Ale jeszcze bardziej muzykalni okazali się jej bracia, a moi wujowie. - Jan Rachoń, doskonały klawecista i wychowawca młodzieży, jako starszy sierżant sztabowy grał we wrocławskiej orkiestrze wojskowej oraz Stefan Rachoń, ukończył Kon-



Tomasz Bączek, pierwszy od lewej, gra na saksofonie tenorowym.

serwatorium Muzyczne w Warszawie i w latach 1929-44 był już pianistą i skrzypkiem - koncertmistrzem znanym w kraju i za granicą. Po wojnie założył Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji i dyrygował nią przez 35 lat. W latach siedemdziesiątych byłem u niego dwa razy. Przyjemnie było, elegancko, opowiadał o wszystkich miejscach, gdzie był i koncertował. Nie miał za dużo czasu, bo jechał ze swoim zespołem na występy do Jałty, a może Odessy, wtedy był dla mnie jak z innego świata - przyznaje Tomasz Bączek.

- Z kolei nasz ojciec - Tadeusz Bączek przed wojną grał na mandolinie. Po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną pracował na kolei. Pochłaniała go praca, bo utrzymać pięcioro dzieci, którymi z ogromnym oddaniem zajmowała się mama, nie było łatwo.

■ Wolałem tutkać

W naszym domu, w Ścinawie, gdzie się urodziłem, w jednym z kilku pokoi zawsze leżały porozkładane instrumenty dęte (saksofony, klarnety, flety itp.). Jako dzieci rzępoliliśmy sobie na nich z różnym skutkiem. Janek naukę gry na klarnecie zaczął u wujka Jana z Wrocławia. Potem w niedługim czasie poszedł do Państwowej Szkoły Muzycznej w Legnicy i uczył się gry na klarnecie u prof. Hajdamowicza. Jerzy także pobierał nauki u wujka. Kiedy skończył 14 lat, wstąpił nawet jako elew do Reprezentacyjnej Orkiestry Dętej Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. Potem dostał się do Państwowej Szkoły Muzycznej. Ze mną było trochę inaczej. To Janek zachęcał mnie do grania na klarnecie. Mówił: „Fukaj, fukaj jak najwięcej”. Nie byłem z tego swojego fukania zadowolony. Wolałem tutkać na mocniej brzmiącym saksofonie. No to sprowadzili mi saksofon z Wrocławia od wujka Janka i zaczęła się moja nauka poprzez podglądanie braci. Chyba z dobrym skutkiem, bo już w szkole zawodowej zacząłem grać chałtury.

Nasz ojciec trzymał dyscyplinę, wciąż powtarzał: „Jeżeli będziecie palić i pić, to z muzyki nic nie będzie!”. Wspierał nasze zdolności muzyczne, ale też chciał, aby każde z dzieci miało konkretny fach w ręku. Dlatego Janek równolegle ze szkołą muzyczną ukończył we Wrocławiu Technikum Energetyczne, podobnie Jurek oprócz szkoły muzycznej, ukończył Technikum Mechaniczne a ja - Technikum Elektryczne w Legnicy. Po kilku latach spotkaliśmy się w ZG Lubin.

■ W wodzie po kolana

Po odbyciu służby wojskowej wróciłem do ZG Lubin na swój oddział. Kierownik już na wejściu zarządził: „Masz technikum, pójdziesz na „Zachód”, bo właśnie otwierają oddział elektryczny”. Pojechałem zorientować się w sytuacji, a tam jeszcze nawet nie było klatki zjazdowej tylko kubeł. Wchodziło się do niego po drabinie, a potem zjeżdżało na stanowiska pracy, gdzie niemiłosiernie lała się na głowę woda z rozmrażanego górotworu. Zawróciłem z Zachodu i powiedziałem kierownikowi, że ja w te warunki pójść nie mogę. W wojsku miałem ostrą zaprawę i po skończeniu służby zaczął się u mnie rzut choroby reumatycznej. Wtedy akurat rozpocząłem leczenie u specjalisty we Wrocławiu. Kierownik powiedział: „Ale ja cię nie przyjmuję do siebie!”. Poszedłem więc do głównego szefa energetyków - magistra Pleśniaka. Wysłuchał mnie i od razu zaproponował przejście na powierzchnię, bo akurat ruszył Wydział Przeróbki Mechanicznej. Z racji dużego zapylenia, hałasu i wibracji dostałem stawkę nawet wyższą niż najwyższa na dole i mimo wszystko pracowałem w lepszych warunkach.

Początkowo trafiłem na rozdrabniałnię, dokąd docierała ruda odbierana z szybu wyciągiem klatkowym, samochodami i wagonikami. Po zmieleniu w młynach młotkowych, przesyłano ją na flotację. Odbywało się to w ogromnym hałasie i pyle. Byłem w oddziale, który zajmował się utrzymaniem wszystkich urządzeń elektrycznych, silników, transformatorów, oświetlenia. Jednym z ważniejszych urządzeń były przenośniki taśmowe. Początkowo, gdy coś się działo z taśmami, trzeba było za każdym razem chodzić i szukać awarii, sprawdzać, czy nie są zatarte łożyska. Na dodatek taśmy gumowe, grube i ciężkie często pękały. Z impetem spadały z sześciu metrów na ziemię, a z nimi ruda, która zasypywała wszystko niemal pod sufit. W takiej sytuacji trzeba było rudę wybrać, taśmę wyczyścić i skleić. Obsługa tych przenośników była szczególnie uciążliwa w porze zimowej. Potem ktoś wpadł na pomysł, by dla osłony przed zimnem wykorzystać budki telefoniczne. Pomysł się sprawdził, a następnie przez lata był udoskonalany. (Dzisiaj budki nie przypominają dawnych, są ładniejsze, obszerniejsze, wyposażone w monitory i jeden człowiek może obsługiwać kilka taśmociągów).

Jako elektryk utrzymania ruchu pracowałem również na nastawni sterującej. Jej centralnym urządzeniem był ogromnych rozmiarów pulpit, z sygnałami i aparaturą kontrolno-pomiarową. W nastawni zwykle pracowaliśmy w trójkę, dzieliliśmy się obowiązkami tak, że dyżur na każdego z nas przypadał raz na trzy dni. Śledzenie przebiegu procesów od strony elektrycznej w cieple, ciszy i czystym powietrzu, było najwyższą formą pracy. Niestety oprócz dyżurów wykonywaliśmy różne konserwacje, przeglądy i naprawy na rozdzielniach, flotacji czy suszarni. Również kiedy na kopalni dochodziło do większej awarii, szczególnie w sobotę i niedzielę, gdy był postój, zawsze szliśmy pomagać. Potem wracaliśmy i do rana robiliśmy przeglądy u siebie, bo o stan urządzeń elektrycznych należało dbać na bieżąco.

Najtrudniejsze momenty były wtedy, gdy nam kable popaliło. Naprawialiśmy je nawet przez trzy dni. Kiedyś siadły wszystkie trzy zasilania kopalni. Sytuacja była dramatyczna, pompy przestały pracować, zalało rząpia, stanęły magazyny i warsztaty. Pamiętam, zdezorientowani i zdenerwowani brodziliśmy w wodzie po kolana, bezskutecznie szukając przyczyn tej totalnej awarii. W końcu okazało się, że doszło do uszkodzenia zasilania ze strony energetyki. Całą noc czekaliśmy na usunięcie awarii przez producenta energii... Ogólnie miałem pracę bezpieczną, ale wymagającą przestrzegania dyscypliny i przepisów bhp. Kiedyś kolega chciał popchnąć coś brechą na taśmociąg, wciągnęło mu ręką pod rolki i zdarło skórę do łokcia. Przyleciał do nastawni, bo tam były wszystkie apteczki. Jeszcze przed przyjazdem karetki pogotowia zdołałem mu ściągnąć z palca obrączkę. Potem leżał trochę w szpitalu, miesiąc przesiedział w domu i wrócił do pracy.

■ Dyrygent z opery

Przez szereg lat w wolnym czasie ze swoim czteroosobowym zespołem wiele chałturzyłem. Kiedy jednak wciągnięto mnie do zakładowej orkiestry dętej, sporo się zmieniło. Orkiestrę w 1970 roku założył Czesław Piątkowski, pierwszym dyrygentem był Jan Werbowy, a pierwszym prezesem mój brat Janek, który przez 40 lat dzierżył tę funkcję. Oczywiście od samego początku w orkiestrze grał również mój najmłodszy brat Jerzy. Ja dołączyłem dopiero

w 1973 roku. Wtedy właśnie nowym dyrygentem orkiestry został Wacław Janiszewski, muzyk-puzonista z opery wrocławskiej.

■ Brata nie mogło zabraknąć

Mówię Wacław, Wacusi, bo pozwalał nam zwracać się po imieniu. Niezwykle energiczny, rzetelny i taki bardzo ludzki. Przyszedł zaraz po tym, jak orkiestra przeniosła się z działalnością do pięknych pomieszczeń w suterynie Szkoły Podstawowej nr 4 (obecnie IV Liceum Ogólnokształcące). Z jego pojawieniem się, zaczęła się w orkiestrze przemiana. Moi bracia, zwłaszcza Janek, nalegali bym się do nich przyłączył. Mówiłem, że się muszę wciągnąć w swoją robotę na kopalni, że jeszcze mam czas. Ale któregoś razu, a było to w połowie 1973 roku, Janek zaciągnął mnie na próbę. Po przesłuchaniu Wacusi powiedział: „Dobrze gra. Brata nie może zabraknąć”. Tym sposobem cała nasza trójka znalazła się w jednej orkiestrze. Zakład chciał mieć orkiestrę i w naszej działalności muzycznej szedł nam na rękę. We wtorki i piątki mieliśmy próby popołudniowe trzygodzinne, a w soboty próby trwały od rana do godziny trzynastej i kopalnia płaciła nam za nie, jak za dniówkę. A była to także harówka, bo mistrz stawiał nam - muzykom z miedzi - coraz to wyższe wymagania.

■ Inni nam grają do tańca

Już podczas Festynu Górniczego, w 1973 roku, obok obowiązkowych marszów prezentowaliśmy zupełnie nowy repertuar z elementami muzyki rozrywkowej, operowej, a nawet jazzowej. Na klarnecie jako solista grał nasz najmłodszy brat – Jerzy. Publiczność była zachwycona.

28 września w tygodniku „Konkrety” po naszym koncercie dla mieszkańców Lubina napisano: „Niezwyczajny był to koncert. Orkiestra zawiądnęła salą widowiskową DKZM, zawiądnęła i odniosła sukces. Repertuar, jaki zaprezentowano, był nie tylko ciekawy, ale i zaskakujący – od utworów, które przywykło się przypisywać orkiestrom dętym, po muzykę operową, rozrywkową a nawet jazzową”.

Sukces ten zapoczątkował serię występów na antenie Polskiego Radia oraz uczestnictwo w wielu poważnych konkursach orkiestr dętych, zarówno w kraju jak i za granicą.

To się działo dlatego, że mieliśmy szczęście pracować z charyzmatycznym Wackiem Janiszew-

Koncert w „Muzie” z okazji 10-lecia orkiestry prowadził
Wojciech Dzeduszycki (styczeń 1980 r.).



skim, niesamowitym pedagogiem i wspaniałym człowiekiem. Kiedy nam pokazywał, jak należy coś zagrać, robił, to z tak doskonałą perswazją, że natychmiast potrafiliśmy po nim powtórzyć. Nie zostawił nas nigdy samych z jakimś problemem. Pamiętam, przed dorocznymi koncertami, np. na lotnisku, siedział tak długo, aż osiągaliliśmy perfekcję wykonania. On chciał sięgać z nami po wielką muzykę. Graliśmy między innymi największe przeboje Glenna Millera. Wacuś nas spajał, zlepiał. Żyliśmy się ze sobą tak bardzo, że w gronie członków orkiestry i ich rodzin zaczęliśmy obchodzić Święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy i wszystkie inne większe uroczystości.

Niestety po dziesięciu latach Wacek odszedł do Wrocławia. Do dzisiaj owocuje wiedza, którą nam wtoczył do głów. Przetrwały też zapoczątkowane przez niego zwyczaje. Raz do roku, przed Barbórką, inni nam grają do tańca, a my zapraszamy na zabawę swoje małżonki.

■ Muzyka nie ma opcji

Przez 40 lat w ZG Lubin, muzykowanie szło w parze z pracą zawodową, która była najważniejsza. Uczestniczyłem też w zakładowym życiu. Pamiętam różne sytuacje, akcje i strajki. Wprawdzie nie byłam szczególnie zasłużonym

działaczem Solidarności, ale był czas, gdy przez miesiąc trwania strajku siedziałem w zakładzie. Spaliśmy, graliśmy w karty, oglądaliśmy filmy no i oprotestowywaliśmy podwyżki żywności. Jednak kiedy każdego roku w Borowicach oba związki, zarówno solidarnościowy jak i miedziowy, organizowały sobie doroczne zabawy i zapraszano mnie z moim czteroosobowym zespołem do grania, wtedy kolegów z obydwu organizacji traktowałem jednakowo - graliśmy jednym i drugim, bo muzyka nie ma opcji. Ona pozwala się rozluźnić, wyciszyć, uspokoić, pozwala na większy dystans do tego rozpedzonego świata.

W miarę lat mój Wydział Przeróbki Mechanicznej zmieniał swoje oblicze. Kombinat nie żałował pieniędzy na rozwój myśli technicznej. Kiedyś były młyny małe, potem o większej przepustowości. Metalowe płyty w młynach z czasem zmieniono na gumowe, eliminując hałas. Pamiętam, pierwsze maszyny flotacyjne, były malutkie jak ślimaczki, a teraz to olbrzymy, wszystkie osłonięte, by do minimum ograniczać hałas i pylenie. Dzisiaj też załoga jest bardziej świadoma, podporządkowująca się przepisom bhp. Ludzie bez większego szemrania noszą maski i ochraniacze na uszy.



Pan Tomasz z wnuczką
Mateuszką.

W 1994 roku, po 24 latach wspólnego muzykowania w orkiestrze dętej ZG Lubin, mój brat Jerzy rozstał się z nami i wyjechał na stałe do Niemiec. Mieszka w Norymberdze i gra z Black Kapelą. Janek, który zakotwiczył w ratownictwie górniczym, w 1998 roku przeszedł na emeryturę, a ja życie emeryta rozpocząłem w 2008 roku. Gdybym mógł jeszcze raz swój los układać? Na pewno bym poszedł na studia. Nie muzyczne, ale elektryczne, bo z muzyki dzisiaj ciężko żyć na dobrym poziomie, chyba że jest się wybitną osobistością, jak wujek Stefan. Będąc na emeryturach nadal gramy w naszej orkiestrze. Dodatkowo prowadzimy także orkiestrę szkolną w Zespole Szkół nr 3, gdzie funkcjonuje Technikum Górnicze. Mamy szesnastu chło-



Państwo Bączkowie na urodzinach
u przyjaciół (2003 r.).

paków z różnych szkół i ćwiczymy z nimi nuty, które podrzuca nam, mimo poważnej choroby, Wacek Janiszewski.

Także my - starzy wyjadacze - ciągle patrzymy w nuty, ćwiczymy partytury, bo muzyka bez ćwiczeń nie istnieje, nie przynosi satysfakcji. Mówi się, że jeśli chór śpiewa w kościele, to jakby się człowiek dwa razy się modlił, ale jesteśmy przekonani, że kiedy orkiestra nasza gra, to tak, jakby się modlić trzy razy.

Tomasz i Jadwiga Bączkowie dochowali się trójki dzieci i siedmiorga wnucząt, u których również ujawniły się rachoniowe talenty. Syn najstarszej córki Margerity, absolwent średniej szkoły muzycznej, gra na klawirze w orkiestrze dętej ZG Polkowice. Średnia córka Magdalena - pięknie śpiewa i gra na gitarze, a jej dzieci, Marysia i Mateusz grają na pianinie i flecie oraz perkusji - bakcył muzykowania dotyka kolejne pokolenie. ■

Po przejściu do Zakładowego
Domu Kultury ZG Lubin mieli-
śmy spokój, nikt nie wchodził
nam z butami w to, co i jak
robiliśmy, no i nie musieliśmy
oddawać tekstów do cenzury.
Zaplecze mieliśmy trochę gorsze,
ale nie to było najważniejsze - tu
czuliśmy się, jak u siebie!

*Piotr Strzelecki,
dyspozytor ruchu
w Zakładach
Górnich Lubin,
przewodniczący
Stowarzyszenia
Górnicy Chór Męski.
Pracował w latach
1969 – 2000*



Kolędy na cenzurowanym

– Urodziłem się 17 maja 1945 r., w obozie przejściowym w niemieckim Hohenfels, które po wojnie znalazło się na terenie strefy amerykańskiej. Mama, zaraz po wybuchu II wojny światowej, trafiła z łapanek na roboty do Niemiec, wywieziona jednym z pierwszych transportów z Tarnowa. Tato walczył w kampanii wrześniowej, ranny wrócił do domu i też wpadł w łapance. Pracował w firmie budowlanej w Kelheim w Dolnej Bawarii, nad Dunajem a mama u bauera na wsi, po drugiej stronie rzeki. Tam się poznali i często z narażeniem życia potajemnie się spotykali. Ich związek przetrwał trudne lata wojenne. W sierpniu 1945 roku wrócili pociągiem towarowym do Polski. Mama opowiadała, że panowały ogromne upały, a oni z 4-miesięcznym dzieckiem jechali odkrytym wagonem, chowając się przed słońcem pod skrzydłem, przewożonego tym samym wagonem rozbitego samolotu – wspomina Piotr Strzelecki.

■ AGH - wybór z rozsądku

Osiedlili się w ówczesnym Pucharowie Górnym, którego nazwę zmieniono później na

Szklary Górne. Tu Piotr Strzelecki chodził do podstawówki, potem uczył się w Liceum Ogólnokształcącym w Głogowie. Szkołę wybrali rodzice, bo w bliżej położonym Lubinie nie było ogniska muzycznego, a pan Piotr od najmłodszych lat wykazywał uzdolnienia muzyczne. Miał uczyć się gry na akordeonie, ale nauczyciele z ogniska uznali, że lepsze dla niego będą skrzypce. Obie szkoły ukończył w tym samym terminie.

– Z wyborem kierunku kształcenia i uczelni nie miałem najmniejszego problemu. Od razu wiedziałem, że będzie to Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie. Po pierwsze byłem urzęczony Krakowem i nie wyobrażałem sobie studiów w innym mieście. Po drugie byłem zauroczony wiertaczami, którym mama wynajmowała pokój w naszym domu. Wiedziałem, że w okolicznych lasach poszukają złóż miedzi. Gdy wracali ubrudzeni i głodni po dwutygodniowym pobycie w lesie, mama im gotowała i prała ubrania, a we mnie stopniowo dojrzewała decyzja o AGH. Już wtedy nabrałem przekonania, że powstanie tu przemysł miedziowy i ja po studiach wrócę w rodzinne strony – dodaje.



Rok 1999. Piotr Strzelecki (drugi z prawej) odbiera szpadę górniczą.

Te przeświadczenia się zmaterializowały w 1969 r., wtedy to Piotr Strzelecki ukończył krakowską uczelnię i rozpoczął pracę w Zakładach Górniczych Lubin w budowie. Zaczynał od górnika, stażysty, potem został nadgórnikiem i sztygarem zmianowym na oddziale G-4.

– Początki w kopalni były brutalnym zderzeniem wiedzy i atmosfery wyniesionej z uczelni z twardą rzeczywistością. Trzeba było zapomnieć, że jest się magistrem inżynierem. Mimo to z ogromnym szacunkiem wspominam górników, z którymi pracowałem w trudnych warunkach, kiedy jeszcze nie było takiego zaplecza maszynowego jak dzisiaj, kiedy np. przodki wierciliśmy ręcznie, a niektórych innych czynności dopiero się uczyliśmy. Wielu górników wywodziło się z tzw. „starego górnictwa rud żelaza” z Kielecczyny. Zapadły mi w pamięci niektóre z nazwisk: Pasiut, Wiśniewski, Wszola, Zaskórski, dwaj bracia Płazowie, Roch, Kryczmanik i inni.

■ Na nowo uczył się chodzić

Po sześciu latach od rozpoczęcia pracy zawodowej Piotr Strzelecki uległ ciężkiemu wypadkowi. Był nadsztygarem w Dziale Mechaniki

Górotworu i kontrolował funkcjonowanie obudowy z klejonymi kotwami – akurat wdrażano tę nową technologię. Sprawdzał przodki strzelane przez górników z PBKR Częstochowa, gdy oberwały się nad nim skały stropowe. Obrażenia były bardzo ciężkie. Miał złamany kręgosłup, miednicę, połamaną w kilku miejscach prawą rękę i nogę, uszkodzone jelita i rozerwany pęcherz. Niewielu wierzyło, że przeżyje. Ale miał silny organizm, chirurdzy go poskładali i po długiej rekonwalescencji doszedł do siebie.

– O powrót do zdrowia walczyłem pięć lat. Były to bardzo trudne lata dla mnie i całej mojej rodziny. Zostałem wyrwany z normalnego życia. Moi koledzy w tym czasie budowali domy odbierali awanse, a ja na nowo uczyłem się chodzić i w ogóle funkcjonować. W końcu wróciłem do pracy na własną prośbę, mimo że mogłem przejść na rentę wypadkową. Nie wyobrażałem sobie jednak, że do końca życia będę zamknięty w domu – wyznaje Piotr Strzelecki.

Po wypadku niestety nie mógł już pracować w podstawowym ciągu produkcyjnym. Chcac zachować uprawnienia wynikające z pracy pod

ziemią, szukał zatrudnienia w działach pomocniczych. Przez pięć kolejnych lat był zastępcą kierownika działu BHP; zjeżdżał regularnie na dół kopalni, co pozwalało mu zachować ciągłość górniczej pracy. Po dziesięciu latach został kierownikiem Działu Organizacji i Normowania Pracy. Na stanowisku tym przepracował sześć lat a w styczniu 1993 roku awansował na dyspozytora - głównego specjalistę ds. koordynacji produkcji pod ziemią w biurze Zarządu KGHM. Kiedy jednak zmieniano organizację i sposób funkcjonowania biura miedziowej spółki, w styczniu 2000 roku wrócił na stanowisko dyspozytora a pod koniec roku odszedł na emeryturę.

- W drodze zawodowej i nie tylko, od roku 1970 r. towarzyszyła mi i zawsze wspierała przez 44 lata śp. żona Krystyna. Mam dwoje wspianych dzieci: Wojtkę i Magdę oraz czwórkę przeurocznych wnucząt.

■ Na piwo do NOT

Piotr Strzelecki był człowiekiem o rozległych zainteresowaniach, lubił też udzielać się społecznie. Był aktywnym członkiem koła SITG, a przez kilka lat nawet szefem rady programowej koła mieszczącego się w klubie NOT, z siedzibą w podziemiach lubińskiego Ratusza.

(w tamtych czasach karta uprawniająca do bywania w klubie NOT była przedmiotem pożądania dużej części załogi, bo zawsze można było tam wypić kufel dobrego piwa, najczęściej wrocławskiego fulla). Później reaktywował lubińskie koło Stowarzyszenia Wychowanków AGH, przejmując schedę po prezesie Janie Sadeckim. Za kadencji pana Piotra utworzono koła w ZG Lubin, ZG Rudna, w Hucie Miedzi Legnica i Zakładzie Doświadczalnym.

- Powiększyliśmy liczbę członków Stowarzyszenia, zapraszaliśmy profesorów z Akademii na spotkania i wykłady, organizowaliśmy wyjazdy na uczelnię do Krakowa z okazji rocznic AGH lub samego Stowarzyszenia. W latach 90., przez jedną kadencję, byłem nawet członkiem zarządu krajowego - informuje Piotr Strzelecki.

■ 65 chętnych

- Idea powołania do życia chóru męskiego zrodziła się na przełomie lat 1979/1980 - opowiada Piotr Strzelecki. - Stanisław Miller, ówczesny dyrektor Domu Kultury Zagłębia Miedziowego w Lubinie oraz Zdzisław Francuz porozumieli się w tej sprawie z dyrekcją KGHM oraz Piotrem Czają, przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Legnicy. W styczniu 1980 roku ogłoszono zapisy do Chóru Męskiego Zagłębia

Miedziowego. Informowały o tym afisze w podległych KGHM zakładach pracy oraz anonse w prasie. Rozprowadzano także deklaracje dla kandydatów na chórzystów.

- Na pierwsze organizacyjne spotkanie w kawiarni DKZM, 8 lutego 1980 roku przyszło 65 osób, deklarując chęć wstąpienia do chóru. Pamiętam, że oprócz S. Millera i Z. Francuza uczestniczyli w nim między innymi: Stefan Lacher, Andrzej Kukliński, Stanisław Kukliński, Jan Dusza, Jerzy Kromolowski, Ryszard Wiśniewski, Augustyn Pakulski, Ludwik Lubas, Jan Tokarz, Jan Lubacha, Jerzy Śliwka, Włodzimierz

Spotkanie absolwentów AGH z prof. Żabickim, legendą krakowskiej uczelni.



Dygoń, Józef Muszyński. Kierownikiem chóru został Zdzisław Francuz a instruktorem wokalistyki Ludmiła Czuba. Ustalono, że próby odbywać się będą dwa razy w tygodniu: we wtorki i czwartki – terminy te obowiązują do dziś – dodaje pan Piotr.

Wkrótce członkowie chóru otrzymali z KGHM galowe mundury górnicze i z zapalem przystąpili do prób. Pierwsze tygodnie ograniczały się do ciężkiej pracy związanej z przygotowaniem utworów do wykonania, co nie było łatwe, bo większość chórzystów nie miała wykształcenia muzycznego i nie znała nut. Było to pamięciowe uczenie się etapami, w oparciu o słuch. Tak jest do dziś. To trudne i żmudne zadanie, dlatego rola dyrygenta jest szczególnie ważna. Nie jest to zresztą jakiś ewenement, na takiej zasadzie pracuje większość chórów – wyjaśnia Piotr Strzelecki.

■ Pierwszomajowa inauguracja

– Inauguracyjny występ mieliśmy po dwóch miesiącach od pierwszej próby. Chór zaśpiewał na wojewódzkiej akademii pierwszomajowej w Legnicy – wspomina pan Strzelecki. – Paraliżowała trema a na dodatek nagła choroba nie

pozwoili wystąpić naszemu soliście Stanisławowi Millerowi. To był prawdziwy chrzest bojowy. Sala pełna publiczności, wśród nich przedstawiciele władz wojewódzkich, także delegacja Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Na szczęście wyszło niezłe, czego potwierdzeniem były późniejsze gratulacje od władz województwa i kombinatu.

Drugi w kolejności występ przed publicznością, tym razem lubińską, odbył się 30 kwietnia, podczas miejskiej akademii pierwszomajowej. A 1 maja zaprezentowali się szerokiej publiczności, manifestując w pochodzie jako zwarta grupa w ramach Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Otrzymali duże brawa. Podobno była to najliczniejsza i najefektowniejsza grupa w galowych strojach górniczych.

W kolejnych miesiącach chór przygotowywał się do obchodów święta górniczej Barbórki. W związku z tym pojawił się zupełnie nowy repertuar, w którym dominowały pieśni górnicze. Utwory przygotowywano wspólnie z orkiestrami górniczymi prowadzonymi przez Wacława Janiszewskiego (orkiestra ZG Lubin) oraz Jana Werbowego (orkiestra Zespołu Szkół Górniczych). Jednocześnie chórzyści uczyli się śpiewania kolęd.

W 1986 roku chór uczestniczył po raz pierwszy w pochodzie 1-majowym. Pierwszy z lewej w drugim rządzie P. Strzelecki.



Pierwszy występ z okazji Barbórki odbył się 3 grudnia 1980 roku, na Rynku w Lubinie, podczas tradycyjnego „Skoku przez skórę”. Dzień później chór uświetnił uroczyste wręczenie szpad górniczych dla przodujących pracowników doзору górniczego (reżyserem imprezy był dyr. Alfred Wołczyński). 5 grudnia odbył się pierwszy bal barbórkowy dla członków chóru i ich rodzin. Cykl występów związanych z Barbórką chór zakończył 7 grudnia wspólnym koncertem z Akademickim Chórem Politechniki Wrocławskiej, który obchodził swoje 10-lecie. Była to jednocześnie inauguracja współpracy, którą oba chóry nawiązały przy tej okazji. Resztę grudnia poświęcili na doskonalenie wykonania kolęd. Do repertuaru wprowadził je Zdzisław Francuz.

■ Pechowo na Legnicy Cantat

W następnym roku chór uczestniczył we wszystkich uroczystościach górniczych oraz dawał koncerty kolęd w kościołach w Lubinie i Polkowicach. 25 stycznia w sali DKZM w Lubinie odbył się pierwszy koncert noworoczny. Udział w nim wzięły również inne zespoły amatorskie DKZM, a dochód z koncertu, w wysokości ponad 32 tysiące zł, przeznaczono na renowację Panoramy Racławickiej. W maju lubińscy chórzyscy zadebiutowali w Ogólnopolskim Turnieju Chórów „Legnica Cantat”.

– Wystąpiliśmy w ostatnim dniu turnieju. Wiedzieliśmy, że nie poszło nam najlepiej. Był to jednak nasz debiut. Z pewnością na wykonanie wpłynął fakt, że nie doczekaliśmy się zamówionego autobusu i do Legnicy jechaliśmy, czym kto mógł. Zdążyliśmy dosłownie na ostatnią chwilę. Śpiewaliśmy więc w atmosferze ogólnego zdenerwowania. Nagrody żadnej nie zdobyliśmy, czego zresztą nikt nie oczekiwał. Liczyło się jednak to, że wzięliśmy udział w tej prestiżowej imprezie – podkreśla pan Strzelecki. Pół roku później chór wystąpił w Legnicy w Sali Rycerskiej na koncercie zorganizowanym z okazji 52 rocznicy Odzyskania Niepodległości. Zaprezentowane pieśni historyczne i patriotyczne wywołały ogromny aplauz i wzruszenie widowni. Kilka dni później (29 listopada) uświetnili uroczystość nadania imienia Stefana Kardynała Wyszyńskiego jednej z ulic na osiedlu Przylesie, a także – wmurowania kamienia węgielnego pod budowę nowego kościoła. Na uroczystościach obecny był sam Prymas Polski Arcybiskup Józef Glemp.

Po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce działalność chóru została zawieszona. Z funkcji prezesa chóru zrezygnował Henryk Kurzydło, wycofując się równocześnie ze śpiewania. Na ostatnią próbę, w 1981 roku, przyszło zaledwie kilka osób. Ale pięć dni po Nowym Roku próby wznowiono. Nowym prezesem został Stefan Lacher i już 17 stycznia śpiewający górnicy intonowali kolędy w kościele na Starym Lubinie, a następnie w kościele pw. NMP w Lubinie.

■ Reprimenda za kolędy

Kolejne lata działalności górniczego chóru to wspinanie się po drabinie sukcesu. W 1984 roku zdobyli prestiżową nagrodę w Ogólnopolskim Turnieju Chórów „Legnica Cantat”.

– W turnieju wzięło udział 25 chórów z całego kraju. Wśród nich były zespoły o bogatym dorobku artystycznym, znane w kraju i za granicą. Jury pod przewodnictwem Stanisława Krukowskiego przyznało nam nagrodę im. Henryka Karlińskiego dla najlepszego chóru osób pracujących (50 tys. zł), ufundowaną przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki. Była to jedna z trzech równorzędnych nagród. Długo nie mogliśmy uwierzyć, że to prawda.

Niestety wraz z sukcesami zaczęły się kłopoty. Repertuar, w którym znalazły się m.in. „Ojciec Nasz” Stanisława Moniuszki, czy „Salve Regina” (z łac. „Witaj Królowo” lub „Cześć Królowej”, antyfony ku czci Najświętszej Maryi Panny) oraz kolędy, pieśni patriotyczne i ludowe, nie podobał się przedstawicielom władzy ludowej.

– Chociaż nigdy nie byłem członkiem partii, wezwano mnie do Komitetu Powiatowego PZPR w Lubinie, gdzie dostałem reprimendę za repertuar. Próbowaliśmy tłumaczyć „towarzyszom”, że zaśpiewanie utworu „Ojciec Nasz” to nie kwestia wyznania wiary, że to po prostu Moniuszko. Nie ustąpiliśmy i zaczęły się nieprzyjemności. W DKZM utrudniano nam wykonywanie prób, uciekano się do różnych sposobów; a to sala była zamknięta i nie znaleziono kluczy, a to krzesel brakowało itd. A przed występami musieliśmy oddawać teksty kolęd do Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk i oni nam te kolędy cenzurowali – wspomina Piotr Strzelecki.



Wycieczka chóru do Pragi (2005 r.) połączona ze zwiedzaniem miasta śladami wojaka Szejwka. Chórzyści paradowali w szwejkowych uniformach i z drewnianymi karabinami (stroje przygotowane na karczmę piwną).

■ Powrót do macierzy

Chórowi groziło rozwiązanie, Stanisław Lacher i Piotr Strzelecki obawiali się, że mogą nawet stracić pracę. Gdy w Lubinie ktoś porozwieszał afisze z ogłoszeniem naboru do chóru mieszanego, zrozumieliśmy, że to nie przelewki. Skoro zamierzają powołać nowy chór o „służnej linii”, to znaczy, że chcą nas skreślić. Wtedy udaliśmy się (Stanisław Lacher i ja) do Edwarda Rippela, dyrektora Biura Zarządu KGHM oraz Kazimierza Ziaja, dyrektora ZG Lubin – wspomina pan Piotr Strzelecki. – Doprowadziliśmy do spotkania w budynku D-25, w którym działał Zakładowy Dom Kultury ZG Lubin. Zjawili się dyrektorzy: Rippel i Ziaja, wielu członków chóru i panowie „z ramienia partii”. Prosiłiśmy partyjnych o to, żeby nam nie przeszkadzali. Nie mogliśmy dojść do porozumienia i wówczas E. Rippel i K. Ziaja zaproponowali, żeby chór męski zaczął funkcjonować przy ZDK. To było najlepsze rozwiązanie, jakie mogło nas spotkać. Pożegnaliśmy się z DKZM, pieczę formalnie przejęły nad nami Zakłady Górnicze Lubin.

Myślę, że dzięki temu chór do dziś istnieje, bo w DKZM najprawdopodobniej rozpadlibyśmy się prędzej czy później. Było tam za dużo polityki, różnego rodzaju interesów dla nas zupełnie obcych. Można powiedzieć, że jako górnicy, powróciliśmy do macierzy.

Po przejściu do Zakładowego Domu Kultury ZG Lubin mieliśmy spokój, nikt nie wchodził nam z butami w to, co i jak robiliśmy, no i nie musieliśmy oddawać tekstów do cenzury. Zaplecze mieliśmy trochę gorsze, ale nie to było najważniejsze - tu czuliśmy się, jak u siebie!

■ Deszcz nagród

W 1987 r. prezesem chóru został Piotr Strzelecki. Na szczęście nie tylko dyr. Kazimierz Ziaja wykazywał zrozumienie dla jego działalności, ale także kolejni jego następcy. Chór, od początku istnienia, włączany był w organizację imprez barbórkowych. Mocno wrósł w środowisko górnicze i ciągle się rozwija. Potwierdzeniem tego są sukcesy ostatnich lat - nagrody i wyróżnienia nie tylko w kraju ale i na międzynarodowej are-

nie. W dorobku jest m.in.: II Nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Chóralnym w Ohrid (Macedonia) w 2011 r., Srebrna Wstęga Solczy (II nagroda na Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej w Ejszyszkach na Litwie) w 2012 r., Srebrny Dyplom (II miejsce) na Festiwalu im. A. Dworzaka w Pradze w 2013 r., Złoty Dyplom i Złoty Medal na Międzynarodowym Konkursie Chóralnym w kategorii interpretacji muzyki sakralnej oraz Srebrny Dyplom i Brązowy Medal

Czechy, Słowacja, Ukraina, Białoruś, Węgry, Włochy, Francja, Grecja, Izrael, Macedonia, Estonia, Hiszpania), gdzie zawsze spotykał się z aplauzem.

– Sięgaliśmy i nadal to robimy, po bardzo ambitny repertuar uznanych kompozytorów. Od dwóch lat dyrygentem chóru jest Krzysztof Kujawski, który przedtem był asystentem Zdzisława Francuza. Potrafi wydobyć z zespołu pokłady możliwości, które wcześniej nie zosta-



Spotkanie z Aleksandrem Kwaśniewskim w Warszawie odbyło się z inicjatywy Prezydenta RP. Drugi z lewej w pierwszym rzędzie P. Strzelecki.

w interpretacji muzyki ludowej (Lloret de Mar – Barcelona) w 2013 r., Brązowy Dyplom w kat. chórów jednorodnych (chóry męskie, żeńskie) na Międzynarodowym Konkursie w Rimini (Włochy) w 2014 r.

Sześć lat temu powstało Stowarzyszenie Górniczy Chór Męski, z przewodniczącym Piotrem Strzeleckim, który pełni tę funkcję do dziś. Chór wielokrotnie występował poza granicami kraju (Austria, Bułgaria, Litwa, Łotwa, Niemcy,

ły odkryte – podsumowuje na zakończenie pan Piotr. Z pewnością mieszkańcy regionu będą mieli okazję to sprawdzić, bo w 2015 roku chór będzie świętował jubileusz 35-lecia. ■

„Panie prezesie - zwrócił się do mnie szef rady nadzorczej Ireneusz Nawrocki - bardzo wysoko oceniam pana wkład i wiedzę. Nie wątpię, że znajdzie pan godne stanowisko, na którym pana zdolności i umiejętności zostaną w pełni wykorzystane”. Już się rozpływałem z dumy, ale zakończył: „Jednak, jak zapewne pan wie, dzisiejsze czasy wymagają dynamiki kadrowej”. I wywalił mnie z roboty w zarządzie.

*Seweryn Pluciński,
hutnik, pełnił
kierownicze
stanowiska w hutach
i w zarządzie KGHM
Polska Miedź S.A.
Pracował w latach
1970 – 2006*



Przez pana ta huta nie idzie...

■ Wychowywał się pan na terenie huty. Czy ten fakt przesądził o tym, że został pan hutnikiem?

Urodziłem się niedaleko Walcowni Metali Dziedzice, przetwarzającej miedź i aluminium a potem mieszkalem z rodzicami prawie na jej terenie, w budynku dla kadry zakładu - ojciec pracował tam jako szef kontroli technicznej. Buszowałem z kolegami Ryśkiem i Kazkiem po hucie, która była dla nas terenem zabaw.

W latach 50., gdy była wymiana pieniędzy, do huty przywożono wagonami monety z miedzi i stopów miedzianych. Korzystając z nieuwagi konwojentów podbieraliśmy je i kupowaliśmy sobie łakocie. W końcu sprawa się wydała, całe

szczęście ojciec kolegi Ryśka - zamieszanego również w ten proceder - był oficerem UB, „opiekunem” walcowni; dzięki temu nam i naszym rodzicom jakoś się upiekło. Był to mój pierwszy kontakt z miedzią, jako metalem. Potem, gdy podrosłem, ciągnęło mnie też do metaloplastyki, tworzyłem coś tam z miedzianych odpadów. W liceum dorabiałem w walcowni podczas wakacji, najpierw w laboratorium u ojca, a później, już jako pełnoletni, w odlewni - tam przeszedłem hutniczy chrzest. Polecono mi, powierzchnię odlewu posypać sadzą, żeby metal się nie utleniał - zgodnie z procedurą. Tak gorliwie zabrałem się do tej roboty, że potem przez trzy dni nie mogłem się domyć, dopiero płyn ludwik zadziałał.



1970. „Obrałem właściwy kierunek” - komentuje to zdjęcie Seweryn Pluciński. Droga do huty w Żukowicach.

Nie zamierzałem studiować hutnictwa, miałem ciągoty humanistyczne. Razem z moją dziewczyną startowaliśmy do szkoły teatralnej, ale jej się nie powiodło, dlatego ja też zrezygnowałem. I wtedy, cóż - przeprosiłem się z hutnictwem. Na moją decyzję miał wpływ przede wszystkim prof. Tadeusz Karwan, naukowy konsultant walcowni Dziedzice - od niego dowiedziałem się o utworzeniu Wydziału Metali Nieżelaznych na AGH. Być może, odezwały się też górniczo-hutnicze geny, bo z kolei mój dziadek Karol był górnikiem. Natomiast na uczelni do zainteresowania się miedzią zachęcił mnie inny profesor, Emilian Iwanciw, promotor mojej pracy dyplomowej na temat konwertorów w HM Legnica.

■ **Ale to nie w „Legnicy”, tylko w HM Głogów stawał pan pierwsze zawodowe kroki.**

Po studiach rozważałem też powrót do Czechowic-Dziedzic, ojciec był przekonany, że tam będę pracował. Ale profesor Iwanciw powiedział mi: „Słuchaj, tam są rodzinne koneksje: ciotki, wujki, szwagry. Do końca życia będziesz piął się po drabinie kariery. Lepiej jedź do Głogowa, tam powstaje nowa huta. Potrzebują fachowców - dasz sobie radę, będziesz jednym z najlepszych, bo wiesz, że jakieś pojęcie masz”. Przekonał mnie, spa-

kowałem walizkę i 3 sierpnia 1970 roku znalazłem się w Głogowie. Najpierw odbyłem skrócony staż, częściowo w Głogowie, następnie szkółkę przyszłą załogę brykietowni w HM Legnica. Huta ruszyła na początku lipca 1971 roku i od razu wszystko zaczęło się sypać. 20 lipca HM Głogów miał oświadczenie otwierać, urzędujący dopiero od pół roku, I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. W hucie pełna mobilizacja, straszna harówka, po trzy dni nie opuszczaliśmy zakładu; spało się na podłodze w biurze, chodziłem brudny jak świnia. Cała załoga pracowała na przyspieszonych obrotach.

■ **Ta wasza harówka, mobilizacja załogi - wszystko to pod wizytę towarzysza Gierka?**

Nie tylko, ale to też mobilizowało. Każdy ruch bywa zwykle okupiony problemami technicznymi; nigdy do końca nie wiadomo, jak to wszystko zadziała. Trzeba pamiętać, że pierwszy etap „Głogowa” budowano w końcówce rządów Gomułki, czasach totalnego niedostatku. Do tego Bipromet - projektant nie przewidział że polskie maszyny, urządzenia będą pracowały w tak ciężkich warunkach. Wyszło na jaw niechlujstwo budowlane i montażowe. Doszły kłopoty kadrowe. Niewielką grupę fachowców przysłano z HM Legnica, ale cała reszta była zu-



*Budowa HM Głogów I.
Rok 1969 lub 1970.*

pełnie surowa; prości murarze z wiosek, którzy budowali hutę, potem tu zostali - niewielu zdążyliśmy przeszkolić. Po 300 zł nagrody płaciliśmy tym pracownikom, którzy ściągnęli do huty kandydata do pracy. Walczyliśmy, żeby huta jakoś szła. Ale jakim kosztem tylko my wiemy. Miałem chwile wątpliwości, myślałem o powrocie. Ale co bym ojcu powiedział? Że nie dałem rady? Minął rok, potem drugi, człowiek nabierał doświadczenia, szło coraz lepiej, pojawiła się jakaś satysfakcja zawodowa. Powoli zapuszczano się korzonki: mieszkanie, żona, dziecko.

■ **Od jakiego stanowiska zaczynał pan swoją karierę w hucie?**

Uwierzył we mnie ówczesny dyrektor techniczny Ryszard Pachon; po stażu od razu zostałem zastępcą kierownika Wydziału Przygotowania Wsadu - pierwszego ogniwa w procesie technologicznym huty. Łańcuch problemów

zaczynał się właśnie u nas. Piece szybowe wymagają brykietowania koncentratu. Eksperymentalne mieszała (gotowych nie było) ciągle się rozlatywały, nawały przenośniki taśmowe, nieprzystosowane do tak dużych obciążeń. Awaria goniła awarię. Tymczasem piece szybowe wymagają ciągłej dostawy wsadu, w przeciwnym razie trzeba otwierać kominki awaryjne, a wtedy gaz z pyłem idzie w atmosferę, niszczą się urządzenia, zatrzymuje się produkcję.

■ **Mimo to uroczystość otwarcia HM Głogów I odbyła się z pełną pompą?**

Gierek przyjechał z całą świtą, ale ja tego nie widziałem. W przeddzień, wieczorem, pojechałem do hotelu brudny i wymęczony po kilku nieprzespanych nocach w hucie, wody nie było, dopiero nocą puszczali. Wstałem w środku nocy, wykąpałem się i z powrotem do łóżka. Obudziłem się... po południu, po wszystkim.

Gdy przyjechałem, zdejmowano dekoracje, roz-
bierano estradę.

■ A co z awariami? Ustały po wizycie dostoj- ników partyjno-rządowych?

Akurat! Ledwo uruchomioną hutę trzeba było zaraz modernizować. Bez przerwy mieliśmy kłopoty z utrzymaniem ciągłości pracy pieców, z odpylaniem gazów a główną przyczyną był ten mój nieszczęsny Wydział Przygotowania Wsadu. Pewnego niedzielnego poranka odbieram telefon od dyspozytora z informacją, że do huty wybiera się dyrektor techniczny kombinatu Wojciech Skoczylski. Był dyrektorem, który miał odwagę i rozmach, nie bał się podejmowania decyzji. Ale pierwsze z nim zetknięcie wbiło mnie w ziemię, bo na dzień dobry powiedział: „Aha, to pan! Przez pana ta huta nie idzie...”. Bronilem się mówiąc, że się staramy, że mamy masę problemów. Kazał się oprowadzić po wydziale, przy każdym węźle powiedziałem, co w nim szwankuje

i dlaczego. Wizytę podsumowałem w ten sposób: „Panie inżynierze, opisz pan te problemy i zrobi wykaz tego wszystkiego, co panu potrzeba, żeby te kłopoty ustały”. Usiłowałem zepchnąć ten problem na mojego szefa Ryszarda Jusińskiego, chcąc się wymigać od kontaktów z tymi „wielkimi” z kombinatu. Nie udało się - pan Skoczylski się nie zgodził. Podczas ponownej wizyty oświadczył: „Dostanie pan wszystko to, co pan chciał, ale odpowiada pan głową za tę modernizację”. Cały sztab ludzi włączył się w te prace: elektrycy, automatycy, projektanci z Biprometu. Z ZG Lubin dostałem speców od taśmociągów, którzy usnęli niedoróbki, niektóre urządzenia powymienialiśmy. Zadanie było karłomne, gdyż te wszystkie zmiany odbywały się w ruchu, huta pracowała, ponieważ musieliśmy osiągnąć zaplanowaną wydajność: rocznie 160 tys. ton miedzi. (Miedź była przecież walutą,

którą rząd spłacał kredyty, zaciągnięte m.in. na rozwój kombinatu.). W rezultacie wydział przestał być wąskim gardłem huty. Założenia modernizacji były perspektywiczne, wyprzedzały bieżące potrzeby a przyjęta wtedy konfiguracja



20 lipca 1971. Oficjalne uruchomienie HM Głogów I z udziałem Edwarda Gierka - I sekretarza KC PZPR (drugi od prawej w pierwszym rzędzie) i premiera Piotra Jaroszewicza - czwarty od prawej.

ciągu technologicznego do dziś się sprawdza. Oczywiście, w ciągu 40 lat wiele się pozmieniało, weszła elektronika, nowoczesne systemy sterowania itp.

■ W nagrodę, po zakończeniu modernizacji, został pan szefem Wydziału Przygotowania Wsadu?

Awansowałem, bo mój szef również awansował. Ale nudziłem się na tym stanowisku, wszystko już było poukładane i została codzienna monotonna praca. Jak tylko, w 1974 roku, pojawił się temat Głogowa II, chętnie przystąpiłem do zespołu, który miał zbudować i uruchomić tę hutę. Kierował nim Wojtek Cis - wspaniały człowiek i fachowiec. To dopiero było wyzwanie - światowe!

Nasze koncentraty odznaczają się specyficznym składem i wymagają odmiennych, niż

powszechnie stosowane w świecie, procesów przetopu w piecach szybowych. To trudna, pracochłonna i niezbyt przyjazna środowisku technologia. Szukaliśmy czegoś nowoczesnego. Na świecie królował fiński proces wytopu zawiesinowego - nie do zastosowania u nas w znanej formie. Lecz na jego bazie polscy naukowcy z AGH, Instytutu Metali Nieżelaznych, wspólnie z fińskim koncernem Outokumpu, opracowali po krótkich próbach w Finlandii, unikalną technologię bezpośredniego wytopu miedzi. Bipromet, wykonał projekt i budowa ruszyła.

To już nie był gomułkowski standard Głogowa I, ale gierkowski etap „budowy drugiej Polski”. Mielśmy dostęp do wszystkiego co najlepsze i najnowocześniejsze w świecie: piec elektryczny pochodził z Norwegii, kocioł odzysknicowy ze Szwecji, materiały ogniotrwałe z Austrii, dmuchawy z RFN, odpylnię z Francji itd. Mimo to budowa przysparzała całą masę problemów. Zagraniczni dostawcy urządzeń stawiali sufitowe wymagania, jak na nasze ówczesne standardy - ale dając gwarancje, chcieli mieć pewność, że wszystko zostanie zbudowane i zmontowane zgodnie z wymogami. Przesyłali swoich przedstawicieli, którzy pilnowali procedur. Z kolei nasze wielkie firmy wykonawcze też miały różne problemy, z którymi sobie często nie radziły: kłopoty materiałowe, kadrowe, wielką ilość budów w całej Polsce itd. To one rozdawały karty i trzeba było się z nimi liczyć. Nakłaniały nas do ustępstw, a myśmy się bronili; wiedzieliśmy, że jak do niesprawdzonej technologii dołożymy działostwo wykonawców, to nam się to wszystko rozwali. I dobrze będzie, jeśli nas nie pozamykają. Z powodu tych wszystkich perturbacji i braków rynkowych, terminy oddania Głogowa II ciągle się przesunęły. Towarzysze liczyli na to, że huta ruszy w grudniu 1977 roku, chcieli zaprosić I Sekretarza.

Huta na dobre ruszyła dopiero 8 stycznia następnego roku. Choć wybudowano ją „od zera” w rekordowym tempie 42 miesiące, to z powodu poślizgu dostojnicy z Warszawy nie zaszczycili jej otwarcia - odbywała się akurat II Krajowa Konferencja PZPR. Uroczystość uruchomienia pieca zawiesinowego odbyła się zatem w kameralnym gronie; miałem zaszczyt uczynić to osobiście w obecności władz kombinatu i regionu. A miedź z pieca zawiózł na tę konferencję i wręczył osobiście Edwardowi Gierkowi tow.

Jewniewicz - sekretarz komitetu zakładowego PZPR. Okres budowy „dwójki” był dla mnie niezwykle rozwojowy pod względem zawodowym. Szkolono nas w Finlandii i wtedy po raz pierwszy mogłem zobaczyć, co w tej mojej branży dzieje się w świecie - wcześniej za granicą byłem tylko w NRD.

■ Tym razem łatwiej poszło z rozruchem niż w przypadku „jedyńki”?

Niestety nie. Zapłaciłmy wysoką cenę za tę odważną decyzję wdrożenia pionierskiej technologii. Pierwsza kampania trwała niecałe dwa tygodnie. Potężna awaria pieca zawiesinowego zatrzymała hutę na pół roku; od nowa trzeba było go przeprojektować, przebudować. Finowie popełnili sporo błędów w założeniach, nie uwzględniając wielu zjawisk natury metalurgicznej, jak np. nasiąkania wymurówki utlenioną miedzią, wysokiej korozyjności produktów procesu, niszczących sam piec i urządzenia towarzyszące. Jedynym ratunkiem było intensywne chłodzenie wymurówki. Teraz piec jest zbudowany z ... wody! A dokładniej z miedzianno-ceramicznych bloków chłodzonych wodą - obecnie przez system chłodzący przepływa ponad 5 tys. m³ wody na godz., tj. 100 cystern!!! Finowie przewidzieli ledwie 700 m³. Projektowaną zdolność produkcyjną - 150 tys. ton - Głogów II osiągnął dopiero po 18 latach nieustannej modernizacji i zmian. To już dzieło polskich inżynierów - Norberta Langnera z BP Bipromet (konstrukcje pieców) i zespołów badawczo-wdrożeniowych (IMN wraz z inżynierami Głogowa II - procesy technologiczne). Wydaje się, że trwało to długo, lecz zmiany konstrukcji pieców można było wprowadzać jedynie w trakcie postojów remontowych - raz na dwa lata. Zmiany w procesach i mniejsze modernizacje - w trakcie normalnej, „gorącej” pracy huty. Czasem wyglądało to tak, jakby naprawiało się samochód w trakcie wyścigu... W końcu, dzięki determinacji i uporowi osiągnęliśmy cel.

■ Budował pan huty i równocześnie szybko awansował w hierarchii zawodowej.

W 1976 roku, wchodząc do zespołu budującego Głogów II, zostałem zastępcą kierownika wydziału metalurgicznego (serca huty). Przebiegają tam wszystkie najważniejsze procesy hutnicze, trzy lata później byłem już jego



Indie. 1985 rok. Seweryn Pluciński (po prawej) z hutnikami z Khetri obchodził święto Holi związane z pokonaniem żeńskiego demona Holiki. Zazwyczaj towarzyszy mu obsypywanie się kolorowym proszkiem lub oblewanie farbami.

kierownikiem. Niełatwe czasy. Do problemów technicznych, dołożyły się społeczne; na moim wydziale rozpoczęła się sierpniowa rewolucja 1980. (Była nawet akcja, by mnie wywalić.). W połowie 1982 roku zostałem szefem produkcji Głogowa II, czyli praktycznie odpowiadałem za całą hutę. (Zatwierdziła mnie egzekutywa komitetu zakładowego PZPR, choć nie należałem do partii.). Potem zostałem głównym inżynierem ds. rozwoju huty. Zorganizowałem Zakładowy Ośrodek Postępu Technicznego i Wdrożeń - wprowadziliśmy wiele innowacji, wdrażając projekty wynalazcze i wyniki prac naukowo-badawczych. Dzięki temu zwiększyła się wydajność, poprawiło bezpieczeństwo, a pracownicy zyskali sporo grosza.

Wielką przygodą zawodową (i nie tylko) był wyjazd do Indii. Wszedłem w skład zespołu modernizacji huty w Khetri. Kilka miesięcy spędzonych w innej cywilizacji to niezapomniane przeżycie. Projekt zakończył się sukcesem i został wdrożony przez polski zespół rok później. W Bułgarii kierowałem (1987/88) polskim zespołem rozruchowym huty w Srednogorje/

Pirdop. Obecnie produkuje ponad 300 tys. ton miedzi rocznie i należy do koncernu Aurubis AG, światowego lidera w branży.

Do 1992 roku byłem pracownikiem HM Głogów. Gdy zaproponowano mi wejście do zespołu współpracującego z firmą konsultingową A.T Kearney, zgodziłem się m.in. z tej przyczyny, że mieszkalem już w Lubinie i robiłem studia podyplomowe z zarządzania biznesem. Prowadzone na Politechnice Wrocławskiej przez wykładowców Connecticut State University zajęcia w języku angielskim wymagały sporo własnego wkładu pracy. To był taki półtoraroczny „krótki kurs kapitalizmu”, bardzo przydatny kierowniczym kadrom w tych przełomowych latach transformacji, nie tylko ustrojowej.

■ **Był to okres szybkich zmian, zawirowań kadrowo-politycznych, protestów, strajków. Jak się pan w tym wszystkim odnajdywał?**

Tempo wydarzeń było zawrotne i czasem dochodziło do dość dziwnych sytuacji. Byłem członkiem rady pracowniczej KGHM i działałem w Związku Zawodowym Pracowników

Technicznych i Administracyjnych, który również wspólnie z kolegami zakładałem. Jako przedstawiciel związku znalazłem się w komitecie najdłuższego w historii KGHM strajku, który trwał 33 dni - wtedy jeszcze pracowałem w hucie. Któregoś razu, w połowie września, odbieram telefon od prezesa Piotra Kaczyńskiego z ofertą objęcia hutniczej teki w nowym zarządzie Polskiej Miedzi, razem z Kasią Muszkat - finanse, Staszkiem Lembasem - górnictwo i Krzysztofem Sędzikowskim - restrukturyzacja. Zgodziłem się, tym samym znalazłem się po drugiej stronie barykady - strajk nad trwał. Pierwszego października - tym razem jako przedstawiciel zarządu - ponownie podpisywa-

ceny miedzi najniższe od lat, płynny kurs dolara, inflacja, zwariowane stopy procentowe, kredyty - nie było wiadomo, co przyniesie jutro. Na szczęście związkowcy, choć twardo trzymali się swoich żądań, wykazali się rozsądkiem i nie wywołali kolejnego strajku. Jednocześnie odbywała się restrukturyzacja firmy: wydzielaliśmy spółki, ujednoliliśmy system kosztów, tworząc obiektywne mierniki oceny oddziałów. Kończyliśmy to, co zaczął prezes Jan Sadecki, m.in. przejmując pełną kontrolę nad handlem miedzią. Uruchomiliśmy produkcję srebra i złota, uzyskując bardzo szybko dobrą markę na rynkach. Jednocześnie, aby nie zaszkodzić firmie, trzeba było zręcznie lawirować pomiędzy „Warszawą”, różnej maści



1994 rok. Seweryn Pluciński (po lewej), wiceprezes KGHM PM S.A., przedstawia „Program 500” dotyczący docelowej produkcji 500 tys. ton miedzi w KGHM.

łem się pod postulatami, które miałem teraz realizować. Mój podpis widnieje zatem, zarówno na liście postulatów związkowych, jak i na deklaracji zarządu.

Ale spokój nie trwał długo, wkrótce rozpoczął się również najdłuższy, bo ciągnący się dwa lata, spór zbiorowy ze związkami zawodowymi, a mnie przypadła niewdzięczna rola negocjatora. I to w czasach bardzo ciężkich dla firmy:

politykierami wtrącającymi się w sprawy KGHM, a związkami zawodowymi. W sumie był to okres ciężkiej organicznej pracy, ale wybrnęliśmy i postawiliśmy firmę na nogi.

Powołaliśmy DSI - niestety później ją zlikwidowano. A szkoda, wspomagana przez KGHM, miała stanowić wiodącą rolę w rozwoju nowych, niezwiązanych z miedzią przedsięwzięć na terenie LGOM, stwarzając perspektywy pracy dla

mieszkańców regionu. To nadal istotny temat w obliczu wyczerpujących się zasobów rud miedzi i braku do dziś alternatywy zatrudnienia poza KGHM. Wyszliśmy też w świat; w latach 1992-96 reprezentowałem Polskę w International Copper Study Group w Lizbonie, pełniąc obowiązki wiceprezesa Komitetu Statystycznego.

W połowie kadencji w zarządzie Polskiej Miedzi mój zakres obowiązków się zmienił, zostałem członkiem zarządu ds. ciągu technologicznego, tzn. kierowałem całą produkcją, łącznie z górnictwem, co nie wszystkim się podobało. Nie było jednak źle: rosła produkcja miedzi, srebra, walcówki. Rosły płace górników i hutników, stabilizowała się sytuacja społeczna. Docenił to pan Ireneusz Nawrocki, szef rady nadzorczej: „Panie prezesie - zwrócił się do mnie podczas posiedzenia - rada nadzorcza bardzo wysoko ocenia pana wkład i wiedzę i nie wątpi, że znajdzie pan godne stanowisko, na którym pana zdolności i umiejętności zostaną w pełni wykorzystane”. Już się rozpyślałem z dumy, ale zakończył: „Jednak, jak zapewne pan wie, dzisiejsze czasy wymagają dynamiki kadrowej”. I wywalił mnie z roboty w zarządzie.

W zamian powierzono mi misję utworzenia spółki KGHM Metale - w ten sposób zostałem odsunięty na boczny tor. Nie wspominam dobrze tego okresu, m.in. z powodu różnych tarć personalnych. W końcu wylądowałem w Elpenie, jako członek zarządu ds. handlu i rozwoju. Co tu rozkładać, czym handlować? Ta najmniejsza z polskich fabryk kabli nie miała szans na samodzielny byt - groziła jej likwidacja. Utrzymywała się przy życiu dzięki „kroplówce” z KGHM. Szukaliśmy dużego inwestora, by ją uratować. Udało się! Zachęciliśmy do jej kupna włoską firmę Patelec, którą z prezesem Waldkiem Wójcickim znaleźliśmy na targach w Niemczech. Co prawda musieliśmy w pierwz zastosować - pierwsze w KGHM - zwolnienia grupowe: z 300 zatrudnionych, 90 straciło pracę, za co mocno oberwałem od związkowców, zwłaszcza od Ryśka Zbrzyznego, ale później nowy właściciel przyjął znacznie większą ilość osób. Firma pracuje do dzisiaj, a już wydawało się, że będzie pogrzebana.

■ Z pana miedziorysu wynika, że takich dynamik kadrowych przeżył pan sporo.

Dynamika kadrowa przez cały czas deptała mi po piętach. Ale przecież, jeśli chodzi o sfery

zarządzające - nie tylko ja byłem w takiej „dynamicznej” sytuacji. W 1999 roku prezes Marian Krzemiński zaproponował mi powrót do huty na stanowisko dyrektora naczelnego - wiek XXI witałem zatem na starych śmieciach, po siedmioletniej przerwie. Ale nie było się za bardzo z czego cieszyć. Ceny miedzi spadły do 1500 dol. za tonę, a przede mną stało ogromne wyzwanie: budowa nowego wydziału ołowiu z terminem na przedwczoraj, gdyż nad hutą wisiały milionowe kary za przekroczenie norm środowiskowych. Trzeba było zaczynać od zera, bo ani projektu ani wykonawcy nie było. Jedynie jakąś technologię przyjęto - nie należałem do jej zwolenników, ale brakowało czasu na poszukiwania nowej. Śpieszyliśmy się, by uniknąć drakońskich kar i zatrzymania produkcji. Wydział ołowiu powstał w błyskawicznym tempie sześciu miesięcy. Stary wydział produkował 13 tys. ton, a nowy dwa razy więcej. Ciekawostką jest to, że ta huta (tak nazywaliśmy ten wydział) nie ma komina, bo wszystkie spaliny idą do instalacji odsiarczania przy głogowskiej elektrowni.

W 2002 roku dopadła mnie kolejna polityczna „dynamika”, wraz z dojściem w kraju do władzy SLD. Chociaż ja zawsze trzymałem się z dala od polityki. No, ale trzeba było pogonić tych od Krzaklewskiego i Buzka, jak również chodziło o posady dla swoich; wymiatano więc równo w oddziałach i spółkach KGHM. Sponiewierano mnie absurdalnym zarzutem niedopełnienia procedur przy wyłanianiu spółki do serwisowania huty. I się zaczęło: prokurator, nagonka w prasie! A my po prostu przedłużyliśmy umowę z dotychczasową spółką wywodzącą się na dodatek z huty i wynegocjowaliśmy cenę o 5 proc. niższą w stosunku do poprzedniego roku, dochowując wszelkich procedur. Prokurator nie dopatrzył się żadnych znamion przestępstwa, ale ja przeżyłem najsilniejszy w swoim życiu stres. (Wylądowałem w szpitalu z pękniętym wrzodem żołądka.). Z zarzutów później oczyścił mnie prof. Stanisław Speczik, proponując po paru miesiącach stanowisko dyrektora technicznego w HM Legnica - naczelnym „Głogowa” został Marek Szczerbiak. Koło się zamknęło, wylądowałem tam, gdzie stawiałem pierwsze kroki pisząc pracę dyplomową. Początki były ciężkie: cała poprzednia dyrekcja usunęła, a mnie postrzegano jako desant głogowski, który przyjechał likwidować hutę. Tymczasem

naszym celem było uporządkowanie wielu zaniedbań remontowych, inwestycyjnych i organizacyjnych; zastaliśmy np. składowisko materiałów niebezpiecznych na cudzym terenie.

Za sukces uważam to, że jako pierwsza huta w Polsce uzyskaliśmy pozwolenie zintegrowane na korzystanie ze środowiska. Wzięliśmy się też za modernizację elektrorafinacji, trochę na wzór „Głogowa”. Niestety zdarzyło się nieszczęście: spalił się Solinox, a do pożaru przyczyniła się firma, która prowadziła remont. Przy spawaniu, czy też cięciu na wysokości, posypały się iskry na zbiorniki z łatwopalną zawartością, poszedł ciąg w komin i wszystko spłonęło. Huta stanęła, rozpoczęło się śledztwo, ale prokurator

tak huty zostawić, gdyż wszystko by pozamarzało. W zwariowanym tempie wybieraliśmy technologię wykonania ogromnych zbiorników. Całe szczęście, że zarząd nam zaufał - mogliśmy wybrać projektantów i wykonawców „z wolnej ręki”. Po czterech miesiącach instalacja była gotowa, zdążyliśmy tuż przed siarczystymi mrozami.

■ W hucie utrzymał się pan do następnego roku wyborczego - 2006. Tym razem wymiotła pana miotła pisowska?

Akurat taka opcja wygrała wybory. Od razu nas wywalono, ogałającą ze wszystkich premii, ale za to rzucono nas w objęcia ABW i prokuratury. Najeździłem się i do Wrocławia i do Opola, tłumaczyć się z nagród i wniosków racjonalizatorskich. Nie swoich. Jako dyrektor podejmowałem decyzję o ich wdrażaniu i wypłatach wynagrodzeń. Bronilem ich wtedy i broniłbym dzisiaj, bo przyniosły znaczące korzyści firmie. Po latach z prasy dowiedziałem się, że sprawy, w których mnie przesłuchiowano, zostały umorzone.

Byłem bezrobotny, a do wieku emerytalnego brakowało mi zaledwie paru miesięcy. W międzyczasie nowego prezesa Polskiej Miedzi Krzysztofa Skórę - znaliśmy się dość dobrze - zapytałem o jakąś pracę dla mnie. Odpowiedział, że nie ma na mnie politycznej zgody. Zdębiałem! Na mnie? A cóż ja mam wspólnego z polityką? Zatrzasnęli mi drzwi przed nosem, więc gdy tylko skończyłem 60 lat, poszedłem do ZUS po emeryturę. Ale nadal

czułem się w pełni sił, chciałem coś przydatnego robić. Wciąż nie daje mi spokoju, problem zagospodarowania w KGHM odpadów ołowionośnych. Kiedy modernizowaliśmy w Głogowie



Święta Bożego Narodzenia 2013 r. Z żoną Bożeną (główny specjalista, rzecznik patentowy w ZG Lubin) i córką Pauliną (psychologiem biznesu).

nie miał żadnych zastrzeżeń do kierowniczego gremium. W miarę szybko udało się załatwić zgodę na uruchomienie jednego pieca bez instalacji odsiarczania. Szła zima, nie wolno było

wydział ołowiu, tona tego surowca kosztowała 400 dol., teraz pięciokrotnie drożej. Jest więc o co powalczyć.

Zaproponowałem kompleksową analizę problemu; opracowanie kierunków rozwoju, działań w zakresie uporządkowania tej gospodarki, bo to są i ukryte pieniądze i niebezpieczne odpady. O dziwo, po jakimś czasie dostaję informację, że jest na to zgoda. (Później dowiedziałem się, że to zadziałał prezes Marek Fusiński, który widać miał nienajgorszą opinię o mojej fachowości.). Zostałem pierwszym w historii biura zarządu KGHM kierownikiem projektu - przydzielono mi nawet pokój do pracy. Ochoczo zabrałem się do dzieła. Po czterech miesiącach, w lutym 2008 roku, pierwsza część opracowania była gotowa, nawet odbyła się na ten temat wielka narada. Zaczęto myśleć o realizacji wynikających z niej wniosków a ja uradowany wziąłem się za drugą część raportu. Ale znów ta nieszczęsna „dynamika kadrowa!”. W Warszawie doszło do zmian politycznych - upadł rząd Jarosława Kaczyńskiego. Na prezesa przyszedł „pierwszy z brzegu” - tak podczas jednej z Karczm Piwnych nazwano Mirosława Krutina, który był wcześniej prezesem Rokity w Brzegu Dln. Nowy prezes - nowe wizje przemysłu miedziowego. Okazałem się niepotrzebny razem ze swoimi pomysłami. Przekazano mi w kadrach, że pieniądze będę dostawał do końca roku, ale w firmie mam się nie pokazywać. Powiedziałem, że nie lubię brać pieniędzy za darmo - chciałem dokończyć raport. „Nie ma takiej potrzeby - usłyszałem - likwidujemy stanowiska w biurze zarządu”. Rok temu napisałem memorandum w sprawie odzysku ołowiu i zagospodarowania surowców ołowionośnych (w aspekcie prowadzonej modernizacji hutnictwa) kierując je do pana prezesa Herberta Wirtha. Wiem, że było ono w firmie rozpowszechniane. Może się znajdzie kontynuator? Mam stale nadzieję, bo to ważna sprawa. I na tym memorandum mój miedziorys się zakończył.

■ Wzlotów i upadków było w nim sporo. Ale nie słyszę rozgoryczenia w pana głosie, jedynie nieco uszczypliwości.

Oj tam! Wciąż jestem wielkim fanem KGHM Polska Miedź S.A. i wszystkiego, co się z tą firmą wiąże! Nie oglądam się z żalem za siebie. Patrzę do przodu, cieszę się z sukcesów mojej bylej

firmy, martwię się niepowodzeniami. Gdy rozpoczynałem pracę, produkcja miedzi w Polsce wynosiła niespełna 60 tysięcy ton rocznie, gdy ją kończyłem, przekraczała 550-560 tysięcy ton. Wzrosła prawie dziesięciokrotnie! To najprostszy obraz skali rozwoju polskiego przemysłu miedziowego w trakcie bez mała czterech dekad mojej miedziowej przygody. Cieszę się, że mogłem mieć w tym ogromnym skoku swój udział. Że na swej drodze spotkałem ludzi wielkiego formatu, którzy mi pomagali. Że sam również mogłem pomagać innym i znaleźć swoje miejsce w życiu. ■

Natychmiast zjechałem na dół i dotarłem na miejsce wstrząsu. Właśnie sztygar zbierał załogę i sprawdzał jej stan liczbowy. Pamiętam, jak w pewnym momencie z tumanów kurzu wyłonił się operator ładowarki PNB-3K. Był cały obsypany pyłem, łącznie z twarzą i sumiastymi wąsami - przypominał... ducha.

Zbigniew Kur, sztygar, nadsztygar, kierownik robót górniczych i główny inżynier górniczy w ZG Lubin. Pracował w latach 1970 – 2004



Prowadziłem najcięższy z oddziałów

Moje najwcześniejsze dzieciństwo wiąże z miejscowością Kąty Wielgi, której chyba nie ma na mapie. Marek, mój syn, jak miał cztery latka, spytał: „Tatusi, a gdzieś ty się urodziłeś?”. Odpowiedziałem: „Szkoda gadać, w takiej wsi zabitej dechami”. A on: „To jakżeś się stamtąd wy dostał?”. Uśmiełem się, ale moje dzieciństwo wcale nie było wesołe.

Ojciec mój został przeniesiony na Ziemię Odzyskane i jako wojskowy pracował w różnych miejscach. Kiedy zamieszkaliśmy w Gryfinie, nagle zmarł, a niedługo po nim mamę powaliła nieuleczalna choroba i przebywała w szpitalu. Byłem w piątej klasie podstawówki, gdy opiekę nad mną i młodszą siostrą Helenką przejął brat Mietek, w tym czasie uczeń w Oficerskiej Szkole

Wojsk Ochrony Pogranicza w Kętrzynie. Przyjeżdżał do domu raz na kilka miesięcy. Wciąż się dziwiłem, jak mnie i siostrze udało się przetrwać. Musiałem pracować, prasować, iść do szkoły, a po powrocie palić w piecu, przygotować jedzenie i odrobić lekcje. Owszem, pomagali nam trochę sąsiedzi i zupełnie obcy ludzie.

Gdy Mietek skończył szkołę oficerską, krótko mieszkaliśmy w trójkę. Potem poznał Malinę, pobrali się i wszyscy wyładowaliśmy w domu jego żony. W tym czasie dużo czytałem. Nie chodziło tylko o Przygody Tomka Sawyera, o powieści Karola Maya, Curwooda itp., wertowałem słowniki, znałem na pamięć atlasy. Pani Dobromilska, moja wychowawczyni i nauczycielka geografii, wciąż wywoływała mnie do

mapy świata, takiej z dwiema ogromnymi półkulami, bym pokazywał klasie, gdzie jest Singapur, Hongkong, Wyspy Kurylskie itd., bo jakoś to wszystko miałem w głowie.

■ Nie będę ciężarem!

Technikum Samochodowe w Szczecinie było moją pierwszą przystanią po podstawówce. Wytrzymałem jednak w Głosie Szczecińskim ogłoszenie o naborze do szkoły górniczej na Górnym Śląsku, a dokładniej do kopalni Rydułtowy koło Rybnika. Zapewniano internat, umundurowa-

premii do stypendium, tak więc pieniędzy mi nie brakowało. Byłem chłonny nowych wrażeń. Przez pewien czas udzielałem się w szkolnym teatrze, nawet zagrałem w jednej sztuce. Ale namierzył mnie wuefista i wciągnął do zespołu akrobatyczno-gimnastycznego. Działalem też w samorządzie szkolnym, byłem przewodniczącym rady internatu.

Po szkole zasadniczej wybraliśmy się z ośmioma kolegami do Technikum Górniczego w Rybniku. I znów biblioteka i zaczytywanie się w Dostojewskim, Szołochowie, Tolstoju, nawet



Okres Technikum Górniczego w Rybniku. Zbigniew Kur (drugi od lewej) z grupą przyjaciół.

nie, jedzenie, stypendium, a dla najlepszych jeszcze 25 procent premii.

– Mietek, chciałbym pojechać na Śląsk. Już nie będę dla was ciężarem – mówiłem do brata. Usłyszałem: „Rób, jak chcesz”! I tak, mając wolną rękę, odpowiedziałem na ogłoszenie. Wkrótce odpisano mi, że zostanę tam przyjęty. Ostatniego sierpnia, z tekturową walizką w buraczkowym kolorze, wyjechałem pociągiem na Śląsk, do Rydułtowego.

Przyjęto mnie od ręki do drugiej klasy zaodowówki. Niemal od razu dostałem 25 procent

próbowałem przebrnąć przez Sartre’a. Oczywiście fascynowaliśmy się kinem: modnymi westernami i filmami rosyjskimi jak: „Los człowieka”, „Ballada o żołnierzu”, „Lecą żurawie”.

Jeszcze przed ukończeniem technikum skumpulowałem się z Zygmuntem Sworobowiczem, repatriantem z Litwy. Wybraliśmy się razem na Politechnikę Śląską w Gliwicach. To od niego, po zdanych egzaminach, dostałem pamiątkną kartkę, pisał: „Wot nas i priniali!”.

Pierwszy semestr był praktyką na kopalni Dembieńsko, a w drugim już nauka i smakowa-

nie studenckiego życia. To był fantastyczny czas. Mieliśmy oczywiście stypendium uczelniane, a pod koniec sporo większe stypendium fundowane z kombinatu miedzi.

■ Z królem po sąsiedzku

Pierwszy raz przyjechałem z kolegami na Miedź z początkiem 1968 roku, na miesięczną praktykę do Zakładu Doświadczalnego. Opiekunem naszym był pan inż. Kazimierz Mrozek. Dwa lata później obroniłem się i wróciłem do Lubina na dłużej.

Ze znalezieniem lokum było w tym czasie ciężko. Szczęściem zwolnił się pokój na osiedlu Polnym, obok domu króla Cyganów. Wieczorami było tam gwarно, przez otwarte okna podziwiałem wiszące w królewskich pokojach kryształowe żyrandole, obrazy i barwne makaty, a także pięknie wystrojone kobiety, ale były też między nimi Cyganki zdecydowanie skromniej ubrane. Czasem w sąsiedztwie płonęło ognisko, odchodził śpiew, ale mnie to wcale nie przeszkadzało.

■ Chwytaj byka za rogi

Do pracy na ZG Lubin chodziłem pieszo, miałem kilkanaście minut – „ciąłem” skrótem przez ogródki działkowe.

Początkowo szefem stażystów był inż. Trojański, kierownik działu postępu technicznego. Pod jego nadzorem poznawałem różne działy, aż w końcu trafiłem do wiertniczego, któremu szefował inżynier Krzysztof Porzycki. Bardzo potrzebował sztygara, więc po rozmowach zgodziłem się objąć to stanowisko. Podszkoliłem się, zdobyłem odpowiednie zatwierdzenia w Urzędzie Górniczym i rzuciłem się w wir pracy. Na pierwszej zmianie zjeżdżałem na dół, potem ustawiałem drugą zmianę, a czasami przyjeżdżałem jeszcze na trzecią międzysmianę, żeby rozliczyć tych z drugiej, a tym z trzeciej wydać polecenia i zorientować się w sytuacji. Oczywiście współpracowaliśmy z geologami, bo to oni nadawali kierunek i kąt nachylenia wierconym przez nas otworom w poziomie, otworom drenażowym (o długości najwyżej 100 metrów) w stropie, aby ocenić ewentualne zagrożenie wodne oraz układ geologiczny złoża przed wyrobiskami korytarzowymi. Wierząc otwory we wnękach obok wyrobisk wyprzedzających, co jakiś czas wyciągaliśmy fragmenty

rdzenia. Układało się je w specjalnych skrzynkach. Każdego dnia geolog, opisywał ten rdzeń i zabierał próbki do badania, by możliwie najdokładniej określić, z czego zbudowane jest złożo.

Kiedy wprowadzono na kopalni system czterobrygadowy, brakowało dozoru. Wezwano mnie do dyrekcji: „Kur, idziesz na nowy oddział górniczy!”. O odroczeniu decyzji nie było mowy. Znalazłem się na trzecim oddziale na Lubinie Wschodnim. Popracowałem kilka miesięcy, gdy kierownik robót Samborski wezwał mnie do siebie: „Kur trzeba iść na Zachód, bo jest tam potrzebny kierownik oddziału”. Mówiłem: „Mam za małe doświadczenie, jestem parę miesięcy zmianowym”. Ale kierownik miał polecenie i nie dawał za wygraną: „Jak się nadarza okazja, to chwytaj byka za rogi, nie wykręcaj się małym doświadczeniem!”. Pozbierałem rzeczy i zameldowałem się na Zachodzie, gdzie kierownikiem robót był Jerzy Markowski, później szef przez kombinatu.

■ Jak żołnierze nocą, w nieznanym terenie

– Gdy obejmowałem G-9 w rejonie Lubin Zachodni, wiedziałem, że to oddział bardzo trudny. Jego pole od południa ograniczały stare zroby, od zachodu filar graniczny z kopalnią ZG Polkowice, a od północy stare osadniki. Pole było poprzecinane wyrobiskami korytarzowymi, które likwidowano w miarę postępu frontu eksploatacyjnego. Mówiąc obrazowo, pole to tworzyło „worek”, z którego prowadząc prace eksploatacyjne powoli się wydostawaliśmy. Takie położenie stwarzało zagrożenie geofizyczne w postaci wielkich naprężeń górotworu. Również samo złożo dolomityczno-lupkowe, kumulowało w sobie duże naprężenia. Strop tworzył inny dolomit, a spąg sztywny piaskowiec. Naprężenia geofizyczne powodowały częste obwały stropu we wcześniej wykonanych wyrobiskach korytarzowych i wybrzuszenie (wyciskanie) spągu, a następnie większe pęknięcia powiązane z różnej wielkości wstrząsami.

Początkowo nie potrafiliśmy powiązać tych faktów z przyczynami licznych wstrząsów. W miarę upływu czasu uczyliśmy się i kojarzyliśmy te zależności. Poruszaliśmy się więc jak żołnierze w nocy, w nieznanym terenie, stosując metody prób i błędów.

Abym choć w części wyeliminować zagrożenia związane z naprężeniami, zaczęliśmy piasko-

wiec spągować (wiercić w nim otwory strzałowe i je odpalać). Robiliśmy tak w wyrobiskach korytarzowych tych wcześniej wykonanych i, w miarę postępu robót, w polu eksploatacyjnym. W przodkach wierciliśmy, oprócz otworów strzałowych, długie otwory o większej średnicy, ładowane zwiększonym ładunkiem mate-

Równocześnie pracownicy kopalnianego Działu Mechaniki Górnotworu montowali w stropie i ociosach różnego rodzaju czujniki, które kontrolowali na każdej pierwszej zmianie. Zwracali uwagę na poszerzone wyrobiska, skrzyżowania, zakotwione ociosy itd. Nanosili to wszystko na mapy przedstawiane potem dy-



Brygada górnicza oddziału G-9 (1976 r.). Zbigniew Kur trzeci od prawej.

riału wybuchowego. Musieliśmy przestrzegać, by postęp przodków w polu eksploatacyjnym był w miarę jednakowy, tak aby geometria wycinanych filarów była właściwa. Często też wykonywaliśmy strzelania zawałowe większym ładunkiem MW w stropie. W tym czasie obowiązywała też synchronizacja wykonywania robót strzałowych między naszym oddziałem G-9, a oddziałami sąsiadującymi z ZG Polkowice za granicznym filarem. To oznaczało, że mogliśmy strzelać przodki wtedy, kiedy i „Polkowice”, i my byliśmy gotowi z robotami strzałowymi. Zgłaszało się gotowość dyspozytorowi, a on kontaktował się z dyspozytorem „Polkowic”. W celu zwiększenia bezpieczeństwa i czujności na poszerzonych skrzyżowaniach budowaliśmy drewniane sygnalizatory, wiązki drewnianych stojaków, a także stosy (kaszy) z drewna wypełnione dla wzmocnienia skałą płonną.

rekcji. Była to swego rodzaju lokalna, zakładowa policja. Inną policją górniczą to OUG. Comiesięczne kontrole inspektorów OUG, którzy srogo, bez taryfy ulgowej, szukali najmniejszych uchybień i opisywali je w sążnistych protokołach. Nieraz ich konsekwencją były nasze odwiedziny w siedzibie OUG we Wrocławiu. O jednym z inspektorów krążyło powiedzenie: „Jak przyjechał Chima - dwa tysiące nima”.

Można śmiało powiedzieć, że oddział G-9 był swoistym polem doświadczalnym dla innych oddziałów eksploatacyjnych. Przy tych wszystkich trudnościach związanych z naturą, trzeba było wykonywać bieżące zadania związane z planowanym wydobyciem.

Często było tak, że na początku zmiany, zanim przyjechał na oddział sprzęt fedrunkowy i wierząco-kotwiący, sztygar zmianowy razem z przodowym wchodzili na oddział, by ocenić

sytuację. Niejednokrotnie można było wyczuć występujące naprężenia, a nawet usłyszeć; jeśli klaszcząc w dłonie, pojawiał się odgłos, jakby się było w dzwonie lub beczce. Śmiesznie to czasem wyglądało, kiedy pracownicy oddziału, czy goście z zewnątrz, idąc wyrobiskiem klaskali w dłonie.

Prace na G-9 przysparzały masę kosztów, bo przy dodatkowych spagowaniach zużywano dodatkowo: energię elektryczną, energię sprężonego powietrza, olbrzymie ilości drewna do budowy sygnalizatorów, wiązek, stojaków, kasztów, paliwa do maszyn przy wywożeniu piaskowca ze spagowań w zroby itp. Jako kierownik oddziału wiałem się jak piskorz, by oddział planowo fedrował, strzelał odpowiednią ilość przodków, wykonywał prace związane z bezpieczeństwem. Starałem się, aby koszty, w miarę możliwości, były jak najmniejsze, by załoga oddziału zarabiała godziwie, żeby nie było niesnasek i niezadowolonia.

Kierowanie pracami tego oddziału, doświadczenia jakie nabyłem i współpraca z załogą miały ogromny wpływ na późniejszą moją działalność na różnych stanowiskach. Załoga w tym czasie, choć się zmieniała, spisywała się znakomicie. Szczególnie utkwili mi w pamięci: Tadeusz Waszkiewicz, Stanisław Wiczorkiewicz, Jarek Baranowski, Zdzychu Sumiński, Szczepan Biernat, Zdzychu Mendyk, Hubert Sieler, Jacek Klepczyński, Franek Rachwał, Heniek Kopczyński, Janek Maruda, Stanisław Kubacki. Z dozoru zapamiętałem: Zdzicha Śmieję, Gienka Miśkiewicza, Janusza Przeniosło, Ryśka Kurka, Bronka Młynka, Kazimierza Szczytyńskiego i Janusza Gala.

■ W strefie UFO

Pierwszy wstrząs wystąpił na naszym oddziale już w 1973 roku. Pierwszym poszkodowanym był przodowy Tadeusz Pawlik. Trochę go obsypało, ale on nawet nie zdawał sobie sprawy, że tąpnęło. Byłem w tym czasie daleko od miejsca wstrząsu i usłyszałem tylko potężny huk. Tak naprawdę o tym, że było to pierwsze tąpnienie, oficjalnie dowiedzieliśmy się po paru tygodniach. Wtedy pojawili się ludzie od mechaniki górotworu: inż. Antoni Bober, Tadeusz Machoń, Edward Kienig, Narcyz Kunysz.

W marcu 1977 roku w rejonie oddziału G-9 na zmianie pierwszej wystąpił najsilniejszy

w tamtym czasie wstrząs sejsmiczny połączony z licznymi obtąpieniami. Energia wstrząsu wynosiła 1×10^9 J. Ten wstrząs był odczuwalny nie tylko w zagłębiu, ale w kraju i w Europie. Jako kierownik oddziału natychmiast zjechałem na dół i dotarłem na miejsce wstrząsu. Szytygar zbierał załogę i sprawdzał jej stan liczbowy. Pamiętam, jak w pewnym momencie z tumanów kurzu wyłonił się operator ładowarki PNB-3K. Był cały obsypany pyłem, łącznie z twarzą i sumiastymi wąsami - przypominał ducha. Szczęściem wtedy nikt nie odniósł obrażeń.

Tu muszę dodać, że oddział G-9 fedrował na dwóch rejonach. Jeden był zdecydowanie bezpieczniejszy a drugi nazywaliśmy rejonem Ufo, bo niekiedy nie było wiadomo, co się tam działo. W rejonie Ufo fedrowało się w ten sposób, że pierwsza zmiana wierciła i strzelała, druga oczekiwała, dopiero trzecia wchodziła, wybierała urobek i szykowała front do wiercenia.

Któregoś razu w rejonie Ufo druga zmiana strzeliła, a następna miała wyczeekiwać. Szytygar z trzeciej zmiany wszedł z ludźmi na rejon bezpieczniejszy, gdzie zamierzali rozpocząć fedrunek. Do dzisiaj nie wiadomo, dlaczego operatorzy fadromy i dwóch wozów typu Joy, po wyjeździe z komory mechanicznej skierowali się w ten niebezpieczniejszy, wyczekujący rejon. Najprawdopodobniej zmylili ich odstrzelone przodki i rozpoczęli załadunek. Operator fadromy właśnie zsypywał na wóz urobek, gdy tąpnęło.

Była trzecia nad ranem. Zadzwonił przodowy Hryszkiewicz: „Kierowniku, ma pan na dole trzy trupy!”. W ciągu kilkunastu minut byłem na szybie. Przyjechało już sporo ludzi, w tym z UG, a także ratownicy, którzy za wszelką cenę starali się dotrzeć do kolegów. To były sądne dni. Rozpacz, dochodzenia, tłumaczenia w UG, szukanie winnych, kary... Szytygar z feralnej zmiany został zdegradowany i zawieszony w swoich czynnościach. Na dół już nie wrócił. Pracował na powierzchni w dziale BHP, a potem jako dyspozytor.

Po tej tragedii część rejonu Ufo została zamknięta. Zastanawiano się, co dalej. Na pewno należało jakiś czas odczekać, a potem rozpocząć działania porządkujące rejon oddziału.

Aby utrzymać drogi dojazdowe do przodków, stawialiśmy kaszty z bali drewnianych. Niektóre z wyrobisk nazywaliśmy wręcz alejami

kasztowymi, bo kaszty ciągnęły się po kilkadziesiąt metrów jedna przy drugiej.

■ Prawo serii

Raz kiedyś, na pierwszą zmianę nie dotarł do pracy jeden ze sztygarów mieszkających w Głogowie. Zjechałem więc na dół w jego zastępstwie. Właśnie składałem raport dyspozytorowi, gdy mi przerwał: „Chłopie dwaj strzałowci z poprzedniej zmiany jeszcze się nie zameldowali!”. Natychmiast zaczęliśmy sprawdzać, potwierdziło się, strzałowci nie wyjechali z dołu. Zabroniłem ludziom wchodzić na oddział. Zaraz potem dostaliśmy z góry sygnał, że w czasie, kiedy zjeżdżaliśmy klatką na dół, na oddziale doszło do silnego wstrząsu połączonego z tąpnięciem. Przodowy pobiegł do miejsca, gdzie rozcinał kamienną kostkę, stwierdził, że przodki są załadowane, ale nieodpalone. Po drugiej stronie

py zobaczył ogromne rumowisko. To było tam, gdzie przed kilkunastu minutami stał samojedyny wóz strzałowy (SWS), z którego dwaj strzałowci ładowali przodki. Uderzenie najprawdopodobniej poszło od przodu i z ociosów. Szans na ucieczkę nie mieli.

To był właśnie ten drugi tragiczny wypadek. Jako kierownik oddziału znów zbierałem największe gromy.

■ Zrobić porządek i do końca!

Oczywiście górnicza codzienność obfitowała także w sytuacje tragikomiczne a nawet groteskowe. Pamiętam wypadek, gdy skały przysypały maszynę z operatorem. W trakcie wyrzutu skał operator zemdlął. Kiedy ratownicy go wydobyli, ocknął się, ale nie wiedział, co się z nim dzieje. Ratownicy odprowadzili go na bok, on jednak się wyrwał i z powrotem pobiegł do maszyny.



Barbórka. Od lewej Sławomir Brok (gł. inż. ZWR), Jerzy Markowski (wiceprezes KGHM), Zenon Dychtowiec (gł. inż. mierniczy), Zbigniew Kur (kierownik robót górniczych), dyrektor Adam Jesionek, Teofil Kowal (gł. geolog), Tadeusz Szelań (gł. inż. górniczy), Czesław Szczupakiewicz (nadsztygar, miernik) i Jerzy Reut (z-ca gł. mierniczego).

sytuacja była identyczna – załadowane przodki nie zostały odpalone. W pewnej chwili wyczuł w powietrzu zapach ropy, a dalej w świetle lam-

py „Chłopie, gdzie ty lecisz, co robisz?” – wołaliśmy za nim, a on: „Klucze tam zostawiłem, tam są moje narzędzia, muszę je zabrać!”. Myśleliśmy,



Dispozytor górniczy Zbigniew Kur na stanowisku pracy.

że on już nie wróci na dół jako operator, ale gdzie tam. Po paru dniach znów wsiadł do maszyny.

Ktoregoś dnia, na pierwszej zmianie, sztygar mi melduje, że po strzałach na międzymianie zasypało ładowarkę. Poszliśmy w feralne miejsce, gdzie została ładowarka. Wszedłem po tych oberwanych skałach, żeby zobaczyć, czy da się tę maszynę wyciągnąć. Sztygar wołał: „Gdzie ty tam leżysz, zaraz sypnie!”. A ja wchodziłem w ten zawał, dopóki nie zobaczyłem ładowarki. Była splaszczona jak placek. Wycofałem się czym prędzej.

Kiedyś, jeszcze przy tym filarze granicznym z Polkowicami, należało strzelić potężny zawał, żeby odprężyć w tym rejonie górotwór. Nawierciliśmy około 200 otworów i przy użyciu urządzenia Nikol ładowaliśmy je saletrą. Pamiętam, Czesiu Makleż, taki „zajechaniec” niewielkiego wzrostu, pokurczony, stał z tym węzem i wciskał saletrę. Sprężone powietrze miało ogromną siłę i powodowało, że utrzymanie węża wymagało dużej krzepy. Czesio trzymał wąż, aż trzepało. Nagle usłyszałem znamienne: pyk, pyk, pyk. Mówię: „Czesiu, uciekamy! Wyjeżdżajcie stamtąd!”. A on: „Jeszcze tylko dwa otwory!” a potem znów: „Jeszcze tylko dwa!”. I tak zwlekał bez koń-

ca. Zależało mi, żeby wykonać zadanie, z drugiej strony bałem się, że to polecą na nich i dopiero będzie nieszczęście. Zdążyli załadować wszystko i wyszli normalnie. Potem strzałowi weszli i na międzymianach strzelali. Pamiętam huk i wielkie walnienie, aż z Polkowic dzwonili, co się tam u nas stało. A to była tylko robota zrobiona porządnie i do końca.

Dziewiętnastego lutego 1979 roku kopalnia Lubin wydobyla pierwszy milion rudy miedzi. Ta milionowa tona pochodziła z naszego oddziału G-9.

Pierwszego lipca 1981 roku zostałem nadsztygarem i opiekunem oddziału G-9, a następnie nadsztygarem na Lubinie Wschodnim i Lubinie Głównym.

Od września 1992 pracowałem na stanowisku kierownika robót górniczych na LG. W lipcu 1995 zostałem głównym inżynierem górniczym (zawidowcą kopalni). Od stycznia 1997 do przejścia na emeryturę, w kwietniu 2004 roku, byłem dyspozytorem górniczym.

■ Nie samą pracą

Po roku od przyjazdu do Lubina dostałem mieszkanie, początkowo w wieżowcu na Skłodowskiej, a potem przeprowadziliśmy się do M-4 na ul. Sokół. W niedługim czasie dostałem z zakładu propozycję budowy domu jednorodzinnego. Zgłosiłem swój akces, poparły mnie związki zawodowe i załoga. Wybudowałem dom. Niestety, mój syn Marek mieszka w Niemczech, gdzie założył rodzinę. Pamiętam, jak przyszedł do mnie i pytał, czy ja mu pozwolę wyjechać za granicę? Powiedziałem: „Marek, jesteś moim kochanym dzieckiem i ja ci na drodze nie stanę”. Potrzebna była formalna zgoda, załatwiłem mu ją u notariusza. Powiedziałem: „Możesz wyjechać, tylko nie zapomnij o ojcu”.

Syn o mnie nie zapomni. Szybko nauczył się języka niemieckiego, ściągnął do siebie dziewczynę (lubiniankę). Byłem na ich ślubie. Zostałem też podwójnym dziadkiem, nie opuściłem żadnych rodzinnych uroczystości.

Będąc na emeryturze opiekuję się poważnie chorą małżonką, ale też znajduję czas na pracę społeczną. Współzałożyłem Lubieńskie Stowarzyszenie Chorych na Stwardnienie Rozsiane, którego jestem szefem. Działam również w Stowarzyszeniu „Dać nadzieję”, bo wciąż dostrzegam wokół siebie ludzi potrzebujących. ■

Mimo że nie byłem specjalnym entuzjastą piłki nożnej, musiałem nie tylko chodzić na mecze, ale również je komentować. Za każdym razem cierpła mi skóra z obawy, by tablica świetlna się nie zepsuła, bo przecież wszyscy patrzyli na wynik. Raz kiedyś przed samym meczem przepaliło się parę żarówek...

Jerzy Tenerowicz, absolwent krakowskiej AGH, wiceprezes zarządu INOVA Centrum Innowacji Technicznych. Pracował w latach 1971 – 2006



Bogumiła Tenerowicz - starszy inspektor ds. ochrony środowiska, w Zakładzie Doświadczalnym KGHM i główny specjalista ds. ochrony środowiska w ZG Polkowice. Pracowała w latach 1974 – 1992

Ludzie miedzi i Felliniego

W Sękowej koło Gorlic, gdzie mieszkaliśmy, nie było światła. Mój tato, z zawodu stolarz, z wujkiem elektrykiem zbudowali w 1956 roku elektrownię wiatrową, która służyła do oświetlenia naszego domu. W tamtym czasie taka elektrownia była czymś zupełnie nieznanym, toteż zafascynowała mnie ogromnie. I chyba to był główny powód, dla którego szukałem tej elektryki jako kierunku studiów – rozpoczyna swoją opowieść Jerzy Tenerowicz, były wiceprezes zarządu INOVA Centrum Innowacji Technicznych w Lubinie.

Absolwent Wydziału Elektrotechniki krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej już podczas studiów wyróżniał się wiedzą, a także aktywnością w studenckim samorządzie. Na jednym ze studenckich spotkań poznał Bogusię z Wydziału Geografii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wspólne upodobania i fascynacje sprawiły, że przez ostatnie dwa lata studiów chodzili ze sobą już na poważnie, potem był ślub i uczelniana codzienność.

■ Niech się dzieje, co chce!

– Miałam stypendium naukowe na UJ, a Jerzy na AGH, ale żadne z nas nie miało szans na samodzielne mieszkanie. Co prawda, byłam kandydatem na członka spółdzielni mieszkaniowej w Krakowie z wpłaconym wkładem początkowym, ale to oznaczało kilkanaście, a może nawet dwadzieścia lat oczekiwania. Szczęście, prof. Emilian Iwanciw, przyjaciel dyrektora Zastawnika, podsyłał mu z AGH do Zagłębia Miedziowego wybranych przez siebie młodych absolwentów. Wraz z grupą naukowców z Wydziału Metali Nieżelaznych zaczął nas przekonywać do wyjazdu na Miedź, gdzie zarobki wysokie i mieszkania od ręki. Do dzisiaj pamiętam, jak doktor Drwał przyniósł mężowi do podpisania przedwstępnej umowy. Podpisywał ją na dachu małego fiata, przed budynkiem AGH - wspomina Bogumiła Tenerowicz.

– Był piękny czerwcowy dzień, a my powiedzieliśmy sobie: Niech się dzieje, co chce! I z tekturową walizką, w której mieścił się cały nasz

dobytek, wsiedliśmy w pociąg relacji Kraków – Szczecin z przystankiem w Lubinie.

■ O pięć lat za późno

– Przyjechaliśmy późnym popołudniem. Nie było miejsca w hotelu, szczęściem w Baszcie Głogowskiej przy rynku funkcjonowała stacja turystyczna. Mieliśmy w niej do dyspozycji aż 20 żelaznych łóżek z byle jakimi materacami. Byłam trochę przestraszona; niestety kolejną noc również musieliśmy przespać w baszcie. Na trzeci dzień stanowczo powiedziałam: „Idziemy do kombinatu. Skoro zagwarantowali mieszkanie, to mieszkanie powinno być!”. Bardzo mile przyjął nas dyrektor Edmund Halamski, ale się troszeczkę roześmiał na wzmiankę o mieszkaniu i odrzekł: „Wiecie co, jakbyście przyjechali pięć lat temu, to mieszkanie byłoby od ręki, ale teraz to trzeba czekać do roku czasu, nawet jeśli się jest poleconym przez prof. Iwanciwa.”.

Dyrektor przydzielił młodym krakusom mieszkanie hotelowe w bloku przy Szkolnej, tuż przy cmentarzu. W rzeczy samej była to mała garsoniera, do tego bardzo kosztowna, bo jako małżeństwo blokowali aż cztery miejsca dla robotników, którzy mogliby tam mieszkać.

– Rachunek, który przyszedł po miesiącu – dokładnie tej wysokości, co pierwsza pensja męża, potwierdził pokrętny sposób rozumienia „prawa” lokatorskiego. Później oczywiście wywalczyliśmy obniżkę i mąż płacił tylko za siebie i za mnie, a nie za dodatkowe dwie osoby, ale opłaty za hotel nadal były spore.

Niestety, o zatrudnieniu absolwentki Wydziału Geografii UJ nie było mowy. Etaty w szkołach były obsadzone; aby uniknąć dłuższej przerwy w zatrudnieniu, pani Bogusia przez dwa miesiące była koordynatorem do spraw zakładów usługowych: stolarskich, hydraulicznych, ślusarskich, budowlanych w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni Samopomoc Chłopska. W tamtym czasie PZGS w Lubinie był



Jerzy Tenerowicz (z prawej) wręcza Ryszardowi Badowskiemu odznakę Klubu Krajobrazy (1980 r.).

prawie tak ważny jak kombinat, bo miał monopol na handel w mieście.

– Po dwóch miesiącach znalazłam pracę jako instruktor oświatowy w lubińskim DKZM. Wtedy m.in. wymyśliliśmy z mężem klub Krajobrazy; przez lata dawał wiele satysfakcji wszystkim, którzy chcieli dzielić się swoimi wrażeniami z wędrówek po świecie. Wśród gości zaproszonych był nawet Ryszard Badowski i Wanda Rutkiewicz – wspomina pani Bogusia. – Oczywiście cały czas chciałam pracować w ochronie środowiska. Skończyłam geografię, specjalizowałam się z turystyki, a także w Wyższej Szkole Rolniczej robiłam studium ochrony przyrody, miałam więc podstawy, aby o tym marzyć.

Po roku otrzymaliśmy mieszkanie przy Kiłińskiego, dokładnie w bloku naprzeciw Urzędu Miasta. Sąsiedztwo młodych lokatorów, którzy po pracy bardzo mocno cieszyli się życiem, było uciążliwe, dlatego zamieniliśmy mieszkanie na podobne na Osiedlu Polnym, w wieżowach przy ul. Topolowej, a potem przenieśliśmy się do własnego domu przy ul. Wrzosowej.

Jerzy Tenerowicz z Andrzejem Zawadą.

■ „łyżka” jest za mała

Pan Jerzy Tenerowicz rozpoczął pracę w Zakładzie Doświadczalnym KGHM 1 lipca 71 roku w pracowni budowy aparatury pomiarowej. Z entuzjazmem rzucił się w wir obowiązków.

– Młodzi inżynierowie z ogromnym zapalem przystępowali do pracy – nawiązuje do pionierskich czasów Jerzy Tenerowicz. – Problemy i zadania do rozwiązania życie podsuwało niemal codziennie. Przychodził szef i mówił: „Słuchajcie, trzeba poprawić warunki pracy na dole i zrobić lepsze oświetlenie”, albo że „łyżka” jest za mała, albo że trzeba zrobić coś, by opony maszyn w kopalni tak się nie niszczyły. Wtedy inżynierowie siadali i główkowali nad rozwiązaniem. Niewątpliwie jednym z najważniejszych osiągnięć ówczesnego Zakładu Doświadczalnego było opracowanie i wdrożenie komorowo-filarowego systemu eksploatacji na głębokości poniżej 600 m, przy zastosowaniu obudowy kotwowej.

Zadaniem szczególnej wagi była budowa systemu służącego do rejestrowania zjawisk sejsmicznych, szczególnie tąpnięć.

■ Z pomocą himalaisty Andrzeja Zawady

– Zaczęło się od systemu najprostszego, który rejestrował wstrząsy poprzez rysowanie na światłoczułym papierze za pomocą plamki

światłonej wykresów wstrząsowych – wyjaśnia Jerzy Tenerowicz. – Instalowaliśmy na dole urzędzenia produkowane przez Polską Akademię Nauk - Instytut Geofizyki. W gronie ludzi, którzy przyjeżdżali do nas z Instytutu, był znakomity inżynier Jan Uchman (konstruktor podstawowego czujnika sejsmicznego-sejsmometru), himalaista Andrzej Zawada, który jako doświadczony geofizyk kalibrował aparaturę pomiarową. Pierwsze instalacje były prowadzone pod kierownictwem nestora sejsmologów miedziochowych inż. Mirosława Kazimierczyka.

W 1974 roku specjaliści z Zakładu Doświadczalnego opracowali koncepcję kopalnianego systemu sejsmicznego z zapisem magnetycz-

Jerzy Tenerowicz przy sejsmicznym rejestrze magnetycznym.



nym. W systemie tym zastosowano sejsmometri Willmora, a jako rejestratory wprowadzono 24-kanalowe magntofony pomiarowe. Była to aparatura bardzo nowoczesna jak na lata 70., stosowana na lotniskach zachodnich.

– W latach 80. opracowaliśmy i wykonaliśmy system sejsmiczny pod nazwą Elogor A (Elogor Analogowy). Korzystając z możliwości technicz-



Dyplom Elogor.

nych, zbudowaliśmy wtedy tzw. linię opóźniającą, która umożliwiała otrzymanie zapisu zjawisk sejsmicznych w czasie rzeczywistym. Zastosowane opóźnienie elektroniczne umożliwiło otrzymanie sejsmogramu już po dwóch sekundach od chwili zaistnienia zjawiska. Skróciło to zasadniczo czas opracowywania zjawisk sejsmicznych, a przez to przekazywanie informacji o zaistniałych zjawiskach wstrząsowych – objaśnia specjalista.

Po okresie Elogora A, powstał Elogor C (Elogor Cyfrowy), umożliwiał m.in. przetwarzanie sygnałów analogowych na postać cyfrową. Przełomowym był rok 2003, który przyniósł Elogor Komputerowy. Jego nowoczesna konstrukcja pozwala na 64 kanały jednoczesnej rejestracji i ujednolicenie ścieżki czasowej na poszczególnych stanowiskach

punktach pomiarowych z dokładnością do jednej tysięcznej sekundy). Dzisiaj to nowoczesne urządzenie pracuje we wszystkich kopalniach miedzi i jest nadal udoskonalane. Oczywiście ten projekt jest zaledwie jedną z wielu pozycji na długiej liście innowacyjnych rozwiązań, które powstały w Zakładzie. Średnio było ich kilkanaście w każdym roku. Żeby uświadomić sobie skalę tych dokonań, trzeba przypomnieć, że przecież inżynierowie Polskiej Miedzi działali niemal odcięci od światowej myśli technicznej, bez podróży za granicę, z utrudnionym dostępem do obcojęzycznych czasopism i literatury.

■ Podziemna łączność radiowa

W kopalni szczególne znaczenie ma niezawodny system łączności. Dlatego bardzo ważnym zagadnieniem do rozwiązania stała się łączność radiowa.

– Rozpracowywaliśmy ją już w latach 70., w efekcie powstał innowacyjny system łączności trankingowej

DOTRA - umożliwiający komunikowanie się ludzi w miejscach, w których ograniczone jest





Pierwszy gazik z napędem elektrycznym.

rozchodzenie się fal radiowych – przede wszystkim w wyrobiskach górniczych, sztolniach, tunelach halach produkcyjnych – objaśnia Jerzy Tenerowicz.

Był to również czas budowy maszyn górniczych zasilanych elektrycznie (dzisiaj ten temat ponownie wraca). Pierwszy gazik sztygarski do poruszania się na dole zbudowaliśmy już w latach 70., a w latach 80. ładowarkę z napędem elektrycznym.

■ Żeby mogli oglądać mecze

Nie wszyscy wiedzą, że dzisiejsza Telewizja Regionalna Zagłębia Miedziowego zawdzięcza swoje początki inżynierom z Zakładu Doświadczalnego. Pomysł wziął się stąd, że postanowiono pracownikom kombinatu, pracującym na drugiej zmianę, umożliwić obejrzenie meczów piłki nożnej.

– Zaczęliśmy się rozglądać za możliwościami formalnymi i technicznymi. Bez trudu otrzymaliśmy zgodę od wiceszefa Radiokomitetu

Lwa Rywina na uruchomienie zamiejscowego oddziału Telewizji Wrocław w Lubnie – wspomina Jerzy Tenerowicz, który został kierownikiem Górniczego Ośrodka Telewizyjnego. – Kompletowanie sprzętu nie było łatwe, przede wszystkim dlatego, że go w Polsce nie było. Ale znaleźliśmy go w Szwecji, niestety potrzebne były dewizy, których nie mieliśmy. Udało nam się jednak wykonać taką instalację i pierwszego września 1989 roku rozpoczęliśmy działalność retransmisją meczu wyjazdowego Wisła Kraków - Zagłębie Lubin. Wkrótce Telewizja Miedziowa, jedna z pierwszych niepublicznych stacji w Polsce, zaczęła emitować własne programy. Ich bohaterami byli mieszkańcy Lubina. Był „Koncert życzeń”, w którym na żywo odbierano telefony od ludzi

i od razu emitowano ich treść na antenie razem z piosenką. A na Barbórkę panie Barbary mogły zaprosić ekipę na krótką transmisję do swoich domów.

– Raz kiedyś, prowadząc program w swojej siedzibie (mieściła się w budynku Zagłębia obok torów), kątem oka zobaczyliśmy, jak kilka wagonów pociągu towarowego wykoleiło się i z przewróconych wagonów wysypał się cukier. Skierowaliśmy na miejsce zdarzenia kamerę. Za chwilę z policji telefon: „Co wy tam do cholery pokazujecie!“. A my filmowaliśmy dalej. W ciągu kilkunastu minut pojawił się tłum ludzi z wiadrami. Zbierali cukier, choć przecież jego reglamentacja skończyła się w listopadzie 1985 roku – wspomina.

■ Po telewizory na Daleki Wschód

W tamtym czasie ciekawość świata, zwłaszcza tego, do którego nie miało się dostępu, była ogromna. Ludzie telefonowali do nas: „Załóżcie u nas antenę w bloku, bo tam po sąsiedzku

mają, a my nie!". Oczywiście z zaspokojeniem tych potrzeb nie było łatwo z powodu braku sprzętu radiowo-telewizyjnego. Były tylko „Rubiny” i „Jowisze”, brakowało magnetowidów i tym bardziej zestawów satelitarnych. Powstał więc pomysł, żeby zakupić dla górników taki sprzęt. Brałem udział w zakupie 23 kontenerów sprzętu na Dalekim Wschodzie - w Korei, Singapurze, na Tajwanie, a więc tam, gdzie sprzęt był tańszy i gdzie Polskę pod względem cłowym traktowano szczególnie. Zakupiliśmy półtora tysiąca zestawów satelitarnych, magnetowidy, ileś tam tysięcy odbiorników telewizyjnych i potem w Zakładzie Doświadczalnym prowadziliśmy sprzedaż, instalację i serwis. Sprzęt rozszedł się błyskawicznie. W ten sposób telewizja zaczęła funkcjonować pełnym gazem.

Inna przygoda „techniczna” przydarzyła się w związku z tablicą wyników na stadionie, który został zbudowany w Lubinie w latach 70. Była to czarno-biała tablica żarówkowa, jedna z największych tablic w Europie, gdyż składała się z trzynastu tysięcy żarówek tworzących 12 linijek. Można było w nich zamieścić krótką informację oraz wynik meczu.

- Zainstalowaliśmy tę wielką tablicę, a później trzeba ją było obsługiwać - wspomina pan Jerzy. - Mimo że nie byłem specjalnym entuzjastą piłki nożnej, musiałem nie tylko chodzić na mecze, ale również je komentować. Za każdym razem cierpiałem ze skóry z obawy, by tablica świetlna się nie zepsuła, bo przecież wszyscy kibice patrzyli na wynik. Raz kiedyś przed samym meczem przepaliło się, gdzieś na samym środku tablicy, parę żarówek. No i rozpoczęła się gra. Przez chwilę było 0:0, ale ktoś tam strzelił bramkę. Zapaliła się jedynka ale tak strasznie kulawo... Mogliśmy się tylko modlić, żeby ktoś szybko strzelił drugą bram-

kę, aby zniknęła z oczu ta wybrakowana cyfra. I udało się, po kilkunastu minutach wyświetliła się dwójeczka, była bez skazy. Oczywiście tablica ta nie przetrwała zbyt długo i dawno została wymieniona na doskonalszą.

■ Wyrósł tam piękny las

Pani Bogusia podkreśla, że optymistycznie podejście do życia cechuje jej męża od zawsze.

- Nigdy nie zamartwia się drobnostkami, czerpie ogromną energię ze swego sposobu patrzenia na świat i wykazuje się niezwykłą determinacją w działaniu. Nawet jeśli ktoś inny widzi ten świat w ciemnych kolorach, on go postrzega we wspianych barwach - mówi pani Tenerowicz. - Początkowo nie potrafiłam myśleć tak



Na stawie osadowym Gilów, od lewej inż. Dajnowski, mgr Bogumiła Tenerowicz i inż. W. Horodecki.

jak on. Przejmowałam się wszystkim, byłam nerwowa, miałam problem ze snem itd. Jednak w miarę wspólnych lat, „przeciągał” mnie na swoją stronę. Na wskroś „przeszłam” jego pogodnym podejściem do życia, prowokującym do różnych aktywności, a przede wszystkim do realizowania swoich pasji.

Po trzech latach oczekiwania znalazła zatrudnienie w KGHM na stanowisku inspektora do spraw gleb i zieleni. Formalnie pracowała w Zakładzie Doświadczalnym, w dziale nadzorującym wszystkie zakłady KGHM.

– Podlegały mi sprawy rekultywacji zwałowisk, hałd, skały płonnej, zbiorników osadowych zarówno na starym zagłębiu, jak i na nowym. Pamiętam, rekultywowaliśmy zbiorniki przy ZG Lena i przy Wilczej Górze. Ale najwięcej pracy pochłonęła rekultywacja stawu osadów poflotacyjnych koło kopalni Konrad, na którym doszło do przerwania grobli w 1967 roku. Polegała na nawożeniu ziemi do zbiornika, następnie orało się tę powierzchnię głębokimi pługami leśnymi, a potem na tak urobionej ziemi zasadzało się tysiące sadzonek. Nadzorując ten proces, wiele spraw załatwiałam bezpośrednio z inż. Korńkow z ZG Konrad, z którą mi się wspólnie współpracowało.

Rekultywacja osadnika Gilów w nowym zagłębiu była trudniejsza w związku z inną, bardziej pylastą, ilastą strukturą gleby. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności rozwiązanie jakby samo się znalazło. Rozpoczęto budowę piaskowni Obora. Aby dojść do piasku, należało zedrzyć tę pierwszą, wierzchnią warstwę gleby. Tylko co zrobić z tą ziemią? I jeden z dyrektorów wpadł na pomysł, by wywieźć ją ciężarówkami właśnie na Gilów.

– To było naprawdę najlepsze rozwiązanie. Użyliśmy glebę na Gilowie i dzięki temu wyrósł tam piękny las – opowiada pani Bogusia. – Po kilku latach zaproponowano mi jeszcze funkcję głównego specjalisty do spraw ochrony środowiska w kopalni Polkowice. Tam również zajmowałam się ochroną terenów górniczych. Z chęcią chodziłam na przeróbkę, czy jechałam w teren na odszkodowania górnicze albo pobierałam próby ze studni, bo nie zawsze był pracownik. Kiedyś koleżanka wytknęła mi nawet, że jestem pазerna na robotę, a ja po prostu ogromnie lubiłam swoją pracę.

■ Zrzutka na dużego fiata

Macierzyństwo często bywa impulsem do ustawienia na nowo swoich priorytetów, do poszukiwań równowagi pomiędzy pracą i prywatnością. Kiedy w 1980 roku urodził się pierwszy syn Jurek, a potem Andrzej, państwo Tenerowiczowie przenieśli się do nowo wybudowanego

domu przy ulicy Wrzosowej. Godzenie obowiązków domowych, życia rodzinnego i kariery zawodowej było trudnym, wspólnym wyzwaniem.

– Nie wiem, jak myśmь to ogarniali. Dziś mam tyle czasu i nie potrafię się wyrobić. A wtedy było tak: Nadchodziły święta, mąż kupował świeże karpie, bo przywieźli samochodem i sprzedawali przed zakładem. Ja szybko wracałam do domu i rzucałam się w wir pracy. Tak przez 3 dni i te świeże uszka zawsze były na wigilię. A kiedy trzeba było zrobić coś z dziećmi, a rodzina daleko, mogliśmy liczyć na pomoc przyjaciół. Mamy ich w Lubinie spore grono, to przede wszystkim małżeństwa AGH-owskie i UJ-otowskie. Od samego początku wspomagamy się. Kiedy nie miałam wolnej soboty, a koleżanka miała, to podrzucałam jej rano dzieci i szliśmy do pracy. Gdy któryś z chłopców zachorował, inna koleżanka farmaceutka spieszyła z lekarstwami.

Nigdy nie zapomnę okoliczności zakupu pierwszego samochodu, to było w 1976 roku. Kosztował 30 tysięcy złotych, a my mieliśmy tylko 5 tysięcy. Było tak: Rano powiadomiliśmy wszystkich, że do wieczora trzeba te pieniądze zgromadzić. I w ciągu kilku godzin każdy przyszedł do nas z kopertą. Nikt się nie pytał, kiedy oddamy, nie spisywaliśmy żadnych umów. Pamiętam, jak ostatni z kolegów przyniósł nam pieniądze po południu i mówił: „A ode mnie nie weźmiecie?”. Odpowiedziałam: „Nie, bo już mamy potrzebną sumę”. W ten sposób staliśmy się posiadaczami czteroletniego fiata 125 odkupionego od pracownika z ZD. To był dobry zakup. Do dzisiaj jesteśmy wierni tej marce.

■ Patenty, szlaki i... strofy

Gdy po 17 latach pracy nasiliły się problemy zdrowotne, pani Bogusia przeszła na rentę. Potem pracowała 15 lat jako pedagog w swoim wyuczonym zawodzie, w V Liceum Ogólnokształcącym, a następnie przeszła na emeryturę.

Synowie państwa Tenerowiczów po studiach informatycznych w kraju i za granicą odnaleźli swoje miejsce we Wrocławiu.

Pan Jerzy w swym zawodowym życiu przeszedł od asystenta technicznego poprzez funkcje dołowe do wiceprezesa zarządu firmy. Po 35 latach pracy w Zakładzie Doświadczalnym odszedł na emeryturę. Pozostawił po sobie, jako



Bogumiła Tenerowicz na lekcji geografii - 2001 r.

współautor, kilkadziesiąt prac naukowo-badawczych i wdrożeniowych, które wprowadzono do praktyki przemysłowej w KGHM. Jest współautorem pięciu patentów. Posiada stopień Generalnego Dyrektora Górniczego.

Od 1973 roku należy do Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa. Za rozwijanie tradycji górniczych na terenie Zagłębia Miedziowego został uhonorowany dyplomem uznania przez Prezydenta Miasta Lubina.

Zaraz po przejściu na emeryturę założył własną Pracownię Projektów Innowacyjnych INNTENER, która obejmuje także działalność artystyczną i literacką. Inspiracją do tej działalności są fascynacje wędrówkami po tatrzańskich szlakach.

– Góry poznałem dzięki żonie – podkreśla. – Pamiętam, jak jeszcze na studiach wprowadziła mnie na Orlą Perć, choć wcześniej się nigdy nie wspinałem. Moja żona była mi przewodnikiem i nauczycielem. Efektem górskich doświadczeń jest pierwszy tomik poezji zatytułowany Słuchać wiatru tatrzańskiego, powstały w 2007 roku. Chciałem w ten sposób pokazać przeżycia towarzyszące nam podczas tych wędrówek.

Pan Jerzy zainicjował i założył Grupę Tatrzańską Lubin – Zakopane. Kilka razy w roku organizuje wycieczki górskie, by zdobyć „Korony Tatr”.

Grupa Holdingowa
KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.
ZAKŁAD DOŚWIADCZALNY
Spółka z o.o.
Ul. Skłodowskiej-Curie 82, 59-301 LUBIN



71 MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE
ZŁOTY MEDAL
1999 ROK

Złoty medal MTP 1999 r. za kompensator mocy biernej.



Bogumiła Tenerowicz w Tatrach
– październik 2014 r.

Od siedmiu lat jest członkiem Zakopiańskiego Klubu Literackiego Tra-WERS. To jednak nie oznacza odejścia od miedziowych tematów. W listopadzie 2008 roku powstał albumik *Nasz Miedziowy Świat*, prezentujący w sposób poetycki proces wydobywania i przetwarzania rudy miedzi. Marzy o napisaniu sztuki teatralnej, której tłem byłaby praca w kopalni miedzi, a także górnicze tradycje. Również od czterech lat pokazuje świat Miedzi przez pryzmat kalendarzy górniczych, które opracowuje, wydaje, a potem obdarowuje członków SITG. Wśród wydawnictw jest też tomik pieśni górniczych, a także tomik limeryków, a w przygotowaniu tomik fraszek.

– Odkąd jesteśmy na emeryturze, więcej podróżujemy. Najczęściej jeździmy w Tatry i do Włoch – podsumowuje pani Bogusia. – Nawet chodzę na język włoski w Uniwersytecie Senioralnym, żeby móc się porozumieć. Lubimy Włochy. Zachwyca nas ich kultura materialna, zabytki, atmosfera, a także codzienne życie i obyczaje. Jesteśmy wychowani na filmach Felliniego. Potrafiemy np. pojechać do jakiegoś małego miasteczka, usiąść przy winie i pizzy, i przez dwie godziny chłonąć jego atmosferę oraz obserwować ludzi, którzy są dla nas niezwykle przyjaźni. ■

Poniżej wiersz z tomiku *Nasz Miedziowy Świat* autorstwa Jerzego Tenerowicza.

TEATR GÓRNICZY

Na powierzchni szatnia.

Garderoba.

Grupa aktorów miedziowego świata podziemnego

Gotowa do kolejnego aktu.

Widzowie, to zakłęte w górotworze moce ciśnienia, ciepła i ciemności.

Pierwsza zmiana.

Na górniczym nadszybiu dwa dźwięczne uderzenia.

To początek.

Scena to klatka szybowa pełna braci górniczej.

Nagle opada ruchem jednostajnym setki metrów w dół.

Zatrzymuje się.

W innym świecie.

Znajdujemy się na dnie praocianu.

Aktorzy podziemnego świata wychodzą na własne małe areny.

Wielkie wozy górnicze.

Długie poruszające się po szynach podziemne pociągi.

Stanowiska na przesypach i kratkach.

Błyskają lampy i reflektory,

Słychać odgłosy walki z mocą podziemnych skał.

Ciepły, wilgotny zapach podziemia.

Z góry płynie rzeka powietrza ze śladami mijającego dnia.

Aktorzy kończą występ.

Odzwiewają szaty,

Które wcześniej na rozkaz stopnia geotermicznego zrzucili.

Teraz ruchoma scena wędruje setki metrów w górę.

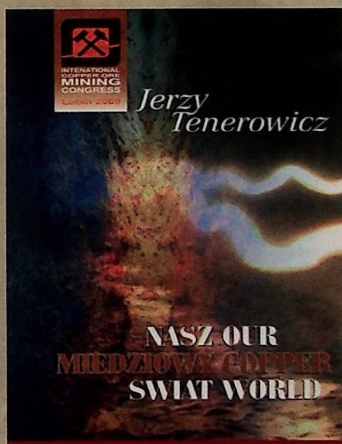
Potem zmycie charakterystacji, garderoba.

Koniec spektaklu.

A jutro kolejny występ w teatrze miedziowym.

Najlepsi, grają tę samą rolę dziesięć tysięcy razy.

Dlatego są mistrzami!



Tomik górniczej poezji w wydaniu dwujęzycznym.

Gdy w 1972 roku awarie spowodowały wstrzymanie głębinienia szybu R-I, bo pękały rury mrożeniowe, z niepokojem oczekiwaliśmy na decyzje władz. Tym bardziej, że niektórzy decydenci uważali, że to wroga robota przeciwników władzy ludowej i na siłę szukano winnych.

*Stanisława Roslan,
księgowa w PBKRM/
PeBeKa Lubin.
Pracowała w latach
1971 – 1991*



Gryzipiórki z Pebeki

Gdyby nie obowiązujący w Polsce, w drugiej połowie ubiegłego wieku, nakazowy system pracy dla absolwentów szkół, Stanisława Roslan najprawdopodobniej nigdy by nie trafiła do Złotori, a później do Lubina, do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń Rud Miedzi.

Urodziła się niedaleko Nowego Sącza. W Wojniczu skończyła Szkołę Rachunkowości Rolnej, a później – już w trakcie pracy – uzupełniła wykształcenie w Technikum Rolniczym.

Z nakazu pracy trafiła do Powiatowej Rady Narodowej w Złotori, gdzie dostała angaż księgowej. Jak wielu młodych przyjezdnych zamieszkała w wynajętym pokoju, obiady jadła w stołówce. W małym górniczym miasteczku nie było zbyt dużo atrakcji. Jedną z niewielu możliwości spędzania wolnego czasu były potańcówki, organizowane w Społecznym Domu Kultury. Właśnie na jednej z nich poznała przyszłego męża. Początkowo nie myślała poważnie

o związku, ale później ich wzajemne relacje nabrały „rumieńców” i wszystko błyskawicznie się potoczyło. Wzięli ślub, urodziło się dwoje dzieci: Ewa i Sławomir.

■ Miał zaledwie 45 lat

Mąż pracował w Zakładach Górniczych Lena w Wilkowie i w trakcie pracy ukończył studia ekonomiczne. Dostał propozycję z lubińskiego PSS Społem na stanowisku dyrektora handlowego, w ofercie było także nowe mieszkanie. Przeprowadzili się do Lubina, szczęśliwie pani Stanisława znalazła wakat na stanowisku księgowej w PBKRM. Przyjęto ją chętnie, ponieważ miała już kilkuletnie doświadczenie w tym zawodzie.

Pierwsze lata w Lubinie – jak dziś wspomina – to najpiękniejszy okres w jej życiu. Wydawało się, że może być już tylko lepiej. Niestety mąż zaczął chorować. Pierwszy zawał serca i szybki

powrót do pracy, po drugim też nie zrezygnował ze stanowiska. Niestety trzeciego już nie przeżył, chociaż natychmiast trafił do szpitala i lekarze przez kilka dni walczyli o jego życie.

– To były straszne chwile. W tamtych latach mówiono, że trzeciego zawału się nie przeżywa, ale ja do ostatniej chwili wierzyłam, że tak się nie stanie. Jestem przekonana, że dzisiaj mąż by nie umarł, bo medycyna uczyniła przez te lata ogromny krok do przodu. On miał wtedy zaledwie 45 lat – mówi z żalem.

■ Dumna z firmy

Księgowość w PBKRM mieściła się w budynku, w którym dzisiaj jest przychodnia Miedziowego Centrum Zdrowia. Ale gdy przy PBKRM uruchamiano przychodnię Górniczego Zespołu Opieki Zdrowotnej (czwartą w LGOM, po przychodniach w ZG Lubin, ZG Polkowice i Zespole Szkół Górniczych), została przeniesiona do małego budynku naprzeciw dyrekcji przedsiębiorstwa i do dziś się znajduje w tym miejscu.

– Gdy zaczynałam pracę, w trakcie budowy była kopalnia Rudna („Lubin” i „Polkowice” już oddano do użytku). Nasza firma oczywiście była zaangażowana w to przedsięwzięcie - wspomina pani Stanisława. Wprawdzie księgowość nie uczestniczyła bezpośrednio w tej inwestycji, to pilnie obserwowaliśmy wydarzenia i mieliśmy też dużo dodatkowej pracy związanej z obsługą finansową wszystkich budów. Kiedy w 1972 roku awarie spowodowały wstrzymanie głębienia szybu R-1, bo pękały rury mrozeniowe, niepokojem oczekiwaliśmy na decyzje władz. Tym bardziej, że niektórzy decydenci uważali, że to wroga robota przeciwników władzy ludowej i na siłę szukali winnych. Na szczęście dyrektorem Tadeuszowi Zastawnikowi i Tadeuszowi Glazórowi udało się ich przekonać, że to siły natury i drążenie chodnika można było kontynu-



Lata 60. Pani Stanisława z mężem i dziećmi: Ewą i Sławomirem.

ować. Pamiętam również, że wszyscy w przedsiębiorstwie obawialiśmy się o życie górników pracujących na dnie szybu. Byli narażeni na ogromne niebezpieczeństwo, gdyż awarie miały bardzo gwałtowny charakter.

Dużym przeżyciem emocjonalnym było dla nas również podpisanie w 1973 roku umowy na budowę czterech przejść podziemnych pod Wiślostradą - zaliczała się ona do tzw. „sztandarowych” budowli w stolicy. Byłam dumna z faktu, że moja firma w tym uczestniczy. Nie wolno zapominać także o tym, że dzięki temu w 1987 roku już jako PBK (przedsiębiorstwo wielokrotnie zmieniało nazwę i przyporządkowanie organizacyjne), mogło rozpocząć budowę metra w Warszawie. Ale wcześniej, w lipcu 1974 roku, świętowaliśmy otwarcie kopalni „Rudna”.

■ Nie tolerował bumelantów

– Dyrektor Tadeusz Glazór kierował firmą przez 15 lat i drugiego takiego szefa w historii przedsiębiorstwa nie było – ocenia pani Stanisława. – Był człowiekiem niezwykłym i chociaż



Lata 80. Stanisława Rosłan (w środku w pierwszym rzędzie) w pochodzie pierwszomajowym.

nas z powierzchni nazywał żartobliwie „gryzi-piórkami”, nikt nie miał o to pretensji i każdy skoczyłby za nim w ogień. Nie ma w tym ani grama przesady. Chociaż tak o nas mówił, nigdy nikogo nie lekcewał i zawsze starał się pomóc, gdy ktoś zwrócił się z jakimś problemem. Miałam wielokrotnie okazję spotykać się z nim i rozmawiać. Pamiętam go jako człowieka niezwykle taktownego i nadzwyczaj kulturalnego. Nie ukrywał, że najwyżej ceni górników, a oni za nim przepadali. Był otwarty na ich potrzeby, nie tolerował jednak bumelantów i obiboków. Poznałam również jego małżonkę, osobę równie taktowną i życzliwą dla wszystkich. Mieszkali w skromnych warunkach w wieloklatkowym budynku i to im w zupełności wystarczyło – wspomina Stanisława Rosłan.

■ Społecznie na ośrodku i stadionie

Pierwsze dni po śmierci męża były dla pani Stanisławy bardzo trudne. Właściwie do dziś nie po-

godziła się z faktem, że tak prędko odszedł. Przez większość życia sama zajmowała się wychowywaniem dzieci. Byłą wprawdzie obrotną kobietą, ale nie wie, czy poradziłaby sobie ze wszystkimi problemami, gdyby nie pomoc wielu życzliwych ludzi. Należała do Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Miedziowego i włączyła się w jego działalność. Szefem tego związku w PBK, przez wszystkie lata jej pracy, był Roman Jasiński, którego wciąż darzy szacunkiem.

– Związek pod jego kierunkiem dbał o pracowników, organizował wiele imprez zakładowych, pomagał tym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Każdy pracownik mógł zwrócić się do związku ze swoją sprawą czy problemem – wspomina.

Praca społeczna sprawiała jej dużą satysfakcję. Razem z innymi pomagała przy budowie ośrodka w Małowicach, wiele też dni spędziła na budowie stadionu piłkarskiego dla drużyny Zagłębia Lubin, nazwanego później stadionem

40-lecia PRL. Dzisiaj w tym miejscu stoi nowoczesny obiekt, ale dla niej to już nie to samo. Pamięta, że na meczach drużyny w I lidze na trybunach zasiadało po kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

– Ja wprawdzie nigdy nie byłam zagorzałym kibicem – zastrzega się – ale rozpieła nas duma z tego, że Lubin ma tak ładny, bardzo nowoczesny stadion.

Mimo pracy zawodowej i społecznej zawsze najważniejsza była rodzina. Bardzo często wyjeżdżała z Ewą i Sławkiem na zakładowe rajdy i wycieczki, za czym jej dzieci przepadały. Dzięki

zanki w pracy. Z upływem lat stosunki między ludźmi w przedsiębiorstwie zaczęły się zmieniać. Dawne koleżanki, w związku z dużym nawalem pracy, miały dla niej coraz mniej czasu, włączyła się więc w prace Komisji Emerytów i Rencistów ZZPPM.

– Nasza komisja spotykała się co miesiąc, rozpatrywaliśmy i opiniowaliśmy wnioski o zapomogi, wyjaśnialiśmy różne skargi i zażalenia – opowiada.

Dzieci były już samodzielne, więc mogła spełnić swoje marzenia i z pasją angażować się



Stanisława Roslan (pierwsza z prawej) spędziła wiele godzin w czynie społecznym przy budowie stadionu Zagłębia Lubin; nazwanego później stadionem 40-lecia PRL

pomocy firmy mogła wyjechać z nimi na wczasy, wysłać je na kolonie lub obozy.

– Wszyscy czuliśmy się mocno związani z przedsiębiorstwem, utożsamialiśmy się z nim, gdy trzeba było, człowiek nie liczył nadgodzin spędzonych w firmie, ani nawet nie oczekiwał jakiegos ekstra wynagrodzenia. Bo tak trzeba było – podkreśla przywiązanie do firmy.

■ Jak wycieczki to i śpiew

W 1991 roku Stanisława Roslan przeszła na emeryturę, ale nadal utrzymywała kontakty z przedsiębiorstwem, często odwiedzała kole-

w nowe zajęcie. Organizowała różnego rodzaju wycieczki: do miejsc kultu religijnego, turystyczno-krajoznawcze, jednodniowe wypadki w Karkonosze i na grzyby – cieszyły się dużym powodzeniem wśród byłych pracowników PeBeKa.

– Zawsze lubiłam śpiewać – wyznaje. – Podczas wyjazdów często śpiewaliśmy, wiele osób miało bardzo dobry słuch i głos. Pomyślałam, że warto byłoby jakoś zorganizować to nasze śpiewanie. W ten sposób powstała idea powołania chóru. Przedstawiłam ją tym, których „wyłowiłam” na wspólnych imprezach. W 1995



Po przejściu na emeryturę założyła chór, którym kierowała przez 15 lat.

roku, pod patronatem Polskiej Partii Emerytów i Rencistów, powstał chór składający się z ośmiu osób, z akordeonistą Tadeuszem Tubajem. Siedzi- bę początkowo udostępnił nam przewodniczący tej partii, a potem Bolesław Banaś, prezes Związku Pszczelarzy. W zamian zgodziłam się na nieod- płatne prowadzenie księgowości i utrzymywanie porządku w lokalu. Stroje dla chóru zakupiliśmy dzięki dotacji z Urzędu Miasta w Lubinie, kolejne po kilku latach sfinansował KGHM. PeBeKa nato- miast wyposażała nas w sprzęt nagłaśniający – pod- kreśla hojność przedsiębiorstwa.

Po roku chór liczył już osiemnaście osób, w jego repertuarze znalazły się piosenki biesiadne, ludo- we oraz patriotyczne. Część z nich napisała Mela- nia Czajkowska, inne zapomniane zaaranżowała Melania Kleczyńska. Chór z sukcesami brał udział w Przeglądach Artystycznych Zespołów Ludowych w Lubinie i Głogowie. Do dziś jest zapraszany na różne festyny, biesiady i jubileusze oraz imprezy rocznicowe organizowane przez Polski Związek Kombatanatów. Po piętnastu latach, w 2009 roku, z powodu choroby Stanisława Rosłan zrezygnowa- ła z prowadzenia chóru.

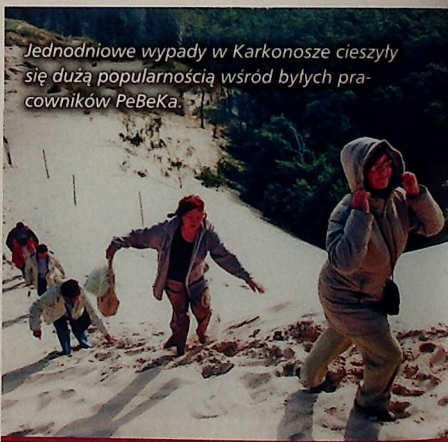
■ Wywalczyliśmy akcje

Gdy w latach 90. ubiegłego wieku przydzielano byłym i obecnym pracownikom KGHM bezpłatne akcje spółki i okazało się, że emeryci z PeBeKa mają być pominięci, włączyła się do grupy walczącej

o prawo do miedziowych akcji. Jest przekonana, że tylko dzięki działaniom ZZPPM, a szczególnie Ryszarda Zbrzyznego, szefa tej organizacji, sprawa skończyła się pomyślnie.

– Fakt, że nie chcieli nam przyznać bezpłatnej puli akcji KGHM, bardzo nas zabolą – mówi pani Stanisława. – Sprzeciwiliśmy się temu nie tylko ze względu na pieniądze. Przecież pracownicy z Pe- BeKa budowali miedziowe kopalnie ramię w ramię z górnikami z innych firm wykonawczych i kopalń. W takiej samej sytuacji byli pracownicy powierzchni, pionów administracyjnych i finansowych. Nikt w tamtych latach nie przykładął większej wagi do nazwy firmy, w której pracował na rzecz KGHM. Tworzyliśmy jedną wielką rodzinę, a po latach oka- zało się, że część z nas uznano za gorszą linię rodu, niezasługującą no to, co pozostali. Nie pogodzili- śmy się z tym i do skutku walczyliśmy o swoje.

Dziś stan zdrowia nie pozwala już Stanisła- wie Rosłan na tak znaczną aktywność jak kie-



dyś, ale nadal chętnie uczestniczy w biesiadach związkowych, w babskich combrach oraz in- nych spotkaniach okolicznościowych.

Pani Stanisława ma jedną wnuczkę i piąt- ką wnuków. Dwóch spośród nich związało się z miedzią, jeden nawet pracuje w jej dawnej fir- mie- obecnie noszącą nazwę PeBeKa Sp. z o.o. Bardzo lubi coroczne wakacyjne wyjazdy z naj- młodszyimi wnukami do „Oazy” w Małowicach, tam wynajmują domek i przyjemnie spędzają czas na pływaniu, wędkowaniu oraz zwiedzaniu okolicy. ■

Na Polu Wschodnim brakowało ludzi, więc kiedy mnie jako instruktorem przydzielano tylko dwóch do roboty, np. kierowcę do SWS i strzałowego, to sam musiał zakasać rękawy, bo potem nie byłoby co fedrować. Dlatego często siadałem na wóz i jeździłem, chociaż nie miałem uprawnień. Natomiast gdy na kopalnię przyjeżdżał przedstawiciel Urzędu Górniczego, to oczywiście stawałem się wzorcowym instruktorem, który przede wszystkim nadzorował robotę.

Edward Piwowarczyk, górnik strzałowy w ZG Polkowice. Pracował w latach 1971 – 2000



Nie chciałem podawać żerdek

Zaczynał jako „trzeciak” na parowozie. „Trzeciak” to dodatkowa osoba w obsłudze parowozu – taki pomocnik pomocnika maszynisty. Później po egzaminie w Oddziale Trakcji w Gliwicach awansował na „drugiego”, czyli na pomocnika maszynisty.

– Zdając egzamin formalnie uzyskałem uprawnienia do obsługi kotłów przewoźnych, tak to się nazywało w nomenklaturze technicznej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że taki „papier” będzie miał znaczenie w moim dalszym życiu – mówi Edward Piwowarczyk. – Na kolei pracował do czasu pójścia do wojska.

Wcześniej zmarła mu ciotka, z którą mieszkał w zakładowym mieszkaniu w Kędzierzynie. Był tam zameldowany już od wielu lat i sądził, że ma do niego prawo. Jednak administratorzy budynku uwzięli się, by je odebrać. W końcu miał tego wszystkiego dość, trzasnął drzwiami i wyjechał do matki mieszkającej w Wałbrzychu.

■ Z ulotki do kopalni

Po wojsku został konserwatorem ogrodu w uzdrowisku w Szczawnie Zdroju. Gdy w największym z Domów Zdrojowych zachorował palacz, kadrowa dopatrzyła się w dokumentach

P. R. P.

Oddział Trakcji

(stempel jednostki organizacyjnej)

Nr 1402-1464/62/67

ŚWIADECTWO

złożenia egzaminu ścisłego

Ob. Piwowarzyk Edward
 urodzony dnia 28 listopada 1948 r. w Kędzierzu
 zatrudniony w UND Kędzierz
 na stanowisku Slusarz poddał się
 w dniu 24 kwietnia 1967 r. przed komisją egzaminacyjną
 egzaminowi ścisłemu na palacza kotła przewozowego
 w myśl par. 41 z przep. o służb. państw. i ego prac. przedsiębior. P.K.P.
 (podać § 2 przep. As. wzgl. Nr prog. i według którego egzamin. kandydata)

egzamin ten złożył z wynikiem dobrym
Gliwice dnia 24 kwietnia 1967 r.

Protokółant

Bajer

Przewodniczący
Komisji Egzaminacyjnej

Kuczyński

PKP Seria A Nr 71

DKP Nr 2522 I-66 30.200 plm. 65 g

W Gliwicach (1967) ukończył kurs palacza kotłów przewoźnych.

Edwarda Piwowarzyka, że posiada on uprawnienia do obsługi kotłów przewoźnych.

- Zostałem palaczem i wtedy podnieśli mi nawet pensję, ale niestety nadal była ona na niskim poziomie, jak zresztą w całej służbie zdrowia. Chodziłem z bratem na zabawy, chciałoby się zaszaleć, a w kieszeni cały czas „piłno” - na nic nie starczało. W spółdzielni mieszkaniowej, do której się zapisałem, dowiedziałem się, że na klucze do swoich czterech ścian muszę czekać co najmniej 16 lat. Zastanawiałem się co dalej robić, gdy któ-

regoś razu wpadła mi w ręce ulotka informująca o przyjęciach do pracy w Zakładach Górniczych Polkowice - wspomina trudne lata Edward Piwowarzyk. - Wiedziałem tylko tyle, że gdzieś za Legnicą budują nowe zagłębie miedziowe. Niepotrzebnie przez jakiś czas wahałem się z podjęciem decyzji. Gdy wreszcie przyjechałem do tych Polkowic, okazało się, że mają akurat dużo chętnych do fedrowania. Zaproponowali mi pracę na powierzchni, jednak za tak niskie wynagrodzenie, że się nie zgodziłem. Ale mogłem zacząć jako pomocnik wiertacza na przedwiertach, w systemie pracy na tzw. akord prosty. Zgodziłem się na to, ponieważ mogłem zarobić dużo więcej niż w Domu Zdrojowym, chociaż wciąż mniej, niż się spodziewałem.

■ Po felezunku zostajesz u nas

18 czerwca 1971 roku przyjechał do Polkowic, zamieszkał w hotelu robotniczym D-5 (dziś w tym budynku mieści się Komenda Powiatowa Policji). Trafił na Szyb Wschodni ZG Polkowice do oddziału, którym kierował Adam Chodak. Wiercili wyprzedzające otwory dla obrazowania układu pokładów rudy miedzi. Przepracował dziewięć miesięcy i zorientował się, że nie ma szans na awans. Najlepsze stanowiska zajęte były przez wykwalifikowanych wiertaczy, którzy wcześniej pracowali na kopalniach ropy naftowej i gazu ziemnego. Edward Piwowarzyk jeszcze długo mógł tylko podawać żerdki, czyli kolejne elementy do wiercenia otworów.

- Poszedłem do dyrektora Kamińskiego i poprosiłem o przeniesienie. Poinformował mnie, że jest organizowany kurs na obsługę rosyjskich wiertnic SBU i zapytał, czy sobie poradzę. Odpowiedziałem, że w wojsku, w szkole podoficerskiej, zaliczyłem szkolenie dowódców drużyn samochodowych i stąd zagadnienia związane z układami hydraulicznymi oraz powietrznymi nie stanowią dla mnie problemu. Dyrektor podpisał mój wniosek o przeniesienie i wreszcie stanąłem

przed szansą przejścia na oddział górniczy. Nie byłem pewien, czy wiertarze nie będą robili jakiś problemów, bo brakowało im ludzi do stawiania

byłoby co fedrować. Dlatego często siadałem na wóz i jeździłem, chociaż nie miałem uprawnień. Natomiast gdy na kopalnię przyjeżdżał przedstawiciel Urzędu Górniczego, to oczywiście stawałem się wzorcowym instruktorem, który przede wszystkim nadzorował robotę.

Chociaż nie zawsze pracowali w całkowitej zgodzie z przepisami, uniknął poważniejszego wypadku. Tylko trzy razy został lekko rany. Kiedyś przy obrywce odłamek skały wytrącił mu z ręką łom a jego końcówka zraniła mu oko. W pierwszej chwili pomyślał, że je stracił. Poprosił kolegę, aby przemył ranę wodą mineralną i zobaczył, czy coś z oka zostało. Nie było tak źle, w szpitalu zszyli mu ranę i po jakimś czasie mógł wrócić na dół. Innym razem obrywał z kolegą przodek na kostkach, gdy ostro zakończony odłamek skalny dolomitu spadł mu na łydke. Rana mocno krwawiła, więc nim dotarła pomoc, bez namysłu ściągnął spodnie i slipami przewiązał nogę pod kolanem. Ponownie szpital, szycie i powrót na swój oddział. Za trzecim razem odłamek zranił go w ramię, do dziś ma dużą szramę na bicepsie.

– Dobrze, że nie miałem więcej takich przypadków, bo chyba nie bez przyczyny mówi się, że do trzech razy sztuka – podsumowuje pan Edward.

– Dobrze, że nie miałem więcej takich przypadków, bo chyba nie bez przyczyny mówi się, że do trzech razy sztuka – podsumowuje pan Edward.

■ Zaskoczyli Francuzów

Gdy w 1985 roku Przedsiębiorstwo Budowy Kopalni w Lubinie podpisało kontrakt na drażnienie tuneli kolejowych w Algierze, poszukiwano wiertaczy mechanicznych. Edward Piwowarczyk jako ostatni złożył wniosek. Niezbyt wierzył, że przejdzie przez sito kwalifikacyjne, ale szczęściem się udało.

– Wyjeżdżałem niechętnie, bo najmłodszy syn 15 maja szedł do Pierwszej Komunii, a wyjazd był zaplanowany na 18 maja. Przedtem musiałem jeszcze porobić różne badania i się zaszczepić. Zdążyłem wszystko pozatłatwić i polecałem „Ko-

Ob. Edward Piwowarczyk

Oddział G-9 PG

Data 18.06.71 Znak BOB/71

Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi Zakłady Górnicze i Hutnicze w Polkowicach

Przebieg choroby: ZG POLKOWICE

na czas 7-dniowy okres próbny, a po jego upływie na czas nieograniczony

1. powołaniem do pracy: rzemieślnika III kl.

2. datą: 18 czerwca 1971 r.

W czasie trwania umowy o pracę będzie obowiązkiem (obowiązków) wypracowanie planu z górą - z dołąć w sposób i na warunkach przewidzianych w ZUP z 1958r. prot. 79/68

3. wynagrodzeniem: 8,50zł/godz. + premia regulaminowa

4. warunkami: CWD - Co-13 - Pomocnikiem sterownika umowy o pracę z przewidywaną wypłatą w szkodach pracy na kwotę ustalającą (stwierdzenie Co-13).

5. warunkami: CWD - Co-13 - Pomocnikiem sterownika umowy o pracę z przewidywaną wypłatą w szkodach pracy na kwotę ustalającą (stwierdzenie Co-13).

Pierwsza stawka w ZG Polkowice (1971).

tych żerde. Obawami podzieliłem się z panem Jasińskim, u którego miałem pracować na oddziale 23. Stwierdził krótko: „O nie się nie martw. Przyjdź jutro pod narzędziownię, a stamtąd ktoś cię zabierze na felezunek i będziesz już u nas”. Tak się rzeczywiście stało, bo przecież fedrunek był najważniejszy. Wtedy nastąpił przełom w moim życiu zawodowym.

■ Musiał zakasać rękawy

Bez problemów ukończył kurs i zdobył uprawnień na obsługę wiertnicy SBU, potem zaliczał kolejne: na obsługę SWW, młodszego górnika, górnika i górnika strzałowego, a po kilku latach został instruktorem strzałowym.

– Pamiętam, że u nas na oddziale 23. rola instruktorów była inna niż w sąsiednich kopalniach. Tam odpowiadali za właściwą instalację anten, rozłożenie zapalników, bezpieczeństwo i wszystkie inne sprawy z tym związane. Na Polu Wschodnim brakowało ludzi, więc kiedy mnie jako instruktorowi przydzielano tylko dwóch do roboty, np. kierowcę do SWS i strzałowego, to sam musiałem zakasać rękawy, bo potem nie



Algieria (1987), Edward Piwowarczyk z małżonką w Beja nad Morzem Śródziemnym.

pernikiem" do Algieru, gdzie przepracowałem 25 miesięcy.

Po roku został przodowym. Polska ekipa zyskała uznanie za precyzyjne i terminowe wykonywanie robót. Ale nie było łatwo, należało ściśle trzymać się harmonogramu. Po Polakach na obiekt wchodzili Włosi, którzy budowali nasypy, układali podkłady, montowali szyny i sygnalizację. Każde, nawet najmniejsze, opóźnienie wiązało się z zagrożeniem karami. Francuzi bardzo dokładnie kontrolowali wykonywane prace.

– Również w Algierii zakresy obowiązków na poszczególnych stanowiskach były raczej umowne. Pamiętam, jak pewnego dnia na budowę przyjechał nowy górnik strzałowy. Oparł się o kotwiarę i przygląda się, jak pracujemy. Zapytałem go: „A kolega co ma tutaj robić?”. „Jestem górnikiem strzałowym, czekam, aż to

wszystko wyjedzie z tunelu, by zacząć swoją robotę” – odpowiedział. „No to idź na ładowarkę, jeżeli umiesz nią jeździć, albo siadaj na wóz i wywoź urobek” – poleciłem mu krótko. Wszyscy cyklicznie wymienialiśmy się przy pracy i jakoś to nam wychodziło. Oczywiście jeżeli widziałem, że ktoś odstaje, nie może sobie z czymś poradzić i mógłby sobie lub innym zrobić krzywdę, przerzucało się go do innej roboty.

Pewnego dnia zawalił się tunel, co groziło wielodniowym opóźnieniem w postępie prac. Francuzi za oddanie tunelu w terminie zaoferowali dodatkowe premie. Polacy podjęli się tego wyzwania i zbudowali tunel w wyznaczonym czasie.

– Francuzi nie spodziewali się, że potrafimy w tak szybkim tempie pracować. W pierwszym miesiącu zarobiłem 1300 USD ponad kontrakt, który opiewał na kwotę około 400 USD. W kolejnym miesiącu obniżyli nam stawkę, a i tak zarobiłem dodatkowo 900 dolarów. To były naprawdę duże pieniądze. Pamiętam, że wtedy za półlitrowkę Żytniej



Rok 1987, Algieria. Zbicie tunelu w górach Atlasu. Pierwszy z lewej Edward Piwowarczyk.

w Peweksie płaciło się 50 centów a za małego Fiata 126p - 150 dolarów.

Po ponad dwóch latach za granicą wrócił do kraju. Nie chciał, żeby trójka jego dzieci (Grzegorz, Monika i Tomasz) wychowywała się bez ojca. Wielu jego kolegów, korzystając z nabytego doświadczenia, trafiło potem na inne budowy, np. metra w Algierze czy na kontrakty do Chin.

■ Przedwczesne zwolnienie

Był bardzo zadowolony z powrotu na Polkowice Wschodnie, na swoje poprzednie stanowisko górnika strzałowego. Tutaj, wśród kolegów, czuł się na swoim miejscu.

W 1998 roku dowiedział się, że nabył prawa emerytalne:

– Kadrowa, pani Peła, powiedziała, że muszę zakończyć pracę zawodową. Pogodziłem się z tym, bo w tamtym czasie nie było możliwości przedłużenia okresu zatrudnienia. Pożegnałem się z kolegami, wziąłem odprawę, a po kilku dniach otrzymałem informację z ZUS, że lata pracy na kontrakcie za granicą nie były składkowe i muszę dopracować jeszcze 25 miesięcy. Z tej kłopotliwej sytuacji wybrał mnie dyrektor kopalni. Zatrudnił mnie na rok, potem na kolejny i w ten sposób uzupełniłem lukę w stażu pracy.

Od 14 lat Edward Piwowarczyk jest na emeryturze. Nie podjął pracy w innej firmie, ale bardzo chętnie pomaga w pracy społecznej. Zaangażował się w działalność struktur Ludowych Zespołów Sportowych. Wspólnie ze Stanisławem Samcem, który był przewodniczącym zarządu powiatowego LZS w Lubinie, zajmował się organizacją działalności sportowej młodzieży niepełnosprawnej i środowisk wiejskich. Gdy zaczynali współpracę, lubiński LZS plasował się w rankingu powiatów Dolnego Śląska na końcu pierwszej dziesiątki. Przez cztery lata ich wspólnej działalności zawsze plasowali się na pierwszych miejscach. W 2012 roku stery LZS oddali innym.

■ Nie ma nawet śladu

Z górnictwem związał się tylko na pewien czas najstarszy z synów - Grzegorz, który zaczął pracę



KGHM POLSKA MIEDŹ S.A.

Oddział Zakłady Górnicze POLKOWICE - SIERSZOWICE

Pan / Pn

Edward Piwowarczyk

Proszę przyjąć najserdeczniejszo gratulację z okazji przypadającego w tym roku jubileuszu 35-lecia Pana/i! pracy zawodowej.

Jestem przekonany, że doświadczenie i wiedza, jakie zdobył Pan/i! przez lata pracy, będą nadal służyć umacnianiu pozycji TGHM Polska Miedź S.A. i budowaniu jej stabilnej przyszłości.

Życzę Pana/i! wszystkiego najlepszego, wiele satysfakcji w dalszej pracy zawodowej i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Z wyrazami szacunku

Katowice, dnia 1 grudnia 1999

Sygnat

*ph,
Przew. Markowski*

Dyplom z okazji 35-lecia pracy zawodowej zajmuje poczesne miejsce w zbiorze pamiątek.

na Polkowicach Wschodnich. Później jednak zatrudnił się w spółce naprawiającej maszyny górnicze i tylko w przypadku awarii zjeżdża na dół. Monika wyjechała na studia do Łodzi, tam poznała swojego małżonka. Pracuje w firmie handlującej kompletnym wyposażeniem piekarni. Najmłodszy z synów Tomasz szuka swojego miejsca poza granicami kraju - mieszka w Londynie.

Prawie całe zawodowe życie przepracował na Szybie Wschodnim. Praca na kopalni dawała mu satysfakcję, dzięki niej bez trudu utrzymywał rodzinę i wykształcił dzieci. Teraz ma czas, by wraz z żoną cieszyć się życiem. Żałuje tylko, że nie może wrócić na swój ulubiony szymb, popatrzeć na charakterystyczną wieżę i spotkać się przy niej z kolegami.

– Niestety, dzisiaj po Wschodnim nie ma nawet śladu. Teraz rośnie tam las i można w tym, miejscu zbierać grzyby – wspomina z nostalgią. ■

W ciągu ostatnich czterdziestu lat we wszystkich dziedzinach górnictwa dokonał się ogromny postęp, a technika robót strzałowych przeszła wręcz totalną rewolucję; od prostego nabijaka do pompowanych materiałów emulsyjnych, zapalników elektrycznych, nieelektrycznych a obecnie nawet elektronicznych.

*Zbigniew Maćkowiak,
główny inżynier strzałowy w ZG Rudna.
Pracował w latach
1972 – 2012*



Pięć minut przed lub dziesięć po

Urodził się w Lwówku Śląskim. Po szkole podstawowej, za namową brata, również wybrał Technikum Górnicze w Bolesławcu. Szkoła ta miała tak dobrą renomę, że jej absolwentów przyjmowano do pracy w Zakładach Górniczych Konrad jak inżynierów - od razu do dozoru.

- Technikum w Bolesławcu było zapleczem kadrowym dla starego zagłębia miedziowego, które tworzyły: rozbudowywane ZG Konrad w Iwinach, „Lena” w Wilkowie oraz najstarsza kopalnia Nowy Kościół. W 1972 roku, po ukończeniu szkoły, trafiłem jak większość uczniów z klasy, do „Konrada”. Niestety nie były już to czasy, kiedy absolwentów technikum zatrudniano w dozorze. Przyjęto nas na stanowiska górników przodowych, wprawdzie jeszcze z du-

żymi uprawnieniami, ale już bez prawa strzelania i używania materiałów wybuchowych. Wtedy wystarczył jednak tylko dwuletni staż pracy i niemal automatycznie otrzymywało się uprawnienia strzałowego. Rzeczywiście uzyskałem je dwa lata później i przez rok pracowałem jako przodowy górnik strzałowy - wspomina Zbigniew Maćkowiak.

■ **Zabrakło perspektyw**

„Konrad” to kopalnia, w której system eksploatacji i rodzaj pracy można - zdaniem pana Zbigniewa - porównać z kopalnią węglową (niskie pokłady, ściany, rabunek, pancerne przenośniki, wręboladowarki), z tą różnicą, że fedrowało się nie węgiel, tylko łupek miedzionośny.



TECHNIKUM GÓRNICTWA RUD M.P.C. BOLESŁAWIEC KLASA V a – ROK SZKOLNY 1971/72

Zbigniew Maćkowiak w górnym rzędzie - trzeci od lewej.

Do tego prosty transport i ciężka fizyczna robota przy bardzo dużym zagrożeniu wodnym. Podstawową załogę stanowili chłoporobotnicy, którzy garnęli się do pracy po to, by uzyskać ubezpieczenie (rolnicy otrzymali je dopiero za Gierka). Na dodatek w „Konradzie” brakowało perspektyw na awans.

– Nasycenie dozorem sprawiało, że o przebić się na wyższe stanowisko można było tylko pomarzyć. Zdając sobie z tego sprawę, ludzie z dozoru byli pewni siebie i często aroganccy. Gdy któryś ze sztygaarów już zbyt mocno się „sadzził”, mówiliśmy do niego: „Łopaty z ręki nikt nam nie zabierze, ale was „białych” w każdej chwili można wywalić”, co czasami uspokajało chojraka, ale nie zawsze. Dlatego też, gdy pojawiła się perspektywa przejścia do nowego zagłębia miedziowego, nie zastanawiałem się ani chwili – mówi Maćkowiak.

Pewnego dnia do lwina przyjechał Władysław Masłowski, dyrektor ds. pracowniczych i administracyjnych ZG Rudna, namawiał górników do przejścia na nową kopalnię. Mówił o potrzebach kadrowych nowego zagłębia, roztaczał szerokie perspektywy awansu. Zbigniew Maćkowiak był w grupie kilkunastu górników, którzy zdecydowali się na przeniesienie do „Rudnej”. Wśród nich znaleźli się także górnicy: Szabla, Cieślak i Gałka oraz Marian młodszy z braci Kawęckich. To były znaczące nazwiska wśród strzałowców. Syn Mariana do dziś pracuje w ZG Rudna, na G-5.

– Poszedłem do dyrektora ZG Konrad Józefa Szerby z wnioskiem o przeniesienie – opowiada pan Maćkowiak. – Dyrektor wściekał się, zgrzytał zębami, ale nie mógł nic zrobić, bo miał nieformalny zakaz utrudniania komukolwiek przenosin do nowego zagłębia. Pomstował

i krzyczał: „Jeszcze trochę, a sam tu zostanę! Ja ich uczę, szkołę i wychowuję, a oni potem zabierają mi ludzi!”, ale podpisał moje podanie.

■ Bez dodatkowych apanaży

Przenosiny na „Rudną” odbyły się bardzo sprawnie. Kiedy górnicy po trzeciej zmianie wy-

– Jerzy przeszedł na „Rudną” z grupą dozoru z ZG Lubin, a znaleźli się w niej także: Wiktor Błądek, Michał Sonnenberg, Józef Bednarkiewicz, Jan Żyżyński, Tadeusz Skuza, Ireneusz Powroźnik i Włodzimierz Ślosarczyk. Była to twarda ekipa, która później z nami sztygarami drażniła się mówiąc np.: „Jak ja na Lubinie



W styczniu 1990 r. do ZG Rudna przyjechał pierwszy sekretarz KC PZPR Mieczysław Rakowski (po prawej). Wita się z inż. Maćkowiakiem.

jechali z kopalni Konrad na powierzchnię, na zdecydowanych zmianą pracy czekał już na bus. Opiekowała się nimi pani Zamrozowa z działu socjalnego; pojechali na „Rudną” i w jeden dzień załatwili wszystkie formalności. Zaliczyli w ten sposób swoją pierwszą dniówkę w nowej kopalni. Następnego dnia każdy został przydzielony do konkretnego oddziału. Zbigniew Maćkowiak trafił na nowo powstający oddział G-14, na Rudnej Zachodniej. Zawiadowcą kopalni był wtedy Jan Foligowski, a kierownikiem oddziału Jerzy Garnarczyk.

Wschodnim na wózki fedrowałem, to wy ... na stojąco pod szafę wchodziliście, koszulę w zębach trzymaliście itp.”.

Pracowali w systemie czterobrygadowym, ale zorganizowanym zupełnie na innych zasadach niż dzisiaj. Na oddziale były cztery brygady, jedna fedrowała osiem godzin na zmianie przez cztery dni, po czym przysługiwał jej dzień wolny od pracy i tak przez cały rok. Jeżeli komuś dopisało szczęście, to mógł się cieszyć np. jednym dniem wolnym w Święta Bożego Narodzenia, czy w Nowy Rok. Przy pechowym układzie

całe święta musiał pracować, bez żadnego dodatkowego wynagrodzenia.

■ Od nadgórnika do nadsztygara

Jeszcze na „Konradzie” rozpoczął studia na Wydziale Górniczym Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Dzięki temu szybko awansował na nadgórnika, potem na sztygara. W 1976 roku przeniesiono go na Rudną Główną, gdzie na oddziale G-2 pracował jako sztygar, najpierw u kierownika Jana Żyżyńskiego, potem oddział przejął Tadeusz Skuza, a następnie Eugeniusz Kranc.

– Wszyscy oni wywodziли się z ZG Lubin, o tym zaciągu mówiliśmy później „błądkowcy”. Kranc był moim kierownikiem przez dwa lata. Potem ja kierowałem oddziałem G-5 – nawiązuje do swojej kariery zawodowej pan Zbigniew. – W 1982 roku powstał nowy rejon Rudna Północna i automatycznie przekazano mnie tam wraz z całym oddziałem. Pewnego dnia zakomunikowano mi, że od jutra pracujemy w oddziale G-2, w nowym rejonie. Z czasem oddziały tworzące ten rejon, przeniesiono na wybudowany szyb R-7. W międzyczasie zostałem nadsztygarem górniczym. W 1987 roku mieliśmy tam już swoje biura i tym samym jeździliśmy na dół.

Na początku lat 90. Zbigniew Maćkowiak miał już 20-letni staż pracy pod ziemią i – jak twierdzi – wyczuwał, że stara kadra jest odsuwana na boczny tor. Słyszał, jak nowi za plecami mówili: „Wy czerwoni, już dosyć tego burdelu narobiliście. Teraz władzę przejmie nasza opcja”. Źle się z tym czuł i przeniósł się do kopalnianego Działu Techniki Strzałowej.

– Namówił mnie do tego główny inżynier strzałowy Leszek Szpaczyński. Zmieniłem więc branżę i drugie 20 lat przepracowałem jako nadsztygar ds. techniki strzałowej, dystrybucji,



Do 1992 r. ładunki łączono równolegle na „antenkę”.

później jako zastępca głównego inżyniera. Ale zaczynałem oczywiście od spraw najprostszych dotyczących robót strzałowych w kopalni. Musiałem przyswoić sobie mnóstwo szczegółowych i bardzo rygorystycznych zasad, przepisów, norm związanych m.in. z transportem materiałów wybuchowych itd. Wciągnąłem się w tę robotę i w efekcie pod koniec swojej pracy awansowałem na najwyższe stanowisko w tym pionie.

■ Od nabijaka do elektroniki

Zdaniem Zbigniewa Maćkowiaka, w ciągu minionych 40 lat, spośród wszystkich górniczych dziedzin, to w technice strzałowej zaszły najbardziej radykalne zmiany. Bo np. jeśli chodzi o maszyny ciężkie, konkretnie o ładowarki, to udoskonalano je stopniowo z roku na rok. Podobnie było z wozami, linami szybowymi, przenośnikami, gumami. Chociaż we wszystkich tych dziedzinach dokonał się ogromny postęp, jednak technika strzelnicza przeszła wręcz totalną rewolucję; od nabijaka do pom-



Zbigniew Maćkowiak na delegacji w Szwecji - kopalnia Kiruna (2006).

powanych materiałów emulsyjnych, zapalników elektrycznych, nieelektrycznych a obecnie nawet elektronicznych.

– W ZG Konrad materiałem wybuchowym był amonit, proszkowy materiał, tani i zasługujący na miano tandety, ale skuteczny, spełniający swoje zadanie – wyjaśnia inżynier Maćkowiak. – Otwory wierciliśmy ręcznie, przy pomocy wiertarek na sprężone powietrze. Po kilku latach w tak ciężkich warunkach, przysługiwał tzw. wibracyjny dodatek. Pamiętam, że po miesiącu pracy taką wiertarką, miałem przez dwa tygodnie chorobę wibracyjną, bo nie potrafiłem prawidłowo obsługiwać tego urządzenia. Po odwierceniu otworów do każdego z nich ładowaliśmy po kilkanaście sztuk 125-gramowych naboju i popychaliśmy je nabijakiem. Był to ponad trzymetrowy kij, taki jak od szczotki, o średnicy 32 mm, oczywiście musiał być trochę dłuższy niż wywiercony otwór. Cały cykl wiercenia i ładowania wykonywało dwóch ludzi. Jedna zmiana strzelała przodek, kolejna wybierała go, zabudowywała strop (zabudowa kotwowo-stropnicowa), odwiercała otwory, ładowała i strzelała, uzyskując dwumetrowy postęp, bo na taką głębokość, czyli tzw. zabiór, wiercono otwory.

Początkowo warunki pracy na „Rudnej” były zbliżone do konradowskich. Inżynier Maćkowiak wspomina, że na G-14 roboty wykonywano jeszcze ręczne, ale już innym rodzajem wiertarek z zabiorem na 2,40 m. Stosowano też

podobną zabudowę kotwiovą, tylko bez stropnic. Na oddziale było po kilka przodków, więc nie robiło się już pełnego cyklu. Na jednym trzeba było odwiercić ponad czterdzieści otworów i strzelić. Wcześniejsza zmiana przodek wybierała i zabudowywała. Cykl dzielił się na dwie zmiany, ale kiepsko to szło i z mizernym efektem. Szybko jednak wkroczyła mechanizacja; najpierw sprowadzono kotwiarki, potem samojedźne wozy wierzące. Maszyna podjeżdżała do przodka i wierciła mechanicznie otwory na głębokość trzech metrów. Strzałowi otwory ładowali i odpalali. Nadal jednak materiał wybuchowy był

nabojowany, po 150 gramów. Jeżeli do otworu trzeba było załadować trzy kilogramy materiału, to do każdego z nich należało 20 razy wsunąć taką „klusieczkę” i popchnąć ją nabijakiem. W każdym z pięciu przodków nawiercano około 40 takich otworów, część z nich trzeba było nawiercać i ładować z drabiny, bo przodki były wysokie.

■ Szybciej i bezpieczniej

– Kiedyś nie było takich podstawowych maszyn, jak np. obrywaki – mówi Zbigniew Maćkowiak. – Obrywkę musieliśmy robić ręcznie, niestety spadające odłamki skalne stwarzały poważne zagrożenie dla tych, którzy zajmowali się tą robotą. Dochodziło do wypadków, w tym także śmiertelnych.

Ta sytuacja wymuszała i mobilizowała do działań związanych z mechanizacją prac. Pojawiły się samojedźne wozy strzałowe, które przewoziły górników razem z materiałami wybuchowymi. Wozy miały podest podnoszony do góry, można było z niego bezpieczniej wykonać obrywkę. Postęp obejmował również wprowadzenie nowej generacji materiałów wybuchowych, o wiele bardziej bezpiecznych. Naboję miały większą średnicę, co znacznie skróciło czas ich ładowania.

– Doszliśmy do tego, że teraz już się nie ładuje materiału wybuchowego, ale po prostu się go pompuje. Górnik wkłada do otworu wąż plastikowy, włącza pompę, która wtłacza zadaną ilość

materiału, wyciąga wąż i powtarza tę czynność wielokrotnie, zależnie od ilości otworów. Żartobliwie można powiedzieć, że jest bardziej takim „wtykaczem” niż górnikiem strzałowym. O ile kiedyś dwóch - trzech górników strzałowych ładowało przodek przez godzinę, to dzisiaj jeden górnik robi to w ciągu 10 - 12 minut i nawet się przy tym nie zmęczy – porównuje Maćkowiak.

Nie ukrywa satysfakcji z udziału w tych wszystkich przemianach, które dokonały się w ostatnich dwudziestu latach. Nowości te rodziły się na „Rudnej” - nie bez przyczyny. Dyrekcja kopalni, jak i kadra inżynierska, zawsze sprzyjała postępowi technicznemu. Zbigniew Maćkowiak podkreśla również szczególną otwartość na wszelkie innowacje swojego szefa inżyniera Leszka Szpaczynskiego. Rozwojem techniki nie mniej zainteresowany był zarząd KGHM. To Stanisław Siewierski, wówczas prezes Polskiej Miedzi, zdecydował o zastosowaniu materiałów emulyjnych i zapalników nieelektrycznych, polecając inżynierom z „Rudnej”, by tę technologię opanowali i pilotażowo wprowadzili w swojej kopalni.

■ Z honorami na emeryturę

Ostatnie sześć lat Zbigniew Maćkowiak przepracował jako główny inżynier strzałowy. Gdy skończył 60 lat, miał za sobą cztery dekady nieprzerwanej pracy dołowej.

– W 2012 roku, gdy obchodziłem jubileusz 45-lecia (bo jeszcze szkołę do stażu mi zaliczyli), postanowiłem odejść w glorię, a nie „goniony kijami”, jak to się niektórym zdarzało – podkreśla pan Zbigniew. – Przeszedłem na emeryturę z pełnymi honorami, na dodatek dyrektor Laszkowski wyróżnił mnie wpisaniem na listę osób, które obligatoryjnie zapraszane są na wszystkie karczmy piwne ZG Rudna, to dla mnie jedna



Kadra strzałowa ZG Rudna. W środku (na pierwszym planie) siedzi Zbigniew Maćkowiak, pierwszy od lewej w ostatnim rzędzie stoi inż. Leszek Szpaczynski.

z cenniejszych nagród. Przez lata pracy otrzymałem wszystkie możliwe górnicze medale i odznaczenia. Odszedłem w dobrym zdrowiu, gdyż dopisywało mi górnicze szczęście. Często byłem blisko tragicznych zdarzeń, ale zawsze pięć minut przed albo dziesięć minut po.

■ Związani z Polską Miedzią

Alicję, małżonkę, poznał jeszcze w szkole podstawowej w Lwówku Śląskim. Mają dwóch synów, którzy kontynuują rodzinne tradycje górnicze, obaj pracują w ZG Rudna. Starszy Mariusz jest nadsztygarem w Dziale Wentylacji, Paweł sztygarem zmianowym w Dziale Tępań.

Niemal cała rodzina - jak mówi pan Zbigniew - związana jest z Polską Miedzią. Synowa Agnieszka pracuje w Dziale Maszyn Ciężkich ZG Rudna jako specjalista, druga synowa Jolanta jest ekonomistką w Miedziowym Centrum Zdrowia, a wnuk Dominik uczy się w drugiej klasie Technikum Górniczego w Lubinie i też swoją przyszłość wiąże z KGHM.

Zbigniew Maćkowiak nie zerwał kontaktów ze swoją branżą. W Miedziowym Centrum Kształcenia Kadr szkoli młodych adeptów w zawodzie górnika strzałowego. ■

W grudniu 1984 roku wezwał go do siebie Wiesław Jarmużek, dyrektor ZG Rudna i wydał polecenie: „Masz wrócić do trenowania pierwszej drużyny. Trzeba wywalczyć awans do I ligi, pomożesz w tym trenerowi Eugeniuszowi Różańskiemu”.

Stanisław Samiec, trener i wychowawca, pracownik działu szkolenia. Pracował w ZG Lubin i ZG Rudna w latach 1973 – 1999



Na boisku i pod ziemią

Pochodzi z Zagłębia. Już w wieku ośmiu lat, od wiosny do późnej jesieni, każdą wolną chwilę spędzał na boisku piłkarskim a zimą rozgrywał hokejowe mecze na lodzie.

– Rywalizowaliśmy w hokeja ze Ślązakami. Dzieliła nas rzeka Brynica, obok niej znajdował się staw. Gdy tylko zamarzał, w styczniu i lutym rozgrywaliśmy wielkie mecze. „Ślązacy” kontra „Zagłębiacy”. Oczywiście była też cały czas piłka nożna – od trampkarza, poprzez młodzika, juniora aż do seniora. Grałem w Stali Sosnowiec, później w Zagłębiu Sosnowiec. Miałem tam fantastycznych trenerów, którzy mnie wiele nauczyli, wśród nich byli tak znakomici fachowcy jak: Alojzy Sitko, Włodzimierz Dudek, Teodor Wieczorek i Waldemar Torbus. Oni wszyscy mieli wpływ na moje późniejsze życie – mówi Stanisław Samiec.

■ Nie tylko piłka

Rodzice pana Stanisława nie interesowali się sportem, ale gdy zobaczyli z jaką pasją gra, biega i uprawia inne dyscypliny, zaakceptowali zamiłowania syna, postawili jednak twardy warunek: jeżeli chce uprawiać sport, musi mieć dobre wyniki w szkole. Nie miał problemów z dotrzymaniem

zadania. W podstawówce należał do najlepszych uczniów, podobnie jak w Technikum Górniczo-Hutniczym w Sosnowcu.

Fascynował się nie tylko piłką. Uprawiał lekkoatletykę, z powodzeniem startował w różnych zawodach w barwach klubu Włókniarz Sosnowiec i w reprezentacji województwa katowickiego. Był mistrzem Polski w biegu na 1000 i 2000 metrów z przeszkodami, biegał również na dystansach 800, 1500 i 3000 metrów. W 1959 r. wygrał Centralny Bieg Narodowy. Dzięki umiejętnościom nabytym podczas meczów hokejowych na stawie koło Brynicy, trafił do drużyny hokejowej Startu Katowice, gdzie grał m.in. z braćmi Fąfarami, Ogórczyłem, Burczykiem, Zawadą czy Regulą, późniejszymi reprezentantami Polski.

■ Bramki z kornera

Pogodzenie lekkiej atletyki z piłką nożną było jednak bardzo trudne i gdy w 1962 roku zdał maturę, wybrał piłkę nożną. Wcześniej wprowadził egzamin na Akademię Górniczo-Hutniczą w Krakowie, jednak pasja i miłość do sportu przeważały. Pojechał na kolejny egzamin do Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego we Wrocławiu i został studentem sportowej

uczelnii. Na początku grał w piłkę w drużynach uczelnianych, potem w ościennych miastach, przeważnie tam, skąd pochodzili wykładowcy poszczególnych przedmiotów. Zaczynał jako napastnik w Sosnowcu, później był pomocnikiem, by w końcu trafić do obrony.

- Bywało, że w sezonie strzelałem nawet po 20 bramek. Jako obrońca lubilem zapuszczać się pod pole karne przeciwnika. Byłem etatowym wykonawcą stałych fragmentów gry. Mogę się pochwalić tym, że zdobyłem sześć bramek bezpośrednio z rzutów różnych – wspomina dawne sukcesy.

Został dostrzeżony przez dra Bolesława Dziedzica z Wydziału Szkolenia Wrocławskiego Związku Piłki Nożnej i bardzo wcześnie zaczął pracować jako trener piłkarski. Trafił do PKS Odra Wrocław, z którą święcił pierwsze triumfy jako szkoleniowiec.

- Graliśmy w lidze okręgowej (była równoznaczna z III ligą), podobnie jak w tym czasie Zagłębie Lubin. Sprawiliśmy ogromną niespodziankę w Pucharze Polski. Po pokonaniu Arki Gdynia, Wisły Kraków i Zagłębia Wałbrzych spotkaliśmy się w ćwierćfinale z Górnikiem Zabrze. W Wielką Sobotę na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu, w obecności ponad 30 tys. widzów, wygraliśmy 2:1, by w rewanżu rozgrywanym w Wielki Poniedziałek zremisować 1:1. W półfinale z Polonią Bytom przegraliśmy w pierwszym meczu 0:5, a nasz bramkarz spisywał się bardzo słabo. Zapomniałem, że pochodzi z Bytomia, co mogło stawiać pod znakiem zapytania jego zaangażowanie. Zmieniłem go na Ryszarda Walusiaka, niestety wszystko było już „pozamiatane”. W rewanżu przegraliśmy 3:1. Od tego momentu zaczęła się kariera Ryśka nie tylko w Odrze, ale także w Górniku Wałbrzych i GKS Katowice - klubach z najwyższej klasy rozgrywkowej. Miałem satysfakcję, że to właśnie ja go odkryłem i sprowadziłem z Mili-cza, gdzie grał w... piłkę ręczną – nie kryje dumy pan Samiec.

■ Gromili rywali

W 1973 roku trener Samiec przyjechał z wrocławską Odrą na sparing do Lubina. Sroga lekcja jaką udzielili odrzanie piłkarzom Zagłębia (wygrane 5:0 i 7:0 w rewanżu we Wrocławiu), zaowocowała propozycją angażu na funkcję trenera I zespołu w miedziowym klubie. Rozmawiał z nim Jan Sadecki, wówczas dyrektor



Odznaka za Zasługi dla Sportu, to najwyższe wyróżnienie jakie może przyznać Minister Sportu i Turystyki.

techniczny ZG Lubin. Obiecał panu Stanisławowi pracę, mieszkanie i niezłe wynagrodzenie. Zgodził się, w końcu był absolwentem Technikum Górniczo-Hutniczego. Miał za sobą praktyki w kopalni oraz w hucie, toteż nie przerażała go perspektywa pracy pod ziemią w KGHM.

Zdawał sobie też sprawę, że praca w górnictwie może być ewentualnym zabezpieczeniem na przyszłe lata. 1 lipca przyjechał do Lubina i na okres trzech lat został etatowym pracownikiem Zakładów Górniczych Lubin. Gdy w 1975 roku Jan Sadecki przeszedł na ZG Rudna, on również został przeniesiony do nowej kopalni.

- Aby nie stracić przywilejów, musiałem wraz z innymi zawodnikami jeździć w ZG Lubin dwa, trzy razy w tygodniu na dół kopalni. Nic tam praktycznie nie robiliśmy, czasami pomagaliśmy przy jakiś pracach porządkowych, przede wszystkim chodziliśmy i rozmawialiśmy z górnikami. Przyjmowali nas bardzo serdecznie, dyskutowaliśmy o wielu problemach, oczywiście najwięcej o sporcie.

Drużyna, której trenerem przed nim był Eustachy Poticha, występowała w lidze okręgowej. Grali w niej nieźli zawodnicy, m.in.: na bramce Franciszek Machej i Tadeusz Sambor, na prawej obronie Michał Lewandowski, na lewej Lesław Malawski, w środku defensywy Kazimierz Kucharski i Mieczysław Bak, na pomocy Janusz Kieć oraz Jan Ławnik (ściągnięty z Wałbrzycha), w ataku Sadowski. Gromili rywali w lidze, ale fani i działacze czekali na coś więcej. Te wielkie nadzieje miał spełnić słynny trener Alojzy Sitko, przejmując w 1974 roku Zagłębie od Stanisława Samca, który pozostał w kadrze trenerskiej i zajmował się drużyną rezerw. Kibice na sukcesy nie musieli jednak czekać do zakończenia rozgrywek, bo zespół spisywał się rewelacyjnie w Pucharze Polski. W 1 rundzie pokonali po dogrywce Wartę Poznań, w 1/16 odnieśli sensacyjne zwycięstwo nad mistrzem Polski i obrońcą Pucharu Polski Ruchem Chorzów (3:2). Później nikła porażka z wicemistrzem kraju Górnikiem Zabrze 0:1 zakończyła marzenia o powtórzeniu sukcesów Czarnych Żagań, czy Rakowa Częstochowa, którzy też jako trzeciogigowcy awansowali do finału pucharowych rozgrywek, ale i tak wszyscy byli zadowoleni z minionego sezonu.

■ Na trening po nocce

Kolejny, spektakularny sukces przyszedł w sezonie 1974/1975. Zagłębie awansowało do II ligi, jednak jak prawie każdy beniaminek, zapłaciło frycowe i już po roku znów znalazło się w niższej klasie.

Rezerwami Stanisław Samiec zajmował się trzy lata. Przez ten czas wychował wielu zawod-

ników, którzy trafili do pierwszej drużyny, takich jak: Marek Biegun, Andrzej Orlecki, Adam i Paweł Żuchowscy.

Potem został koordynatorem ds. młodzieży i przez kilka następnych lat pracował z młodym narybkiem. Wrócił też do pracy w kopalni, tym razem bez taryfy ulgowej. W Dziale Szkolenia ZG Rudna zajmował się szkoleniem uczniów szkół górniczych, nowo przyjmowanych pracowników, także organizował praktyki studentów. Ukończył specjalistyczne kursy, zyskał uprawnienia na stopień górniczy i operatora maszyn.

- W dziale szkoleniowym sztygarem był pan Jachim, później Ireneusz Powroźnik i wreszcie pan Opiłowski, sędzia piłkarski z Głogowa. Proponowano, mi funkcję sztygara, ale nie zgodziłem się, zdając sobie sprawę, że mógłbym nie podołać obowiązkowi. Cały czas byłem związany z klubem, w którym szkoliłem dzieci i młodzież. Ponadto zostałem członkiem zarządu Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Legnicy oraz obserwatorem z ramienia PZPN. Mimo nawалу obowiązków nigdy nie pozwoliłem sobie na to, żeby opuścić chociaż jeden dzień pracy. Często bywało tak, że np. w piątek miałem nockę, w sobotę do południa trenowałem z młodymi zawodnikami, po południu, albo do południa w niedzielę, jechałem na obserwację i wieczorem szedłem na nockę do kopalni. Gdy wyjeżdżałem na jakieś zgrupowania, brałem urlop wypoczynkowy. Ciężko było - zwierza się pan Stanisław - ale jakoś wytrzymywałem.

■ Historyczny awans do ekstraklasy

W grudniu 1984 roku wezwał go do siebie Wiesław Jarmużek, dyrektor ZG Rudna i wydał polecenie: „Masz wrócić do trenowania pierwszej drużyny. Trzeba wywalczyć awans do I ligi, pomożesz w tym trenerowi Eugeniuszowi Różańskiemu”.

- Nie miałem na to ochoty, wiedząc, że wcześniej czy później znowu zjawia się „życyliwi”, którzy lubią rzucać kłody pod nogi. Jednak nie mogłem zawieść, bo dyrektor na mnie liczył. W styczniu 1985 roku dołączyłem do sztabu szkoleniowego i w czerwcu mogliśmy się już cieszyć z historycznego awansu do najwyższej klasy. Dokonała tego drużyna w składzie: Janusz Kubot (kapitan), Jarosław Chwaliszewski, Benedykt Bylicki, Mirosław Dragan, Zenon



Wśród wielu niezwykle nobilitujących wyróżnień Stanisław Samiec otrzymał Złoty Medal za wybitne osiągnięcia w rozwoju Piłki Nożnej.

Gurga, Sławomir Kurant, Roman Mądrachowski, Waldemar Pierończyk, Dariusz Płaczekiewicz, Eugeniusz Ptak, Wiesław Stańko, Waldemar Sysiak, Marek Szpularz, Jan Trojnarz, Andrzej Turkowski, Sławomir Wałowski, Jerzy Wichlacz, Jacek Wiśniewski, Tadeusz Wiśniewski – wlicza trener Samiec.

Do sukcesu przyczyniła się również kadra: pierwszy trener Eugeniusz Różański, drugi – Stanisław Samiec, asystent Andrzej Wojciechowski, instruktorzy odnowy biologicznej – Zygmunt Stanowski i Wojciech Wąsik, kierownik drużyny Ireneusz Powroźnik, a także wiceprezes ds. piłki nożnej Mieczysław Kulczycki oraz kierownik sekcji piłki nożnej Zdzisław Giernalczyk.

Wówczas Zagłębie było jednym z największych i prężnie rozwijających się klubów w Pol-

sce. W tym samym roku oddano do użytku nowy stadion Górniczego Ośrodka Sportu w Lubinie, na którym 28 lipca 1985 roku piłkarze Zagłębia rozpoczęli debiutancki sezon w ekstraklasie. W wygranym 1:0 meczu z GKS Katowice, pierwszą bramkę strzelił Eugeniusz Ptak, jeden z najlepszych piłkarzy w historii klubu. Ten pierwszy mecz w I lidze zgromadził na trybunach nowego stadionu aż 30 tysięcy kibiców, co do dzisiaj jest rekordem, jeśli chodzi o frekwencję na meczach Zagłębia. Potem przyszła porażka 0:2 ze Stalą w Mielcu, ale sezon 1985/1986 beniaminek zakończył na przyzwoitym 12 miejscu.

W tym czasie trenera Samca już nie było w kadrze I zespołu. Postanowił odejść i wrócić do pracy z dziećmi i młodzieżą.

– Lekko nie było, brakowało przede wszystkim boisk do treningów. Gdy zaczynałem nowy cykl szkoleniowy – przypomina sobie pan Stanisław – we wrześniu miałem około 130 zapisanych dzieci. Organizowaliśmy gry kontrolne i wybieraliśmy najlepszych. Jedni rezygnowali sami, inni przeprowadzali kolegów jeszcze lepszych od siebie i tak się to kręciło. Na okres zimowy sami załatwialiśmy sale gimnastyczne w szkołach. Gdy powstały nowe boiska, mogliśmy już bardziej efektywnie trenować. Wielu wychowanków grało potem w pierwszym zespole, inni w Polkowicach, Legnicy czy Głogowie, a dalszych miejscowościach regionu miedziowego.

■ Niespełniony talent

W blisko 70-letniej historii klubu (powstał 10 września 1946 r. jako KS „Zawisza” Lubin) przez drużynę piłkarską przewinęły się dziesiątki znakomitych zawodników: Franciszek Machaj, Edward Kiciór, Rudolf Konieczny, Eugeniusz Mycak, czy Eugeniusz Ptak, to legendy lat wcześniejszych. Później pojawili się Janusz Kudyba, Janusz Kubot, Romuald Kujawa, czy dwaj pomocnicy Adam Zejer i Zbigniew Szewczyk, zwani „smerfami”. Mariusz Lewandowski i Radosław Kałużny to wychowankowie, którzy zrobili największe kariery reprezentacyjne. Byli również tak znani piłkarze jak: Jarosław Bako, Piotr Czachowski, Piotr Świerczewski czy Sławomir Majak.

Do najbardziej utalentowanych zawodników należał Dariusz Marciniak, który w barwach Zagłębia grał w latach 1988–1992. Gdy był piłkarzem Śląska Wrocław ubiegali się o niego



Fotografia „rodzinna” triumfatorów w poszczególnych kategoriach Turnieju Mikołajkowego dla uczniów szkół powiatu lubińskiego w Rudnej, w 2004 r. Pierwszy z prawej Ryszard Bukraba, organizator turnieju. Stanisław Samiec po prawej wśród dzieci.

menadżerowie Realu Madryt i Bayernu Monachium, jednak niesportowy tryb życia sprawił, że szybko zakończył nie tylko karierę piłkarską, ale i życie (zmarł w kwietniu 2003 roku, w wieku 37 lat).

Stanisław Samiec był jednym z tych szkoleniowców, którzy usiłowali mu pomóc:

– W 1992 roku zostałem zaproszony przez PZPN do współpracy z trenerami kadry Polski przed olimpiadą w Barcelonie (pod wodzą Janusza Wójcika zdobyliśmy srebrny medal). Byłem na zgrupowaniach reprezentacji, w której znalazł się również Darek Marciniak. Jednak nie potrafił zmienić swojego stylu życia i nie pojechał na olimpiadę. Próbował później kontynuować swoją karierę za granicą, ale nic z tego nie wyszło. Naprawdę szkoda – żałuje Stanisław Samiec.

■ LZS w pierwszej trójce

W 1999 roku Samiec przeszedł na emeryturę i prawie jednocześnie otrzymał propozycję pracy w LZS. Ofertę przyjął bez wahania, został szefem LZS w powiecie lubińskim. Ścisłe współpracował z Kazimierzem Furtakiem, Józefem Ziemiańskim oraz Edwardem Piwowarczykiem.

– Zawsze kochałem sport i to było moją motywacją do pracy szkoleniowej z młodzikami. Stałem się też, aby dzieci ze środowisk wiejskich i małych miasteczek jak najczęściej brały udział w turniejach rangi krajowej i tym samym rozwijały się sportowo. Niestety na co dzień pozbawione były takiej szansy – wyjaśnia swoją decyzję.

Po dwunastu latach zrezygnował z działania w lubińskim LZS, bo nie czuł wsparcia władz samorządowych. Gdy obejmował stery LZS, powiat lubiński plasował się na dziewiątym miejscu w rocznej klasyfikacji dolnośląskich LZS. Potem awansował na siódme i szóste miejsca,



Rok 2007. Turniej samorządowców w Księginiach. Od prawej Stanisław Samiec, Edward Piwowarczyk, Grażyna Józwiak, Ryszard Stasiuk.

a od 2003 roku stale znajdował się w pierwszej trójce. W latach 2006–2008 i 2010 zajmował pierwsze miejsca, natomiast w 2009 i 2011 roku drugie.

Do dziś sport odgrywa w jego życiu ważną rolę, chociaż nie zawsze wszystko szło po jego myśli. Zawsze jednak znajdowali się ludzie, którzy rozumieli jego pasję i w trudnych chwilach mógł na nich liczyć. ■

Nieraz zimno, deszcz, czasem śnieg, a my jechaliśmy pod domy dyrektorów i zgodnie z tradycją budziliśmy ich, grając marsze. Potem w kombinacie, dokładniej w D-1, następowało oficjalne przywitanie. Towarzyszyliśmy uroczystościom wręczania górniczych szpad, kordzików, późnym popołudniem odprowadzaliśmy w pochodzie Stare Strzechy do rynku, gdzie rozpoczynało się widowisko plenerowe Skok przez skórę.

Wacław Janiszewski,
absolwent PWSM
we Wrocławiu.
Kompozytor, aranżer,
w latach 1973 – 1980
i 1991 – 1993 kapelmistrz Orkiestry Dętej
Zakładów Górniczych
Lubin



Pokazać, co im w duszy gra

O tym, że w Lubinie potrzebują kapelmistrza, dowiedziałem się od koleżanki wioloncellistki, która działała w Dolnośląskim Towarzystwie Muzycznym. Ona też dała mi namiary na człowieka z ZG Lubin. Usłyszałem, że uchwałą komitetu zakładowego PZPR, postanowiono utworzyć reprezentacyjną orkiestrę zakładową. Właściwie orkiestra już działała, założył ją na początku 1970 roku Czesław Piątkowski a prowadził Jan Werbowy. Ale skoro jednak miała być reprezentacyjna, a ja byłem zawodowym instruktorem muzycznym ze sporym doświadczeniem, bo prowadziłem zespół estradowy we

wrocławskich Zjednoczonych Zakładach „Archimedes”, pracowałem jako muzyk-puzonista w bydgoskiej operze i operetce, a także w operze wrocławskiej, więc podjąłem się tego zadania.

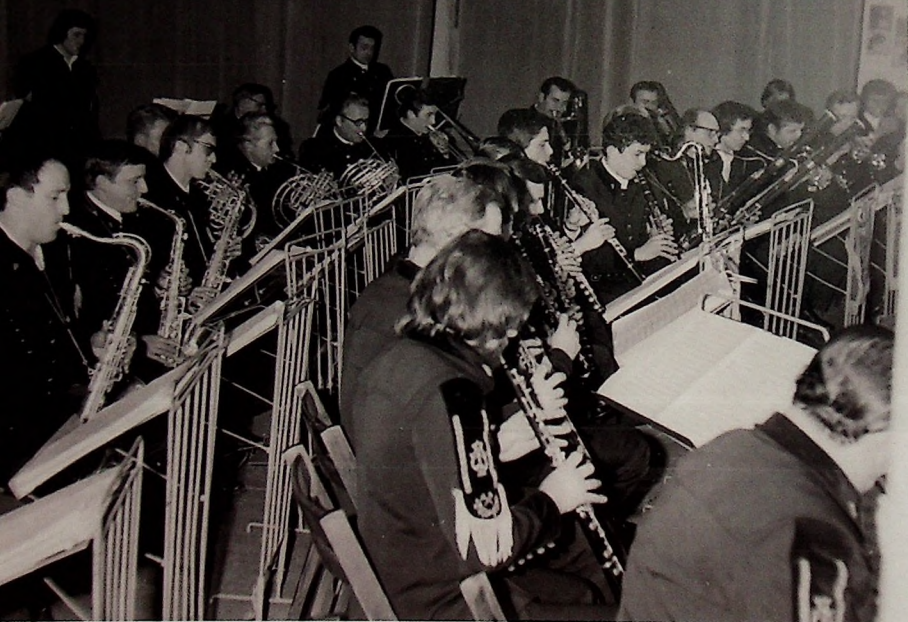
■ Im się oczy zaświeciły

Przez dłuższy czas nie mogłem się dostać do dyrektora pracowniczego - Władysława Chmielewskiego, któremu chciałem przedstawić swoje kompetencje i oczekiwania. Ciągle był nieuchwytny, w końcu jednak udało się. Posłuchał, przeczytał moje papiery i zapytał wprost: „Ile pan miał w operze?”. „Dwa tysiące pięćset złotych”

- odpowiedziałem. „A ile pan chce?”. Nieco wystraszony wypaliłem: „Pięć tysięcy zł”. Dyrektor odpowiedział: „Dobrze!” - i tak została ustalona wysokość mojej płacy. To był początek 1972 roku. Byłem po słownych ustaleniach, ale wciąż

tylko perkusisty nie było z zestawem. W końcu powiedziałem: „Mam coś dla was!” i wyciągnąłem „Powołanie” - Gdy piosenka szła do wojska - pisane dla orkiestry wojskowej. To już było poważne granie i oni dali radę.

Lubińska orkiestra wyróżniała się bogactwem instrumentów we wszystkich sekcjach.



nie miałem angażu w ręce. W zakładzie wyznaczili mi już zajęcia „przymiarkowe” z orkiestrą w poniedziałki i czwartki, i ludzie zamiast zjeżdżać na dół do kopalni, stawiali się na próby trwające od godziny ósmej do czternastej, a we wtorki i piątki prowadził z nimi zajęcia kapelmistrz Jan Werbowy.

Pamiętam, przyszedłem pierwszy raz, zaprezentowali mi kilka utworów. Stwierdziłem, że jak na amatorską orkiestrę, to grają zupełnie dobrze, ale najbardziej cieszyłem się z bogactwa instrumentów. Miałem komplet instrumentów wszystkich sekcji, chyba jedynie fletu brakowało. Klarnety były w pełnym składzie, trębaczy dużo, trzech puzonistów, trzy głosy: basy, alt, alcy i pięć saksofonów. No, jeszcze

Po którymś spotkaniu, gdzieś na stołówce, okrążyli mnie i mówią: „Pan musi do nas koniecznie przyjść! My wszystko zrobimy, żeby pan do nas przyszedł!”. Wiedziałem, że to było szczere, bo tak im się oczy zaświeciły do tego nowego repertuaru, że ho ho.

■ Z opery na kopalnię

Wciąż jednak nie było wiadomo, co z moim angażem. Co miesiąc dzwoniłem do dyrektora, a on odpowiadał, aby czekać. Wreszcie we wrześniu usłyszałem w słuchawce: „Może się pan zwalniać z opery!”. Oczywiście zgodnie z przepisami musiałem odczekać trzy miesiące, dlatego formalnie rozpocząłem pracę od drugiego stycznia 1973 roku.

Jako etatowiec zamieszkałem na pierwszym piętrze w hotelu robotniczym D-25, nad znajdującym się na parterze Domem Kultury ZG Lubin, z Marianem Skórskim, jako kierownikiem działu informacji, propagandy i kultury. W pierwszym dniu mojej pracy doszło do spotkania, w którym uczestniczył naczelny dyrektor Adam Jesionek (fantastyczny człowiek), dyrektor pracownicy Władysław Chmielowski, Jan Werbowy i ja. Dyrektor Jesionek powiedział: „Jeśli pan Janiszewski się zgodzi, to pan Werbowy będzie drugim kapelmistrzem”. A ja zaproponowałem, aby Werbowy utworzył ze swoich uczniów orkiestrę młodzieżową. Wówczas dyrektor Chmielowski zaproponował dyrektorowi Zdzisławowi Jurczykowi, by zorganizował w swoim Zespole Szkół Górniczych salę prób dla młodzieżowej orkiestry. I Jurczyk przykładał temu pomysłowi.

Pan Werbowy niestety, zabrał ze sobą cały materiał nutowy, a orkiestra bez marszówek, jest jak samochód bez rejestracji. Może jeździć po podwórku, ale na ulicę mu nie wolno. Wybierałem więc spośród swoich instrumentalistów tych, którzy umieli czytelnie pisać nuty i zamiast do kopalni przychodzili do mnie na ósmą rano, i do czternastej przepisywali marsze, bo każdy muzyk musiał mieć własną „marszówkę”. Roboty było pełno: obowiązkowo należało mieć nuty do hymnu państwowego, hymnu ZSRR, Międzynarodówki, a także co najmniej do dziesięciu innych marszów. Musiał w nich być m.in. Marsz Powitalny i „Warszawianka”. Z czasem dopracowaliśmy się ponad dwudziestu marszów. Stałych było sześć, ale jak przychodził okres pierwszomajowy, to „młóciliśmy” wszystkie.

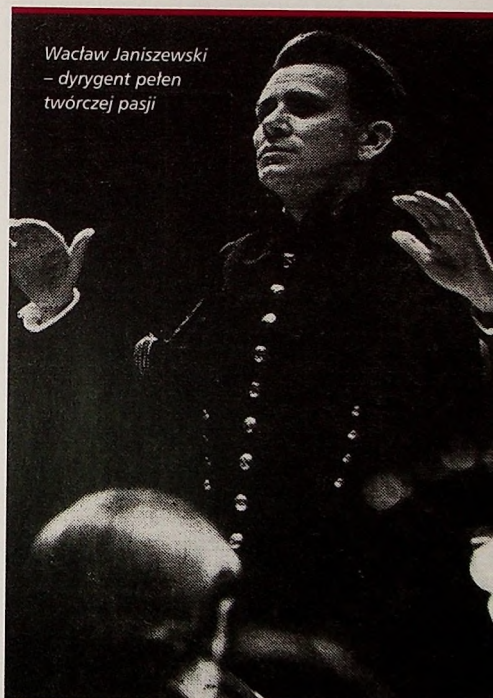
Jakoś przed pierwszą Barbórką okazało się, że nie mamy hymnu górniczego. Otrzymałem jakiś wzorcowy, zrobiłem do tego wstęp, zapominając, że hymny gra się bez wstępów. Było trochę zdziwienia, ale hymn z tym wstępem nawet się ludziom spodobał i przetrwał do dzisiaj, bo grają go na „Rudnej” i w „Polkowicach”. Aktualnie jest dostępny w wydawnictwie Fraza.

■ Miauknęli, zamiast grać

Wprowadziłem wiele zmian repertuariowych. Grywaliśmy Bizeta, Gershwin, Lehara, Verdiego, Moniuszkę i Czajkowskiego, a obok utwory muzyki rozrywkowej. Nuty zdobywałem

w Wrocławiu. Zwykle, gdy wracałem do domu na sobotę i niedzielę, starałem się je wypożyczyć od wrocławskich orkiestr wojskowych. Oczywiście trzeba było je przepisywać, bo w tamtych czasach, podobnie jak w przypadku map strategicznych, ich kopiowanie było zabronione. Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych wysledzał każdą nieprawidłowość i kładł na tym swoją rękę. Stąd też, gdy pracowałem w ZG Lubin, to wieczorami, w hotelowym pokoju, przepisywałem te nuty, jak egipski skryba.

Pierwszy występ przypadł na rocznicę wyzwolenia Lubina. Staliśmy pod Pomnikiem Wdzięczności naprzeciw Szkoły Podstawowej nr 4. Oczywiście stawiała się generalicja z okolicy. Byłem ubrany w płaszczu, w czako z białoczerwonym pióropuszem. Chwyciłem za buławę i heja z naszym hymnem państwowym. A tu... miauknęło mi z przodu kilku instrumentalistów, a reszta cicho. W mig zorientowałem się, że ludzie nie widzą buławy, bo trzeba było ją wziąć bardziej od dołu i mocniej wybić.



Wacław Janiszewski
– dyrygent pełen
twórczej pasji

Węc chwyciłem ją właściwie i orkiestra zagrała w komplecie. Oczywiście w tamtym czasie obojętnie wykonywaliśmy bardzo trudny pod względem realizacji, hymn Związku Radzieckiego

Inną stresującą sytuację miałem podczas imprezy okolicznej, na stadionie lekkoatletycznym przy Odrodzenia. Ludzi przyszło dużo, graliśmy marsze. Wiesiek Suszek - pierwszy kornecista, rzucił pomysł, by zagrać Orła Białego - przedwojenny marsz, rzadko wykonywany, bo w trudnej tonacji - z sześcioma bemolami. Zgodziłem się na tę propozycję. Gramy, gramy, ale słyszę, że ten pierwszy kornecista nie uwzględnił tego bemola, aż się po stadionie rozległo... Spotyka mnie inż. Masłowski i sekretarz KZ PZPR i pyta: „To pebekowska orkiestra grała?”, „Niestety, to nasza” - przyznałem. Zapytał: „Ale nie wszyscy byli?”, „Nie, nie puścili mi z dołu Skirgajły” (Witold Skirgajło - barytonista). Następnego dnia graliśmy w rynku i znów doszło do spotkania z inż. Masłowskim. Graliśmy tym razem bez zastrzeżeń, ale pro forma spytałem: „Panie inżynierze, teraz dobrze?”. „Tak, nawet bardzo dobrze!” - ocenił Masłowski. To delikatne „pytanie”, które zadał mi poprzedniego dnia, było jedyną formą przygany, jaką otrzymałem w pracy z orkiestrą w ciągu ośmiu lat. I wyciągnąłem z tej sytuacji wnioski: Nie wolno wykonywać nieprzegranych utworów, choć czasem nawet jak są ograne, mogą się zdarzyć niespodzianki.

Tak się kiedyś stało, gdy graliśmy w amfiteatrze za DKZM. Wykonywaliśmy światowy standard jazzu tradycyjnego „Tiger Rag” La Rocca, zaaranżowany na big band, a potem przeze mnie opracowany na orkiestrę dętą. Właśnie weszła grupa blaszana kontra saksofony i klarnety, gdy nagle słyszę, że jeden z kornecistów chyba jest na kacu, bo gra coraz szybciej. Usiłuję dać mu jakiś sygnał wzrokiem, ale on kurczowo patrzy w nuty, ani spojrzeć w moim kierunku. Jest coraz gorzej, w pewnej chwili w orkiestrze powstaje zamieszanie, ale zaraz to wszystko wyrównuje i kończymy utwór wszyscy razem.

■ Rogi dla orkiestry

Pierwotną formą rogu (instrumentu) był róg pochodzenia zwierzęcego. Z czasem powstały rogi blaszane, które na stałe weszły do orkiestry symfonicznej. Pewnym kłopotem była ich

nazwa, bo jak nazwać takiego instrumentalistę? Są trębacze puzoniści, tubiści więc analogicznie o grających na rogu wypadłoby powiedzieć rogacze, rogiści. Nikt jednak nie chciałby zostać nazwany rogaczem, więc po zapożyczeniu z języka niemieckiego słowa Waldhorn powstała polska nazwa - waltornia, potocznie zwana rogiem. Pamiętam, kiedyś wrocławska opera miała do sprzedania światowej sławy waltornie - piękne brzmienie i w bardzo dobrym stanie. Zanimiłem do dyrekcji pismo z prośbą o zakup tych instrumentów. Na drugi dzień wstąpiłem do sekretariatu, by sprawdzić jakie są losy podania. Sekretarka, pani Wanda, powiedziała, że pismo jest u naczelnego. Za chwilę wyszedł z gabinetu dyrektor Jesionek w towarzystwie głównego księgowego - magistra Zdzisława Pakuły i powiedział: „Nasz pan magister ma wątpliwości, czy w naszej orkiestrze są potrzebne rogi”. A ja odrzekłem: „Ważne żebyśmy my rogów nie mieli, a to czy są potrzebne w naszej orkiestrze, to rzecz kapelmistrza”. Dyrektor powiedział: „Oto pańskie pismo” - rozumiał nasze potrzeby i na zakup instrumentów się godził!

■ Jak za Glenna Millera

Któregoś dnia na lotnisku graliśmy sambę „Brasila”, „Powołanie”, „To był świat w zupełnie innym stylu” itp. Przyszedł do nas dyrektor Jesionek i nie ukrywał zadowolenia z naszego występu, wtedy, korzystając z okazji, zagadnąłem: „Panie dyrektorze, zrobimy koncert?”. Odpowiedział: „Proszę bardzo! Niech kolega Marian Skórski organizuje koncert w DKZM”.

Dwudziestego września odbył się nasz pierwszy koncert w sali widowiskowej DKZM w Lubinie. Repertuar był bogaty i urozmaicony - od klasyki do muzyki rozrywkowej. Wśród solistów wystąpiła również moja małżonka - Renata Krzywik-Janiszewska.

W Nowej Miedzi z 15 października 1973 roku napisali: „Długo niemilkące brawa nagradzały każdy zaprezentowany utwór. Publiczność była zachwycona i zaskoczona niesłychanie wysokim kunsztem opanowania instrumentów, ambitnym i trudnym repertuarem, mistrzostwem dyrygenta”.

W stosunkowo krótkim czasie nasza orkiestra odniosła sporo spektakularnych sukcesów. Zdobyliśmy m.in. doroczny Puchar Prasy Studenckiej, koncertowaliśmy w Radiu, w Telewi-

*Renata i Wacław
Janiszewscy - przed
wyjściem na scenę.*



zji, a także poza granicami kraju. Słuchający nas kiedyś Jerzy Waldorff powiedział: „Ależ gra tego zespołu przypomina mi świetne czasy amerykańskich orkiestr Glenna Millera i Duke Ellingtona...”. Była to dla nas ogromnie zaszczytna opinia. Moi instrumentalści, po ciężkiej pracy, potrafili grać tę „muzykę duszy”. Starali się wykonywać ją coraz doskonalej, a ja byłem po to, by im to umożliwić.

■ Korona mi nie spadała

Pamiętam, jak Jurek Bączek raz kiedyś nie przyszedł na próbę, to zaraz na następnym spotkaniu dopytywał się i sprawdzał, co nowego go ominęło. Nie traciłem czasu, nawet kiedy przyszła garstka, także pracowaliśmy. Ludziom się to podobało, a ja chciałem z każdego muzyka wyciągnąć jak najwięcej. W ciągu ośmiu lat pracy zrezygnowałem jedynie z dwóch osób. Zawsze tego najsłabszego „ciągnąłem za uszy”, bo „pierwszemu” dwa słowa wystarczały i on sam sobie wszystko wywyczyił. Był taki waltornista,

któremu granie szło bardzo opornie. Kiedyś okazało się nagle, że będziemy grać na pogrzebie. Miałem trudności ze skompletowaniem zespołu i tylko on jeden miał grać na waltorni. Obawiałem się, że nie podoła zadaniu, a on tak pięknie pociągnął... Była to dla mnie najwspanialsza nagroda. Ja też lubiłem ludzi nagradzać. Kiedy tylko mogłem, zezwalałem na solówki, by każdy miał okazję pokazać, co umie, „co mu w duszy gra”. Nigdy też nie dawałem dwóch muzyków do jednego utworu, każdy z nich miał swoje solo.

W ciągu mojej pracy w górniczej orkiestrze doczekałem się siedemnastu solistów: Romuald Barski (saksofon tenorowy), Jerzy Bączek (klarnet), Zdzisław Cieślak (klarnet), Czesław Dawidowicz (puzon), Jan Gut (saksofon altowy), Janusz Władysław Klimek (puzon), Janusz Koziaż (klarnet), Andrzej Młynaryk (klarnet), Rajmund Patyk (saksofon altowy), Janusz Pensik (saksofon altowy), Roman Sadło (tuba), Edmund Senska (kornet), Wiesław Suszek (kornet), Stanisław Wdowicki (klarnet), Andrzej Wierzbński (puzon), Edward Wiśniewski (puzon), Zbigniew Woch (klarnet).

Jednym ze zdolniejszych muzyków był klarnecista Jurek Bączek, który bardzo lubił improwizować. Na klarnetach grali także jego bracia: Jan - wieloletni prezes zarządu orkiestry i Tomek. Czasami zapraszano mnie na jakąś chałturę, a ja: „Czemu nie!”. Chętnie dawałem się wyciągać, bo czasem chciało się ludziom pograć do tańca, ich korona mi z głowy nie spadała...

■ Polityka kontra poetica

Z różnych stron napływały do nas zaproszenia. W 1974 roku występowaliśmy na święcie Gazety Robotniczej, defilowaliśmy przed trybuną honorową w dniu 22 lipca w Warszawie, koncertowaliśmy również dla mieszkańców stolicy. Uczestniczyliśmy w I Koncercie Orkiestr Dętych Zagłębia Miedziowego, a nasz zespół estradowy zdobył wyróżnienie na IV Festiwalu Piosenki Górniczej w Bytomiu.

Nie obyło się jednak bez nieprzyjemności. Brałszy udział w Monstrkoncercie w Rtyni (CSRS). Już od samego początku się nie układało. W trakcie wyjazdu wymieniono nam auto-
kar, bo z jakichś powodów nie wolno było wjechać do Czechosłowacji sanem, tylko ikarusem. Ostatecznie dojechalismy do Rtyni, z dużym

Koncert na scenie
sali widowiskowej
DKZM.



opóźnieniem. Z tego powodu gospodarze nie pozwolili nam uczestniczyć w próbie utworu, który miał być wspólnie wykonany podczas koncertu. Sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta, gdy nie pozwolono nam zaprezentować specjalnie przygotowanej w tym celu arii z opery „Rusalka” Antoniego Dwořzaka. W następnym dniu imprezy okazało się, że arię tę wykonała solistka orkiestry wojskowej z Hradca. Byliśmy przygnębieni taką niegościnnością, snuliśmy domysły, że ma ona związek z wojskową interwencją z 1968 roku.

Końcówka roku 1974 przyniosła dramatyczną wieść - nagle zmarł Jan Wyżykowski. Właśnie pożegnałem się ze swoimi muzykami w związku ze świętem zmarłych, gdy otrzymałem z dyrekcji polecenie wyjazdu z orkiestrą na pogrzeb Wyżykowskiego do Warszawy. Zebrałem zespół z wielkimi trudnościami i w pierwszych dniach listopada pojechalśmy autokarem do Warszawy. Chowano go na Powązkach. Myślałem, że będziemy „dodatkiem” do wienca KGHM, bo przybędzie reprezentacja Wojska Polskiego

i ewentualnie inne, uznane orkiestry. Okazało się jednak, że byliśmy jedynym zespołem, który żegnał tak wielce zasłużonego rodaka. Ktoś z przyjaciół odkrywczy podszedł do nas: „Dobrze, że przyjechaliście Jasiowi pograć!” – powiedział.

■ Owacje za Błękitną

Jeszcze w 1974 roku uzyskałem pierwszą nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Kompozytorskim, za skomponowanie „Małego Tryptyku Dolnośląskiego” na orkiestrę dętą. W 1976 roku Urząd Wojewódzki w Legnicy nadał mi uprawnienia instruktora muzycznego Kategorii Specjalnej.

Szczególnym wydarzeniem w 1978 roku był koncert z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet, organizowany w ramach obchodów 30-lecia Dolnośląskiego Oddziału Związku Chórów i Orkiestr. Wtedy, po raz pierwszy w historii DKZM zabrzmiała w sali widowiskowej Błękitna Rapsodia. W Nowej Miedzi z 18 marca 1978 roku pisano: „Rhapsody in Blue”... choć orkiestra zwyczajna - dęta, górnicza - wprost kłuje w oczy niezwykłością stylu i repertuaru. Ucieczka od typowo marszowego programu obwałowanego przez inne tego typu zespoły - niecałkowicie oczywiście - była znakomitym pomysłem... Na perłę gershinowskiego repertuaru legendarną i nieśmiertelną „Błękitną Rapsodię” przyszło jednak lubińskim melomanom czekać aż dwa lata.

„Błękitna Rapsodia” wykonana została dobrze, a przyjmując odpowiednie kryteria - przecieć to tylko muzycy amatorzy - należałoby użyć określenia znakomicie. Sądzę, że solista Juliusz Adamowski z PWSM we Wrocławiu nie miał powodów do niezadowolenia. Publiczność była zachwycona i zgłosiła muzykom prawdziwą owację”.

■ Hejnał dla Lubina

Oczywiście każdego roku czasem bardzo wzmożonej pracy była dla nas Barbórka. Czwartego grudnia orkiestra musiała być gotowa już o piątej rano. Nieraz zimno, deszcz, czasem śnieg, a my jechaliśmy pod domy dyrektorów i zgodnie z tradycją budziliśmy ich, grając marsze. Potem w kombinacji, dokładniej w D-1, następowało oficjalne przywitanie. Towarzyszyliśmy uroczystościom wręczania górniczych szpad, kordzików, późnym popołudniem od-

prowadzaliśmy w pochodzie Stare Strzechy do rynku, gdzie rozpoczynało się widowisko plenerowe Skok przez skórę.

Miałem też różne, niepowtarzalne zlecenia. Pamiętam, jeszcze pod koniec 1974 roku przyszli do mnie państwo Wanda i Bronisław Goebłowie z Towarzystwa Miłośników Ziemi Lubuskiej. Zaproponowali, bym skomponował hejnał miasta Lubina. Wymawiałem się, że jestem zwykłym kapelmistrzem, proponowałem kontakt z Wrocławskim Oddziałem Związku Kompozytorów Polskich, ale Goebłowie stanowczo mówili: „Pan niech nam napisze!“. Napisałem ten hejnał, przedstawiłem trzy propozycje - dwie na instrumenty dęte, a trzecią na wibrafon. Najbardziej podobała się wersja trzecia. Nagrałem tę wybraną wersję, a potem jeszcze drugie nagranie zrobił Jurek Kuś - znany lubuski pianista. Już po wszystkich Goebłowie ponownie mnie odwiedzili, koniecznie chcieli się ze mną rozliczyć. Tłumaczyłem, że napisanie hejnału było dla mnie wielkim zaszczytem, dlatego nie chciałem przyjąć żadnych pieniędzy. Gdy na drugi rok otrzymałem Indywidualną Nagrodę

Powiatową, domyślałem się, że państwo Goebłowie postawili jednak na swoim. A hejnał przez kilka lat grano cztery razy dziennie, na cztery strony świata.

■ Ściągałem najlepszych

Lata spędzone w ZG Lubin zaliczam do najpiękniejszego okresu mojej pracy zawodowej. Mogłem wykonywać utwory jakie chciałem, poczynawszy od muzyki lekkiej po największe dzieła muzyki operowej i symfonicznej. Owszem, jest we Wrocławiu opera, filharmonia, operetka, ale ilu ludzi z Lubina tam bywa? Jak tylko mogłem, ściągałem na Miedź te najpiękniejsze głosy. Moja żona Renata Krzywik-Janiszewska miała w repertuarze utwory z zakresu muzyki dawnej, operowej, operetkowej i piosenki. Występowała na estradach krajowych i zagranicznych, m.in. w Mediolanie, Parmie, Wiedniu, Kolonii, Lunewille, Berlinie i Pradze. W późniejszym czasie doszła do nas również wspaniała solistka-sopranistka Natalia Potemkowska. Był Antoni Bogucki, bas-baryton, jako solista ma w dorobku kilkadziesiąt partii operowych, m.in. Leporello

Jubileuszowy koncert na 10-lecie orkiestry.





Programy i zaproszenia na koncerty projektowała Bożena Ciskowska - zakładowa plastyczka.

w „Don Juanie”, Papageno w „Czarodziejskim flecie”, Pimena w „Borysie Godunowie”, Zbigniewa w „Strasznym Dworze” itd., a także liczne koncerty z filharmoniami i orkiestrami symfonicznymi. Publiczność lubińska oklaskiwała również Stanisława Stelmaszka - tenora, solistę operetki - największe sukcesy odnosił w repertuarze leharowskim m.in. „Cygańska Miłość”, a po premierze „Krainy uśmiechu” został nazwany „wrocławskim Tauberm”. Oprócz pracy w operetce występował w Radiu, TV, na estradzie oraz z licznymi orkiestrami symfonicznymi w całej Polsce, a także za granicami kraju. Ci najlepsi występowali z nami.

O naszych koncertach zawsze informowaliśmy poprzez programy i zaproszenia, które projektowała każdorazowo Bożena Ciskowska (plastyczka z ZG Lubin). Wyjątkiem był program i zaproszenia na jubileuszowy koncert 10-lecia orkiestry, które zaprojektowała Sabina Nychter. Często sam roznosiłem te zaproszenia. Oczywiście stwarzałem pewną fikcję, bo wstęp był wolny, ale starałem się w ten sposób podkreślić rangę koncertu, przydać wydarzeniu jeszcze większej wytworności.

■ Jak zderzenie czołowe

Zmiany kadrowe w dyrekcji ZG Lubin miały wpływ na klimat wokół naszej orkiestry. Było trudniej o zrozumienie naszych potrzeb, a nawet pojawiały się nieprzyjemne intrygi.

W tym czasie opera wrocławska, z którą cały czas współpracowałem, przygotowywała się z operetką „Student żebrak”, do tournée po Zachodzie - RFN, Luksemburg, Szwajcaria. W związku z tym zaproponowano mi przejście na etat do opery. Wydarzenia te zeszły się z 10-leciem naszej orkiestry dętej. Daliśmy piękny koncert, dyrektor Józef Szczerba był na nim, słuchał i się zachwycał. Oprócz jubileuszowej nagrody, którą otrzymaliśmy jako zespół, dostałem jeszcze nagrodę specjalną. Dowiedziałem się też, że dyrektor postanowił połączyć orkiestrę młodzieżową z moim zespołem. Zniechęciło mnie to zupełnie. W efekcie doszło do zderzenia czołowego - dyrektor dał mi nagrodę, a ja mu wypowiedzenie.

Gdy wyjazd na tournée był już dopięty, nagle zapadłem na zdrowiu. Podejrzewano zawał, szczęściem było to tylko migotanie lewego przedsionka. Po dwóch tygodniach w szpitalu moja lekarz stwierdziła: „Będzie mógł pan je-

chać, ale bez dźwigania czegokolwiek!". Jak nie dźwigać, gdy puzon ma taki wielki futeł? Szczęściem kolega (puzonista) - góral spod Limanowej zgodził się nosić za mnie instrument i walizkę. Pojechaliśmy i był to naprawdę dobry kontrakt, samej diety mieliśmy po 35 marek dziennie.

Na wniosek muzyków z kopalni Lubin, po 10 latach przerwy, Waław Janiszewski ponownie przyjął się do ZG Lubin jako kapelmistrz zakładowej orkiestry dętej. Prowadził ją od 1 października 1991 roku do 30 września 1993 roku, gdyż nie odnalazł dawnego klimatu w relacji dyrekcja - kapelmistrz.

Przez cały okres działalności w Lubinie, współpracował z księżmi Salezjanami. Owocem tej współpracy było opracowanie na orkiestrę dętą około 60 pieśni religijnych, wydanych w 1991 roku przez PZChO, a przede wszystkim skomponowanie w 1978 roku muzyki do mszy w stylu dixieland „O zmartwychwstaniu w Radości”, nagrodzonej na Festiwalu Pieśni Religijnej „Sacrosong” w Częstochowie. Szczególną wartość ma dla kompozytora dyplom uznania z podpisem Kardynała Karola Wojtyły. Rok później, w czerwcu, odbył bezpośrednie spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II na Jasnej Górze.

Mnogość propozycji wypełniła lukę po odejściu z Lubina. Między innymi w styczniu 2000 roku opracował i nagrał marsz na potrzeby angielskiego serialu „Anna Karenina”. W tym samym roku organizował, prowadził i aranżował utwory na orkiestrę dętą, na Koncert Finałowy XXI Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu oraz uczestniczył w nagraniu płyty z tej okazji. W latach 2002 i 2003 brał udział w pracach jury Międzynarodowego Konkursu Big-bandów w Decinie (Czechy), ale postępująca

Doroczna biesiada muzyków i ich małżonek. Wśród gości zaproszonych jest Waław Janiszewski (pierwszy od lewej), obok jego dawni muzycy (grudzień 2014 rok.).



choroba uniemożliwiła mu ich kontynuację.

Dorobek twórczy Waława Janiszewskiego to około 100 kompozycji i ponad 300 aranżacji i opracowań. Kilkadziesiąt z nich zostało wydanych przez Zarząd Główny Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie oraz Wydawnictwo FRAZA we Wrocławiu.

Ma wiele odznaczeń, m.in.: Zasłużony Działacz Kultury, Odznaka za Zasługi dla Województwa Legnickiego, Złota Odznaka Budowniczego Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego, Brązowa oraz Złota Odznaka Polskiego Związku Chórów i Orkiestr.

1 października 2010 roku otrzymał od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Srebrny Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

W ubiegłym roku otrzymał odznaczenie Zasłużony dla Zakładów Górniczych „Rudna”.

Wprawdzie problemy zdrowotne ograniczają jego aktywność, nadal tworzy i pozostaje w kontakcie z lubińskimi muzykami, wspierając ich swoją wiedzą. ■

Przed kopalnią masa ludzi: 500 czy 700 osób, bo druga zmiana nie zjechała. W oknach cechowni panowie z kamerami, aparatami fotograficznymi, ale ja już szedłem na żywioł. Ciasno otoczyli mnie ludzie, żeby ubecy nie mieli dojścia. Podleciał naczelny dyrektor „Rudnej” Władysław Jarmużek: „Chłopie, co ty robisz? Będę musiał waszą firmę wyrzucić z robót!”. A za chwilę to samo nasz dyrektor Janusz Lipiński: „Panie Władku, przez pana ludzie pracy nie będą mieli”. A ja do nich spokojnie: „Panowie, nie jesteście partnerami do rozmowy, to nie ten szczebel. Idźcie lepiej razem na koniak, ja muszę robić swoje”.

*Władysław Grocki,
elektromonter górniczych
urządzeń podziemnych w SOWI/
ZRG/PRG i ZG Rudna,
działacz NSZZ Solidarność, uczestnik
Okrągłego Stołu.
Pracował w latach
1975 – 2006*



Też przeskakowałem przez płot

Zamierzałem być kierowcą, jak mój ojciec, ale on nie chciał o tym słyszeć. Mówił, że to ostatni zawód, bo czy to śnieg, czy mróz albo zawierucha, trzeba być w drodze. Ojciec był kierowcą frontowym, poszedł do armii gen. Berlinga w 1943 roku, jako szesnastolatek. Może i z powodu przejść wojennych miał trudny, a czasem i ciężki charakter, jednak wiele mu zawdzięczam. Jak choćby to, że

się nauczyłem grać na akordeonie i że zostałem elektrykiem - to on doradził mi ten fach. W czasie wojny, w niewoli, był pomocnikiem Niemca - elektryka; bardzo mu się ta robota podobała. Powtarzał mi: „Władek, to jest zawód dla mądrych, bo zanim coś zrobisz, musisz dobrze pomyśleć”.

A akordeon? Ojciec kupił mi ruską Melodię; ten instrument przypominał mu lepsze chwile na

froncie, kiedy żołdacy chwyłali za harmoszki, no i zaczynały się wtedy śpiewy i tańce. (Teraz już przygrywam na szóstym akordeonie). Jemu też zawdzięczam postawę wobec peerelowskiej rzeczywistości, z którą nigdy się nie pogodził. Kiedy dorosliśmy, powiedział mnie i bratu, który uczył się w dęblńskiej „Szkole Orłąt”, że gdyby któremuś z nas przyszło do głowy zapisać się do partii, to ma zmienić nazwisko i więcej się w domu nie pokazywać.

■ Pływałem na regatach

Poszedłem do zawodówki górniczej w Złotorii a potem do Technikum Górnictwa Rud Miedzi w Lubinie. Mieszkalem w internacie, gdzie kierownikiem był Stanisław Śnieg. Jemu z kolei zawdzięczam moją życiową pasję - żeglarstwo. W internacie organizował dla chłopaków żeglarskie kursy (prowadził je Jurek Pisowacki) i zabierał nas do Lubiatorowa. Jechaliśmy tam „stonką”, kopaliśmy fundamenty pod pierwszy hangar i zczyściliśmy łajby. W 1973 roku, na pierwszym żeglarskim obozie, zdobyłem patent żeglarza, później sternika. Z Irkiem Leszczyńskim pływalismy ponad dwa sezony regatowo na zawodach. Co roku jestem na wodzie; ile razy na Mazurach - nie zliczę, oprócz tego pływam po morzach: Bałtyckim Śródziemnym i Adriatyckim, jako komandor prowadziłem rejsy, głównie na Mazurach. Żaglami zaraziłem około 150 ludzi, w tym znaczną grupę byłych ministrantów z mojej dawnej parafii św. Klemensa ojców redemptorystów w Głogowie. Kiedy w 1996 roku zjechali się z różnych zakątków kraju i z zagranicy na obchody 50-lecia obecności tego zakonu na Ziemiach Zachodnich, od razu chętnych wyciągnąłem na wodę. A w pracy, przez trzy sezony delegowano mnie do organizowania i zabezpieczaniu obozów żeglarskich.

■ Pedro, czyli Władek

Po ukończeniu technikum, w 1975 roku, pojechałem na ZG Polkowice załatwiać sobie



Podczas rejsów Pedro nie rozstaje się z akordeonem. Obok - sztygar zmianowy Darek Boroń.

pracę. Tam spotkałem Tadeusza Bobikę, żeglarza: „Pedro, czego tu szukasz?” - zapytał. (Pedro - to moja żeglarska ksywka). Tadek pracował w SOWI (Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycji). „Jak chcesz zarobić, to przyjmij się do nas” - zachęcał. Posłuchałem jego rady. W SOWI spotkałem wielu ze starego zagłębia, m.in. Mieczysława Końkowskiego z Leny, Bolka Chabiora czy Bronka Kaszczyszyna. Kiedy zaczynałem pracę, spod Złotoryjskiego Ośrodka Kultury startowało do kopalni ponad 10 autobusów. Teraz: jeden i to niepełny na ZG Lubin i jeden na „Rudną”.

Przydzielono mnie na Polkowice Głównie, na oddział montażowy kierownika Syngajewskiego. Montowaliśmy taśmociągi, rozdzielnie,

podstacje. W następnym roku dopadł mnie „dzi-ki pobór” do wojska. Chciałem trafić do oficer-skiego Jacht Klubu Kotwica, a wysłali mnie do pułku inżynieryjno-budowlanego w Zabrze. Za karę, bo rzekomo ukrywałem się, no i w WKU głośno powiedziałem, że „macie burdel w pa-pierach”; słali wezwania do internatu w Lubinie zamiast do Złotoryi. Byłem wściekły, że ominie mnie służba pod żaglami.

Pomyślałem: trudno nie będę pływał, ale nie stracę tych dwóch lat. Organizowałem rajdy gór-skie, grałem na akordeonie i śpiewałem w Śląskiej Estradzie Wojskowej, w Teatrze Wojskowym „Moro”. Jak zwykle, wszędzie było mnie pełno; spo-śród 250. rekrutów to ja przemawiałem w imieniu kolegów podczas przysięgi i potem gdy szliśmy do rezerwy. Uczyłem się, bo chciałem zdawać na stu-

cywilą. Już 37 lat jesteśmy razem - muszę przyznać - że łapię się na tym, że kocham ją coraz bardziej. Po wojsku znowu kopalnia, z czasem tak się wcią-gnąłem w robotę pod ziemią i tę „podziemną”, że zrezygnowałem z dalszej nauki.

■ Ciągłe śpiewałem

Po powrocie z wojska skierowali mnie na Rudną Zachodnią, do komory maszyn ciężkich; jako elektryk samochodowy naprawiałem alter-natory, rozruszniki do maszyn dołowych itp. Przy robocie ciągle śpiewałem, darłem jąpę, że słyhać mnie było z daleka. Jak ktoś mnie szu-kał, to koledzy mówili: idź w tamtą stronę, jak usłyszysz śpiew, to na pewno trafisz na Władka.

Nadal śpiewam. Sześć lat temu pani Ula Regulska, słyszała mnie podczas jakiejś impre-



Zespół Rota ze swoim patronem, księdzem Przemysławem Turem. Pan Władek - czwarty od lewej.

dia, jednak musiałem wrócić do kopalni, by zara-biać. Przed wojskiem poznałem fajną dziewczynę Halinkę Emilię Melską, wzięliśmy ślub 5 czerwca 1977 roku, pięć miesięcy przed moim wyjściem do

zy i zaproponowała, żebym zaśpiewał pieśni patriotyczne przed mszą z okazji 11 listopada. Miałem tremę, bo nie wiedziałem, jak ludzie za-reagują. Zacząłem od: „Rozszumiały się wierzby

placzące...”, potem „Rota”, itd. Ludzie wstawiali, śpiewaliśmy razem, niektórym pociekły łzy. Tak się ten pomysł spodobał, że koncertowałem raz w miesiącu. Początkowo wspierał mnie ks. Przemysław Tur: wyświetlał teksty na ekranie, ja grałem na akordeonie i śpiewałem a ze mną cały kościół. Wkrótce przy parafii NMP w Złotorzy powstał Artystyczny Zespół Żołnierzy Rezerwy „Rota”. Jest nas siedemnastu: 6 instrumentalistów i 9 solistów - tylko jedna osoba ma wykształcenie muzyczne. Występujemy w mundurach, śpiewamy pieśni patriotyczne i religijne, także: Gołców, Skaldów, Kaczmarzkiego i Kołakowskiego. Rocznie dajemy około 30 koncertów. Zyskaliśmy nawet patronat MON, które miało nam sponsorować koncerty na Ukrainie, w katedrze w Kamieniu Podolskim i we Lwowie, ale sytuacja polityczna pokrzyżowała plany. Spotykamy się nie tylko na próbach i koncertach, ale też prywatnie z rodzinami, bo się lubimy; tworzymy w Złotorzy taką małą społeczność.

■ Śrubokrętu się nie boję

Po pewnym czasie przeniesiono mnie na oddział przodkowy energo-maszynowy MR-5. Zabezpieczaliśmy rozcinkę złoża: budowaliśmy i przedłużaliśmy taśmociągi, budowaliśmy stacje, rozdzielnie, pompownie i obsługiwaliśmy tzw. kraty. I tak mi zeszło w jednej firmie SOWI, ZRG i PRG (tak zmieniały się jej nazwy) 20 lat. Proponowano mi przejście do dozoru, ale był warunek: czerwona legitymacja. Odmawiałem mówiąc, że ani śrubokrętu ani kombinerek się nie boję. W końcu jednak trafiłem do dozoru na zasadzie: nie chcę, ale muszę. Ale to dopiero po latach, w 1992 roku.

Do Solidarności w 1980 roku zapisałem się od razu, bo czułem, że to autentyczna siła. Potem stan wojenny mocno mną tępnał. Widziałem pacyfikację Rudnej Główniej, z wieży szybowej obserwowaliśmy, jak armatkami wodnymi rozpę-

dżają ludzi. U nas zjawili się około dziewiętej rano; po ponad dwóch godzinach „rozbijania” strajku, Rudna Zachodnia się poddała. Chcieli nas zapakować do autobusów i rozwieźć po domach, nie wierzyliśmy im; może spalują, zawiozą do lasu, albo na Sybir - różne opowieści krążyły. Chwyciliśmy się pod ręce i ruszyliśmy w kierunku Połkowic, do kościoła. Zapamiętałem majora wojskowego z bronią, stał rozkraczony jak kowboj i wrzeszczał: „Dość tego waszego rządzenia!”. Odezwałem się: „Człowieku, to my pracujemy, ty żyjesz z naszej pracy”. „Zamknij mordę!” - rzucił się do mnie. W kościele spotkałem się z żoną, przyjechała z kimś z Głogowa, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Niepokoiła się, bo nie wiedziała, co się ze mną dzieje.

Po tych wydarzeniach poczułem, że nie mogę być dalej bierny, że komunie trzeba się postawić. Wzbudzałem zaufanie, bo nie czailem się ze swoimi poglądami; rąbałem prosto z mostu. Ktoś mi dał ulotki, gazetki do rozprowadzenia, ktoś inny znaczki, koperty, kartki, np. z Ojcem Św., drukowane przez „podziemie”. Zwykle kolportaż odbywał się w łaźni. Golasy podchodziły do mnie prosząc: zostaw mi to czy tamto. Rozliczałem się skrupulatnie z pieniędzy, które



1986 rok. 30 rocznica Wydarzeń Czerwcowych. Władysław Grocki wraz z Bractwem Oblatów manifestuje na ulicach Poznania.

szły na pomoc internowanym i ich rodzinom. W kopalni nie było tajnych spotkań, informacje przekazywało się pocztą pantoflową, bez specjalnej konspiracji.

Najczęściej kontaktowałem się z Tadekiem Madziarskim, Jankiem Sugalskim z Polkowic, z Tadekiem Cieślakiem z przeróbki na ZG Polkowice. Jeździłem na spotkania z Wałęsą do parafii św. Brygidy. Należałem do patriotyczno-religijnego Bractwa Oblatów św. Brygidy, byłem członkiem Kapituły bractwa Dom Głogów. W 1987 roku współorganizowałem pielgrzymkę ekologiczną z Głogowa do parafii w Wysokiej Cerekwi (obecnie Grodowiec). Nieśliśmy czarną trumnę, protestując przeciwko zatrutowaniu środowiska przez głogowską hutę. Początkowo proboszcz Dobrołowicz nie chciał się zgodzić, obawiał się władz. Pojechaliśmy po zgodę do biskupa zielonogórsko-gorzowskiego Józefa Michalika i pielgrzymka doszła do skutku.

■ Idźcie na koniak!

Przyszedł rok 1988. 16 kopalń stoi na Śląsku: górnicy domagają się spełnienia postulatów ekonomicznych. Któregoś dnia rozmawiam z Tadekiem Cieślakiem i mówię: „Jutro 3 maja, robię strajk, zatrzymam ludzi na dole”. Czuję w sobie moc, nie bałem się. Rano, po szychcie, wskoczyłem na ławkę w poczekalni na podszymbiu i zacząłem krzyczeć: „Chłopy, Śląsk stoi, a my co? Na Wschodzie rusza pieriestrojka! Jak my tego nie popchniemy, to góra nie ruszy, im jest dobrze!”. Chodziło nam wtedy m.in. o drugą Kartę Górnika - wystarczyło mieć trzy dni chorobowego i karta przepadała. Darłem się, jako ten trybun i rzuciłem hasło: „Zostajemy na dole!”. A tu konsternacja. Nikt nie był na to przygotowany. „Zjadą koledzy z kanapkami, to się podzieli, a potem to już samo pójdzie” - próbowałem przekonywać.

„Zachód” był najlepszym szybem do takiej akcji, bo pracowali tam ludzie z różnych firm: „Rudnej”, PBKR Częstochowa, PBK Bytom, Micon, nawet z „Sieroszowic” - zjeżdżali naszym szybem i potem kolejka wiozła ich na obszar SW-1. Ale zaczęły się wątpliwości, wykręty: wyjedziemy na powierzchnię, przeberzemy się, umyjemy i wrócimy. Wyjechaliśmy, ja w ciuchach roboczych, z urwanym rękawem koszułi od razu ruszyłem na plac. (A dlaczego urwanym? Elektryka poznawało się po urwanym rękawie.

Bo czasem bywało zalane urządzenie, wszystkie szmaty mokre, a trzeba wytrzeć, więc - trach za rękaw i jest szmata).

Przed kopalnią masa ludzi: 500 czy 700 osób, bo druga zmiana nie zjechała. W oknach cechowni panowie z kamerami, aparatami fotograficznymi, ale ja już siedłem na żywiół. Ciąsno otoczyli mnie ludzie, żeby ubecy nie mieli dojścia. Podleciał naczelný dyrektor „Rudnej” Wiesław Jarmużek: „Chłopie, co ty robisz? Będę musiał waszą firmę wyrzucić z robót!”. A za chwilę to samo nasz dyrektor Janusz Lipiński: „Panie Władku, przez pana ludzie pracy nie będą mieli”. A ja do nich spokojnie: „Panowie, nie jesteście partnerami do rozmowy, to nie ten szczebel. Idźcie lepiej razem na koniak, ja muszę robić swoje”.

Powołałiśmy 20-osobowy komitet strajkowy, znalazł się w nim m.in. Józek Czyzerski. Spisaliśmy postulaty. Okazało się, że trzecia zmiana nie strajkuje, więc trzeba było się rozejść. Wieczorem, około godz. 23., opuściłem Rudną Zachodnią w otoczeniu sporej grupy osób i w eskorcie samochodów UB. Poszliśmy do mieszkania Janka Sugalskiego w Polkowicach. Czterech kolegów ze mną zostało jako obstawa, powiadomili sąsiadów, gdzie mają dzwonić, jakby coś zaczęło się dziać.

■ Postraszył konsekwencjami

Rano negocjacje z dyrektorami, którzy dostali pełnomocnictwo z Katowic. Zażądaliśmy współczynnika płac 0,9 w stosunku do węgla; np. jeśli tam dostają 100 zł podwyżki, to my 90 zł, domagaliśmy się też podwyżek o grupę wyżej dla wszystkich pracowników kombinatu. Udało się wynegocjować tę podwyżkę i odblokować drugą Kartę Górnika. Ciężko szły nam rozmowy, byliśmy kompletnie nieprzygotowani, choć wspomagał nas prawnik opozycyjny. Na plan drugi zeszła legalizacja Solidarności, w ogóle postulatów politycznych nie dało się ruszyć. To nic: działamy dalej! 20 lipca powołałem nieformalną komisję górniczą NSZZ Solidarność z trzema sekcjami: do realizacji postulatów strajkowych, BHP i przygotowawczą do restytucji związku.

Nie minęła doba, a z domu zabrał mnie prokurator. Przestrzegł, że działamy nielegalnie, postraszył konsekwencjami. Ja na to, że organizowanie się, to naturalne ludzkie prawo.

Kozakowałem trochę, czułem się pewnie. Puścili mnie jednak do domu. Śląsk znowu stał, a u nas cisza. Nasza komisja górnicza zdecydowała, że 23 sierpnia, w poniedziałek, zaczynamy strajk. Tymczasem z soboty na niedzielę ubecja wszystkich członków komisji wybrała z domów.



Marzec 2004 rok. Komora E-7 na szybie R-3. Przy biurku zastępca kierownika oddziału Adam Dańczuk, obok Władysław Grocki.

Ja ukryłem się u rodziny w Głogowie. Miałem jednak wciąż nadzieję na wywołanie strajku.

■ Kryjówka w oponie Elki

Nocą samochodami przerzucono mnie z Głogowa do Polkowic, tam przeczekałem do rana. Przerzut zorganizowali: późniejszy senator Władysław Papużyński, Marian Krzemiński i chyba Leszek Rybak. Około czwartej przeskoczyłem betonowy płot przy Rudnej Zachodniej, który biegnie wzdłuż ogródków działkowych. Schowałem się w pobliżu naszego magazynu za konstrukcją do montażu Legmetu i czekałem do godziny 6. Wiedziałem, że niedługo pojawi się kalifaktor Zbyszek Brożyna. Z ukrycia zawołałem: „Zbyszek, nie patrz w moją stronę, otwórz drzwi”. Wskoczyłem szybko do magazynu. „Władek, wszędzie cię szukają, na kopalni pełno ube-

cji” - ostrzegał mnie przestraszony. Dał mi coś do zjedzenia, wdrapałem się na pięterko, gdzie magazynowano nowe opony do dużej Elki. Wcisnąłem się w jedną z opon. Około dziewiątej wpada kierownik, pyta o mnie, Zbyszek mówi, że mnie nie widział, ale kierownik bierze latar-

kę i idzie na górę - przejrzał część opon i zszedł. O jedenastej znowu wpada i przepytuje Zbyszka. Słyszę, jak Zbyszek zaprzecza, że mnie widział, ale głos jakby nie jego, całkiem zmieniony, zduszony.

Uzgodniłem ze Zbyskiem, że jak będzie wychodził z pracy, to tak zamknie magazyn, żebym mógł wyjść, a potem zatrzasknąć za sobą drzwi. Przez okienko dachowe wyjrzałem na plac między pierwszą i drugą zmianą, ale stała tam tylko garstka ludzi. Wyszedłem po drugiej zmianie, gdy było ciemno, pobiegłem przez łaźnie, mówiąc ludziom, że komitet strajkowy zwinęli, tylko ja się ukryłem. Patrzę: „smutni” już są, ale otaczała mnie spora gromada, nie podchodzili, bojąc się rękoczynów.

Chciałem wymóc zwolnienie chłopaków z aresztu. Stałem na podwyższeniu w cechowni i zachęcałem do zablokowania szybu; wystarczyło wsunąć częściowo do klatki z jednej i drugiej strony dwa wozy i szyb stoi. Nie zgodzili się na blokadę. No trudno, zjeżdżamy. Przykucając, wcisnąłem się między kolegów, byłem bez helmu, w cywilnych ciuchach. Józkowi Czyckierskiemu powiedziałem, że ma się trzymać w cieniu, bo jakby co, to on zostaje liderem. Tak jak przypuszczałem, na dole ludzie się rozeszli, każdy w swoją stronę. Józek zdobył jakieś ciuchy, kufajki i zakamuflował mnie w któreś rozdzieli. Byłem strasznie zmęczony, musiałem się przespać. Liczyłem, że rano ruszymy ze strajkiem. Około piątej, na podszybiu, jak ludzie szykowali się do wyjazdu, zaapelowałem, żeby zostali na dole. Nie udało się, odmówili. Wyje-



Nie jeden raz W. Grocki przywdziewał strój Lis Majora podczas Piwnych Karczm.

chałem więc ze wszystkimi, ubecja już czekała na mnie. Skuli mnie, ja szedłem pierwszy, bo oni nie znali najprostszej drogi do wyjścia. Podniosłem ręce w kajdankach do góry i klucząc przez obie łaźnie, swoim donośnym głosem wołałem: „Szczęść Boże, koledzy! Jesteście zadowoleni? To bądźcie dalej i nadstawiajcie d... komunie!”.

■ Wypłata pod drzwiami

Zawieźli mnie do Lubina, później na Jaworzyńską do wojewódzkiego UB w Legnicy. A tam niespodzianka; za biurkiem siedzi znajomy, któ-

ry w ubraniu moro przyjeżdżał do Lubiatowa na żagle. Wielu wojskowych z Głogowa tam bywało, uważałem, że to jeden z nich. „Stachu, to ty?” - niedowierzając, zapytałem. „Ja tu pracuję” - odpowiedział mi twardo. Prosiłem tylko, żeby zadzwonił do moich przyjaciół, aby przekazali żonie, gdzie jestem i że krzywda mi się nie dzieje. Na przesłuchaniach nic nie mówiłem. Po trzech dniach wypuścili. Byłem bez pracy. Dostałem dyscyplinarkę „z powodu ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych”. Koledzy napisali do dyrektora petycję, by mnie z powrotem przyjął, nic to jednak nie dało. W zagłębiu miedziowym byłem czarną owcą, nie miałem wstępu na żaden zakład. Strażnicy mieli moje zdjęcia, więc gdy pojawiłem się w ZG Lubin, bo chciałem się spotkać z Bogdanem Nucińskim, rozpoznano mnie i wywalono.

Zbliżał się Okrągły Stół. W Głogowie pojawili się: Władek Frasyniuk, Baśka Labudowa i Włodek Mękarski. Zaproponowali mi udział przy podstoliku górniczym. Zastanawiałem się, bo w sądzie walczyłem o przywrócenie do pracy. Ale sprawa się wlokła. Zgodziłem się więc na Okrągły Stół, po dwóch wcześniejszych odmowach Władowi Frasyniukowi, bo cała sprawa z tym stołem wydawała się mi podejrzana, co się potwierdziło. Kiedy podczas obrad ze strony rządowej usłyszałem, że wszystkich zwolnionych za strajki przywrócono do pracy, to ja: ryp - pięścią w stół i mówię: „A ja to co? Moja sprawa nadal w sądzie!”. Alojz Pieprzyk ze Śląska spał moje dane i jak tylko wróciłem do Głogowa, dyrektor przysłał po mnie samochód i szybko zawarliśmy ugodę. Tylko jedno przeoczyłem: za te 6 miesięcy i 6 dni bezrobocia nie zapłacili mi ZUS i została dziura w składkach, ale machnąłem na to ręką.

Prawie całą wypłatę za ten okres zaniósł Sugalskiemu. Oddałem, bo kiedy mnie wywalili, to koledzy się złożyli na moją pierwszą pensję - 80 tys. zł. Przynieśli pod drzwi i zostawili w reklamówce. Później dostawałem pieniądze z „Praworządności”, założonej przez małżeństwo Romaszewskich. Wszystko kwitowałem i dokładnie wiedziałem ile zwrócić, byli przecież także inni potrzebujący.

■ Przy Okrągłym Stole

Okrągły Stół wcale mi się nie podobał! Po co aż tyle podstolików? Chcieli utopić nas w szczygółach, na których się nie znaliśmy. Miałem co

prawda dwóch doradców: Henia Karasia i Adama Glapińskiego, ale to i tak nie miało sensu. Zadzwoiłem do Władka Frasyniuka i mówię: „Przecież my Polscy nie będziemy drobiazgowo układać. Powinniśmy załatwiać strategiczne sprawy, a jak się gospodarka potoczy, będzie zależało od ekonomii, od kadr, od ogólnej sytuacji”. Oświadczyłem, że rezygnuję, bo nie dam rady. Duży Władek (tak się mówiło w regionie na Frasyniuka, ja byłem Mały Władek, bo z terenu), starał się mnie uspokoić. Wieczorem do naszego pokoju w hotelu Europejskim przyszli: Frasyniuk, Onyszkiewicz, Kuroń i Bujak. Zmiękczając nas lekko alkoholem, przez pół nocy przekonywali, że nie możemy zrezygnować, bo to oznaczałoby zerwanie Okrągłego Stołu - taka była umowa ze stroną rządową.

Po kilku spotkaniach w Warszawie wróciłem, żeby odbudować struktury związkowe. Do czasu wyborów pełniłem funkcję szefa komisji górniczej NSZZ Solidarność Zagłębie Miedziowe. Siedzieliśmy - tak jak Solidarność z 1980 roku - mieliśmy w sali kinowej na terenie KGHM. Co czwartek komisja spotykała się w 24-osobowym składzie. Z czasem stało się jasne, że trzeba zmienić strukturę związkową. M.in. i na mój wniosek, na kolejnym zjeździe regionu Dolny Śląsk, oderwaliśmy się jako Zagłębie Miedziowe, po nas Wałbrzych i potem Jelenia Góra. W Solidarności długo broniono się przed branżami, ale było to nieuniknione. Inne interesy mieli górnicy, inne hutnicy, jeszcze inne firmy zaplecza. Po wyborach związkowych, w 1992 roku, pałeczkę przewodniczącego przejął Józef Czyczerski z „Rudnej” i do tej pory świetnie sobie radzi.

■ Wciąż bolała głowa

Wróciłem do ZRG, gdzie kierowałem zakładową Solidarnością jeszcze przez rok, a potem wróciłem do swojej roboty elektromontera urządzeń górnictwa podziemnego na oddziale MR-5. Kierownik zaproponował mi: „Władek, brakuje mi ludzi ze średnim wykształceniem do dozoru, będziesz prowadził zmiany”. Przez trzy lata byłem zmianowym. Pracowaliśmy w ciężkich warunkach. Wentylacja słabiotka, dostawaliśmy zużyte powietrze z 15. oddziału wydobywczego. A tu kable trzeba ułożyć, uchwyty czy rozdzielnię zamontować. Co jakiś czas wychodziliśmy z miejsc pracy, żeby zaczerpnąć lepszego powietrza. Łatwo było stracić przytomność;

mnie zasłabnięcie zdarzyło się wiele razy. Musiałem lykać aspirynę, bo z niedotlenienia stale bolała mnie głowa.

Czuło się, że robota się dla nas kończy i ZRG będzie się musiało związać. Front w całym KGHM się zawężył, a konkurencja była duża; podobne prace wykonywały trzy inne firmy: PBKR Częstochowa, PBK Bytom i PBK Lubin Najlepiej radziło sobie PBK lubińskie, bo było zdywersyfikowane: mieli Grecję, metro, Wieliczkę, a my tylko roboty poziome i przeciski. Nasi ludzie łgomi się: nam krzywdy nie zrobią, bo myśmy LGOM budowali. Przekonywałem: „Chłopy, ekonomia się liczy, nikt z sentymentu nie będzie nas trzymał”. Z zarobkami było coraz gorzej: różnica na czarnych dniówkach między nami a pracownikami oddziałów górniczych sięgała około 2 mln zł, prawie 30 proc.

■ Wyzywali od zdrajców

W 1994 roku, tydzień przed Bożym Narodzeniem, zastrajkowaliśmy (SW-1, RG, RZ, RP i PZ). Inne związki też się dołączyły. Bałem się, że strajk padnie, bo każdy chciał być na święta z rodziną. Po tygodniu, noc przed Wigilią, negocjowaliśmy do piątej nad ranem. Wywalczyliśmy po 1,8 mln zł podwyżki a prezes KGHM Krzysztof Sędzikowski zapewnił, że przez rok poszczególne ZG będą sukcesywnie przejmowały od nas pracowników.

Podczas odczytywania protokołu końcowego na Rudnej Główniej i Zachodniej wyzywano nas od zdrajców, bo ludzie mieli apetyt na więcej: „Sprzedaliście się! Pewnie ci nadsztygara proponowali!”. To bolało, mieliśmy za sobą ciężkie negocjacje. Dyрекcję wspomagały służby ekonomiczne, prawnicze, a po drugiej stronie my: elektrycy, monterzy, operatorzy. Sami na kalkulatorach obliczaliśmy kwoty, a gdybyśmy się dali w konia zrobić, ludzie, by nas na kilofach roznieśli. Presja była straszna, baliśmy się własnych kolegów. Zdenerwowałem się na nich: „Nie szanujecie tych, którzy się za wami ujęli. Myśmy się tam pałowali, a wy po komorach siedzicie i może nawet wódkę piliście - bo też tak bywało. Nie będę patrzył na agonię firmy. Roboty się nie boję, przechodzę do „zetgie”, tam gdzie mnie przyjmą”.

Plakać mi się chciało. Wyjechaliśmy na górę, koledzy poszli do łaźni, a ja usiadłem na ławce. Z tego stresu, zmęczenia, niewyspania, puściły

Lipiec 2005 rok. Górnicza manifestacja przed Sejmem. Pan Władek uczywiście z nieodłącznym akordeonem.



mi nerwy; zwyczajnie się pobecałem. Wróciłem ledwo żywy do domu, zdążyłem na Wieczernię i przy stole zasnąłem.

■ Bicz z piasku

Złożyłem podania o pracę we wszystkich kopalniach (oprócz „Lubina”), żeby tych parę lat do emerytury w spokoju popracować. Chciałem mieć swój zestaw podstawowych narzędzi. W PRG było tak źle, że sztygarzy przekazywali sobie przyrządy pomiarowe, bo zakładu nie było stać na to, by każda zmiana miała własne. Nieraz wysyłano nas do kolegów z „zetgie”, żeby pożyczili swoje. Człowiek żebrał: pożycz, bo musimy zrobić, a nie ma czym.

Na moje podania o pracę nie było odzewu, bali się mnie ze względu na moją strajkową przeszłość. W końcu zadzwoniłem z dołu do dyrektora „Rudnej” Jerzego Markowskiego. Przedstawiłem się: „Władysław Grocki”. „A witam, szczęście Boże”. „Panie dyrektorze, moje dokumenty leżą w kadrach, chciałbym się zatrudnić jako elektryk”. Cisza w słuchawce a po dłuższej chwili: „K..., panie Władku, ja już z panem jedną rewolucję przeżyłem ...”. (Chodziło o strajk w 94 r. i nie tylko). Mnie zatkało, ale odzywam się: „Panie dyrektorze, a może dzięki tej rewolucji jest pan tu, gdzie jest?”. „To też prawda” - przy-

znał i zgodził się na przyjęcie. Kiedy załatwiałem formalności, naczelnym był już Stanisław Lembas - dobrze go wspominam, bo trzymał z ludźmi.

Dostałem się na E-7, do kierownika Emila Gierczuka, świetnego szefa. W tym oddziale było już kilku moich kolegów z ZRG, m.in. Rysiek Lechwar, Wiesiek Świerszcz, Romek Furmanowicz. Mówili: „My tu jesteśmy mocni, w ZRG tak dostaliśmy w dupę, tak musieliśmy kombinować, że chłopaków z „zetgie” bijemy na głowę, awarię bez przyrządów potrafimy usunąć”. To prawda, nie-

raz się słyszało: „Masz to zrobić, a jak, to twoja sprawa, mnie to nie obchodzi”. Tak nas przeczolgali, że umieliśmy ten przysłowiowy bicz z piasku ukreścić.

■ Z rejsu do szpitala

Miałem od razu iść do dozoru. Przyniosłem Emilowi papiery, a on - że mogę sobie je wsadzić. Okazało się, że moje zatwierdzenia ważne są tylko na zakres robót wykonywanych przez ZRG - w ten sposób nasza dyrekcja usiłowała zatamować ucieczkę dozoru. Musiałem ponownie zdawać egzaminy. Ale krótko dozorowałem, obkladał mnie na okrągło, w świątek, piątek. A tu piękna pogoda, na żagle chciałoby się pojechać. Po pół roku powiedziałem: dość! Zostawili mi 15., najwyższą grupę i to na 7 lat przed emeryturą, co było absolutnym wyjątkiem. Ale nieformalnie często sztygarowałem, gdy trzeba było kogoś zastąpić. Prowadziłem też magazyn i normalnie pracowałem, nigdy się nie migałem. Dopiero 1 maja w 2006 roku, po 31 latach, odchodziłem na emeryturę, bo żeby mieć świadczenie dołowe, musiałem odpracować te 45 roku, kiedy działałem etatowo w Solidarności.

Paweł Stasiak, główny energetyk i Wojciech Smoliński, nadsztygar elektryczny oferowali mi jeszcze kontrakt na rok. Ale ja miałem już dość, chciałem pożyć, no i zbliżał się sezon żeglarski. Gdybym się zgodził na ten kontrakt, pewnie już

bym nie żył. Tak mi powiedział lekarz. Badania okresowe miałem ważne do lutego następnego roku. Ale przed odejściem na emeryturę, zakład każdemu proponuje końcowe badania. Wielu kolegów z tego rezygnuje. Pomyślałem sobie: co mi szkodzi, zrobię. Niestety, coś na płucach znalazł. Szybko tomograf, diagnoza: podejrzenie guza, trzeba operować. Natychmiast do Wrocławia, zalepiałem miejsce i pojechałem na rejs, a po rejsie - wprost do szpitala. Już osiem lat jestem po operacji.

■ Nie zajrzę do teczek

Po operacji dostałem drugie życie. Modliłem się: Panie Boże, kopnij mnie zdrowo, abym wiedział, co ja mam z tym życiem dalej robić! Żebym się potem nie wstydził i żebyś się za mnie nie wstydził! Myślę, że tak bardzo się mnie nie wstydzi. Nie mając swoich dzieci, wzięliśmy na wychowanie dwie dziewczynki z pogotowia rodzinnego. Zmienili diametralnie nasze życie, od razu je pokochaliśmy, tak jakby zawsze były z nami. Jako szafarz nadzwyczajny Komunii Św. odwiedzam chorych i starszych ludzi w domach. Śpiewam w zespole Rota, odbudowałem szeregi PiS w powiecie złotoryjskim i właśnie otrzymałem mandat w Radzie Miejskiej w Złotori, mimo że przez 30 lat mnie tu nie było; mieszkaliśmy w Głogowie a teraz tutaj, w domku po rodzicach. Organizuję, karczmy integracyjne trzech miejscowych stowarzyszeń: Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych, Kopaczy Złota i Towarzystwa Miłośników Złotori. Żegluję, jeżdżę na nartach. Myślę, że fajnie kawał swego życia przeżyłem, choć z pewnością, można było jeszcze lepiej.

Mój życiorys miedziowy był dość burzliwy, mimo to dobrze wspominam pracę i kolegów, także dyrektora ZRG Janusza Lipińskiego; na ile mógł, starał się być w porządku wobec załogi. Mam szacunek do dyrektorów, takich jak: Wiesław Jarmuzek czy Mirosław Pawlak, który był także komandorem Jacht Klubu Chalkos.

Niektórzy dziwią się, że do tej pory nie zajrzałem do swoich teczek w Instytucie Pamięci Narodowej. Rezygnowałem, bo - kto wie - czy w rezultacie nie straciłbym kogoś ze znajomych, przyjaciół, dawnych sąsiadów a może nawet z ro-

dziny. Przecież różne pobudki skłaniały ludzi do donosów, jeśli w ogóle w moim przypadku takie były. Wolę nie wiedzieć co tam jest, bo ta wiedza w niczym mi nie pomoże, mogłaby tylko wyrządzić wiele szkód.

Mimo, że od ośmiu lat jestem na emeryturze, mam stały kontakt z kopalnią, przede wszystkim z moim oddziałem E-7, na którym przepracowałem ostatnie dziesięć lat. Spotykamy się przy



*Maj 2003 rok. Oddział E-7 na pikniku w Lubiatowie.
W środku (z brodą) - Władysław Grocki.*

różnych okazjach - ostatnio, w sierpniu, na imprezie plenerowej w Lubiatowie. Organizowaliśmy tematyczne karczmy (np. w stylu Bitwa pod Grunwaldem) na Grodzcu, trzydniowe Barbórki na promie do Kopenhagi, razem żeglujemy po Mazurach. A już obowiązkowo, gdy ktoś z nich odchodzi na emeryturę, wtedy balujemy na całego. Myślę, że drugiego takiego oddziału, nie ma w całym KGHM; mamy nawet swój własny oddziałowy hymn. Nie mogę wymienić oczywiście wszystkich kolegów, z którymi łączy mnie serdeczna górnicza przyjaźń, ale muszę przynajmniej wspomnieć: Wieśka Świerszcza, byłego kierownika oddziału, Edka Barełę Staszka Galanta, Jurka Pączkowskięgo, Jurka Skibę, Zbyszka Dębnego i „Szandiego”. Jestem dumny i szczęśliwy, że dzięki pracy w KGHM poznałem tylu dobrych ludzi, wśród których czuję się, jak w rodzinie. ■

Obwołano go „drugim Gustawem Morcinkiem”, zdobywał liczne nagrody na konkursach poetyckich i literackich. Odbył kilkadziesiąt spotkań autorskich z czytelnikami. Wciąż pisze i wydaje kolejne zbiory wierszy, opowiadań, powieści i sztuk teatralnych. A nawet bajki dla dzieci.

*Ryszard Gruchawka,
górnik, literat, drwal.
Pracował w ZG
Lubin i ZG Polkowice
w latach 1980–1986*



Czułem się górnikiem i poetą

„Górnicy, oto wasz człowiek” - pisał o nim wrocławski literat Stanisław Srokowski w 1989 roku na łamach „Polskiej Miedzi”. Ryszard Gruchawka przez siedem lat pracował w miedziowych kopalniach, od 1980 do 1986 roku. Przez cały czas mieszkał w hotelu robotniczym, w budynku D-24 w Lubinie.

- Fedrowałem w przodku, kilkadziesiąt metrów pod ziemią jako górnik dołowy, na pierwszej linii frontu - wspomina Gruchawka. - Ale kiedy po raz drugi zasłabłem, straciłem przytomność i trafiłem do szpitala, lekarz radził zmienić pracę. Posłuchałem go.

Rozstał się z kopalnią. Porzucił nawet Lubin. Osiadł na wsi pod Bolesławcem.

- Gdybym pozostał w Lubinie, moja przyгода z pisanem potoczyłaby się zapewne inaczej - mówi dziś nie bez żalu. - Tam jest kultura - to się widzi i czuje. Tutaj, w Bolesławcu, nie ma tych klimatów. Zwróciłem się do władz Bo-

lesławca o pomoc w wydaniu książki. Otrzymałem skierowanie do Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej, a tam czekało na mnie kilo maki, cukier i coś jeszcze.

Odszedł zdziwiony i upokorzony. Nie spodziewał się, że tak można potraktować jego prośbę o pomoc w wydaniu kolejnej książki.

■ Miedziany Amor

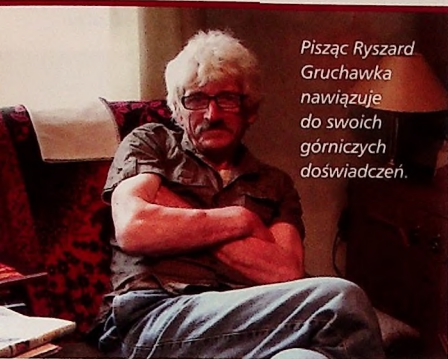
W 1985 roku wziął udział w konkursie „O laur miedzianego Amora”, zdobywając główną nagrodę opowiadaniem „Kamienny pocałunek”. To wtedy dostał od kombinatu miedziowego elegancki mundur górniczy. Miał w nim występować na wieczorach autorskich i innych uroczystych spotkaniach. Dostał też stypendium Ministra Kultury i Sztuki (1986 r.).

- Kolega mnie namówił do udziału w tym konkursie - dodaje. - Swoje opowiadanie zaniósłem na tydzień przed upływem terminu. Nie

wiedziałem, kiedy będzie rozstrzygnięcie. A tu któregoś dnia wracam z pracy, a pod blokiem stoi wóz Telewizji Polskiej. Pani Alicja Albrecht gratuluje mi. Patrzy na mnie i pyta: „To pan nie wie?”.

Tak się dowiedział o wygraniu konkursu, którego organizatorami byli: DKZM, Towarzystwo Miłośników Ziemi Lubuskiej oraz redakcja „Polskiej Miedzi”.

– „Amor” był bardzo ładny – pamięta dokładnie. – To była miedziana rzeźba, ważyła z 10 kilogramów. Ale gdzieś zaginęła w czasie prze-



Pisząc Ryszard Gruchawka nawiązuje do swoich górniczych doświadczeń.

prowadzek, a może ktoś mi ją ukradł? – zastanawia się. – Ostała się inna nagroda - statuetka Artura. Jest mniejsza. Mieści się w jednej ręce i waży też niewiele. Dla mnie najważniejsza ze wszystkich – mówi Gruchawka.

Otrzymał ją „za całokształt” w 1994 roku. Ale - od kogo, kiedy dokładnie? Sam już nie pamięta. Tej nagrody, podobnie jak „Amora”, dzisiaj nikt już nie przyznaje.

■ Pojechał po „Buty” i „Gwoździe”

Za pisanie wziął się już w wieku 16 lat, jak sam podaje na okładce swojej pierwszej książki „Podziemne życia” (wiersze i opowiadania poświęcone pracy w kopalni). Ale te pierwsze próby nie były przeznaczone dla szerszej publiczności. – Takie ciche pisanie do szuflady w komódzie babci, na strychu.

– Teraz, kiedy postawiłem pierwszy krok, inne będą większe – zapowiadał w 1989 roku.

I były. Raz siedmiomilowe skoki, a kiedy indziej ledwie widoczne kroczyki. Były też chwile słabości, kiedy się cofał. Ale zaraz rzucał się

naprzód. Jak wtedy, kiedy musiał wyjechać do Irlandii. Jechał „za chlebem”. Wtedy jeszcze nie wiedział, że tak naprawdę jechał po „Buty emigranta” i po „Czas prostowania gwoździ”.

„Zanim trafiłem do Irlandii, miałem parę butów na suche dni i parę gumiaków na niepogodę” – opisuje swój irlandzki epizod na okładce książki. Po siedniomiesięcznym irlandzkim kołowrocie zegnał wyspę bez szczególnych wzruszeń. Jak zwykle - niczego się nie dorobił. Wracal do tego samego. Tylko z większym życiowym bagażem, z myślami których się nie dało odgonić. I trzeba je było przenieść na papier, żeby się ich pozbyć. Każdego dnia pisze na nowo tym samym długopisem, w tym samym kajecie. Ot, choćby taki wiersz:

*„Chciałbym być analfabeta
wiersze pisałbym myślami
umarłym poświęciłbym zdarzenia
nikt by mi tego nie wydarł
jak ciemności w kopalni”.*

■ Papież zaprosił

Internet sprawił, że dla Gruchawki świat przestał mieć ograniczenia. Udało mu się nawiązać kontakt z Polonią australijską. Wysłał im kilka swoich opowiadań. Miał szczęście - zostały wydane w 90 tysiącach egzemplarzy pod wspólnym tytułem „Czas prostowania gwoździ”.

– Teraz namawiają mnie, żebym drukował u nich moje bajki – mówi Gruchawka. To nie pierwsza książka, w której opowiada o Lubinie i górnictwie.

– Kiedyś napisałem wiersz o naszym papieżu. Na zwykłej kartce papieru, dołożyłem jeszcze rysunek i dałem to siostrzyczkom zakonnym z Bolesławca. Zawiozły do Watykanu, a po powrocie powiedziały, że jestem zaproszony na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II. Nie pojechałem. Nie zawsze w życiu człowiek robi to, co by chciał.

– To już tyle lat – mówi spoglądając na swoje książki rozłożone na ławie w dużym pokoju. – I cóż z tego mam? – zadaje sobie głośno pytanie. – Lepiej pójść na ryby, to chociaż obiad będzie. Całe szczęście minister kultury uznał mi 30 lat pracy twórczej. Mogę przejść na emeryturę. Ale pisać nie przestanę. Nie mogę. To jest we mnie. Jeden z moich wydawców zwrócił się do mnie o zgodę na zrobienie dodruku mojej książ-

ki. Ale kiedy go spytałem o moje honorarium, to rozmowa się skończyła. A przecież musiał sprzedać nakład, skoro chciał robić dodruk.

Kolejna sprawa z innym wydawcą nadaje się do sądu - tak uważa. Ale się zastanawia:

- Jeśli to zrobię, to już całkiem zamkną się przede mną drzwi wszystkich wydawnictw...

Kiedy powiedział o swoich kłopotach z wydawcami, którzy nie płacą mu honorariów autorskich, w Związku Literatów Polskich (Gruchawka należy do ZLP) poradzili mu, żeby skontaktował się z prawnikiem.

- Nie martw się, Ryszard! Czas to chwila - do dziś słyszy głos człowieka, którego spotkał w Białowieży. Odpowiedział mu wtedy: - Ale nie każdy ma zegarek!

■ Niegrzeczna bajka

Jeszcze w Lubinie związał się z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury. Dużo mu to dało.

- Tam byłem „na swoim miejscu” - mówi. - Czulem się nie tylko górnikiem, ale i poetą, literatem.

- A tu, w Bolesławcu, niektórzy patrzą na mnie, jak na jakieś dziwo. Kiedy młody człowiek wygrał konkurs recytatorski z moją bajką, to nikt mnie nawet o tym nie powiadomił. Za prosty człowiek jestem, nie nadaję się do ich towarzystwa. A może chodzi o coś innego? - zastanawia się.

Po powrocie z Irlandii i wydaniu „Butów emigranta” w Bolesławcu miał spotkanie autorskie. Przyszło sporo ludzi. Powiedział bajkę, ale bajka się nie spodobała. No, może nie wszystkim, ale tym ważnym, na pewno - nie.

Bałwan i prezydent

*W środku miasta bałwan tęgi
stał przy ratuszu,
dla urzędu i powagi
w szlacheckim kontuszu.*

*Stoi bałwan przy ratuszu
i pozdrawia dzieci,
również pana prezydenta
zagadnął: - Jak leci?*

*Pan prezydent się zatrzymał
i ochrona jego:*

*- Twoje dni są policzone,
do wiosny kolego.*

*Na to bałwan odpowiedział,
co się w bajkach zdarza:*

*- Mnie tam wiosna prezydencie,
wcale nie przeszkadza.*

*Fakt, że zmienię wiosną adres
a to żadna szkoda,
na bałwany prezydencie,
zawsze będzie moda!*

*Stracił urząd pan prezydent,
to było pisane...*

*Czyżby na to miała wpływ
rozmowa z bałwanem?*

■ Rozstanie z Miedzią

W stanie wojennym drukował z kolegami ulotki w lubińskim hotelu robotniczym. Powielacz trzymali pod stołem. Wspomina o tym w „Wiosennych brzegach”, które jeszcze szlifuje. Na drewnianym powielaczu odbijali kartka po kartce. A jak zabrakło farby, to dolewali bejcy. Raz tylko odwiedził ich dzielnicy. Coś mu śmierdziało naftą. Kolega, Irek Dzielak, powiedział, że to od smażenia placzków ziemniaczanych. Jakoś to wszystko się rozeszło, ale już wiedzieli, że następnym razem tak łatwo nie pójdzie.

Miał szczęście, następnego razu nie było. Najpierw rozstał się z Miedzią, niedługo potem zmienił się urząd. Osiedł pod Bolesławcem i żył z lasu.

- Pracowałem w nadleśnictwie chocianowskim jako drwał - opowiada. - Piły łańcuchowej nie wylączyłem. Gasła, jak się paliwo kończyło. Uzupełniałem i dalej ciąłem drzewa - wspomina. - Potem znalazłem robotę w prywatnej firmie, na czarno. Przydarzył się mi wypadek, zламаłem nogę i pracę straciłem, bo nie byłem już użyteczny.

O swojej wiosce pod Bolesławcem mówi, że to „miejsce, z którego kaczki pionowo startują”. Wspólnie z żoną remontują dom - starą wiejską chałupę. Sami, własnymi rękami. Kiedyś przyszedł fachowiec i zrobił łazienkę, to do dzisiaj ją poprawiają. Mówi, że podłogę musieli na nowo układać.

Wieczorami zapisywał w kajecie „Bajki drwała Gruchawki” czy „Folwark pana drwała”, „Bajki fiłkołajki”, „Bajki drwała”. Wydane w kilku osobnych książeczkach. Pastelowymi kolorami okładek zachęcają do przeczytania.

- Tylko pożytku z tego niewiele - mówi. - Nawet sam musiałem kupić autorskie egzemplarze, bo wydawcy mi nie przysłali.

■ Nie czas na „Karałucha”

Gruchawka jest zawzięty. Uparł się, żeby pisać i być pisarzem. Najnowsza książka - „Wiosenne brzegi” - już prawie skończona. Może by jeszcze coś do niej dopisał, ale żona mówi, że trzy rozdziały wystarczą.

- To kawał historii Lubina - przedstawia w skrócie fabułę swojej książki. - Opowiada o stanie wojennym, demonstracjach. Piszę o tym, co widziałem. Jak tłum ludzi ruszył na samochody

razie nic z tego nie wyszło - zwierza się Ryszard Gruchawka.

Akcja innej sztuki dzieje się w kościele. Główny bohater mieszka tam, ukrywa się w sporym kartonie. Do kościoła przychodzą różni ludzie, a on ich podpatruje. Sztuka czeka na reżysera, który - jak powiada Gruchawka - nie będzie się bał zamienić sceny na kościelną kruchtę.

■ Między rybami a wierszami

- Ktoś mi kiedyś powiedział: „Gdybyś miał wykształcenie, to ludzie by cię inaczej traktowali”. Ale ludzie czytają przecież moje książki i wcale nie pytają o moje wykształcenie. Może tylko niektórzy

*Książki Ryszarda Gruchawki
i poświęcone mu artykuły
prasowe.*



milicyjne i nagle pomiędzy zmierzającymi do starcia pojawiła się starsza kobieta. Pamiętam jej słowa: „Starczy już tej krwi!”. I wtedy demonstranci zaśpiewali „Boże coś Polskę”...

Chciałby, żeby lubinianie mogli ją przeczytać i odnaleźć w niej samych siebie i swoje miasto.

Z sześć, może siedem lat temu sztukę teatralną Gruchawki „Oko pana Karałucha” kupił częstochowski teatr. Na razie „Karałuch” czeka na sprzyjający czas.

- Mieli ją wystawić, ale wcześniej sztuka trafiła do warszawskiego Teatru Rozmaitości, gdzie też byli nią zainteresowani. Pojechałem tam. Dyrektor teatru tłumaczył, że sztuka mu się podoba. Nawet bardzo, ale muszę poczekać jeszcze kilka lat, bo ma on zobowiązania, plany repertuarowe. I na

zastanawiają się: skąd mi te historie przychodzą do głowy? Ale to nie wykształcenie jest najważniejsze. Gdyby tak było, to świat byłby pełen książek, bo każdy wykształcony człowiek by je pisał.

I tak pomiędzy rybami a wierszami mija mu czas.

- Nie rezygnuję - mówi Gruchawka. - Codziennie piszę. Nawet dwa albo i trzy wiersze. Ostatnio wziąłem się znowu za konkursy.

Sam już nie pamięta, w ilu konkursach zwyciężył. Na pewno w jaworskich Biesiadach Literackich Asocjacje '83. Ponadto drukował w „Radarze”, „Twórczości Robotników”, „Konkretach” a najczęściej w „Polskiej Miedzi”.

- Wciąż nie rezygnuję! - z uporem powtarza Gruchawka. ■

słownik terminów

- **anhdyryt** – substancja krystaliczna o barwie niebiesko-szarej, rzadziej białej lub kremowej. Łatwo wchłania wodę, co powoduje zwiększenie jej objętości o nawet 60%, może przy tym pękać i rozwarstwiać się
- **anoda** – wyrób z miedzi po rafinacji ogniowej, będący wsadem do procesu rafinacji elektrolitycznej, odlewany na maszynach karuzelowych lub urządzeniach do ciągłego odlewania anod.
- **badania mineralogiczne i petrograficzne** – badania rud oraz form ich występowania i okruszczenia, potrzebne do opracowywania technologii przeróbki
- **brecha** – z niemieckiego brechtstange, drąg stalowy do podważania, uderzania, dźwignia, gruby pręt
- **brykietowanie** – proces polegający na zmieszaniu koncentratu miedzi z ługiem posulfitym w proporcji 10:1, wysuszeniu tej mieszaniny do wilgotności 6-9 proc., a następnie sprasowaniu w prasie walcowej pod ciśnieniem 150-200 atmosfer
- **chodnik** – w górnictwie podziemnym wyrobisko korytarzowe prowadzone poziomo lub prawie poziomo (do 5° nachylenia), niemające bezpośredniego wyjścia na powierzchnię ziemi. Drażony jest w złożu i daje urobek będący kopalnią użyteczną
- **czerwony spągowiec** – nazwa kompleksu permskich skał osadowych pochodzenia lądowego i skał wulkanicznych powstałych w permie, w basenie sedimentacyjnym obejmującym znaczne obszary Europy Północnej i Środkowej
- **diagonala** – wyrobisko podziemne drażone w kierunku pośrednim między rozciągłością a nachyleniem pokładu
- **elektrolit** – powstaje w procesie elektrorefinacji miedzi
- **elektroliza** – proces odbywający się w wannach wypełnionych roztworem kwasu siarkowego i siarczanu miedzi. W roztworze zanurzone są anody miedziane i podkładki katodowe wykonane z cienkich blach z miedzi elektrolitycznej
- **elektrorefinacja** – proces elektrolizy z rozpuszczalną anodą, wykonaną ze stopu poddawanego rafinacji. W czasie procesu na katodzie, dzięki specjalnie dobranym warunkom, następuje selektywne wydzielanie metalu rafinowanego a zanieczyszczające go domieszki pozostają w elektrolicie w postaci stałej lub rozpuszczone
- **fedrunek** (niem. Förderung – wydobywanie) – wydobywanie fragmentów złoża przez oddzielanie ich od jego całości
- **felezunek** – miejsce w komorze mechanicznej, w którym sztygar rozdziela stanowiska pracy
- **filtr workowy** – element systemu odpylania o wysokiej wydajności i skuteczności, stosowany w uciążliwych warunkach z pyłem o szczególnie trudnych właściwościach, także wybuchowych
- **flotacja (wzbogacanie flotacyjne)** – proces rozdziału rudy na frakcje o różnicowanej zawartości składników użytecznych, wykorzystujący różnice zwilżalności ziaren poszczególnych minerałów
- **hajer** – w gwarze śląskiej górnik, pracownik fizyczny
- **kamień miedziowy** – półprodukt będący stopem siarczków miedzi, żelaza i ołowiu oraz żużla odpadowego, otrzymywany w procesie przetopu w piecu szybowym wsadu, którym jest uśredniony i zbrykietowany koncentrat, zawierający ok. 20% miedzi, wraz z żużlem konwertorowym i koksem
- **kasza** – sztuczny filar z bali drewnianych ułożonych na przemian w warstwach i zasypyany rumowiskiem skał płonnych
- **kawerna** – pusta przestrzeń w skałach, powstała w wyniku procesów naturalnych ługowania, czyli rozpuszczania składników skalnych
- **kocioł odzysknicowy (albo kocioł odzyskowy)** – wytwornica pary odzyskująca ciepło z czynnika o stosunkowo wysokiej temperaturze
- **kopalnia Upadowa Grodziec** – położona w starym zagłębiu miedziowym, od 1958 roku włączona do ZG Konrad
- **kotwiarka** – urządzenie do wiercenia otworów w podziemnych wyrobiskach górniczych w celu mocowania kotew w monolitycznym podłożu
- **kurzawka** – drobnosiarnisty luźny osad, np. piasek lub muł nasycony wodą pod znacznym ciśnieniem
- **łupki miedzionośne** – skały ilasto-dolomityczne o wyraźnym warstwowaniu z bogatą mineralizacją siarczkową miedzi, głównie chalkozyn bornit oraz chalkopiryt
- **markownia** – naziemna część kopalni, gdzie przechowywano tzw. marki, indywidualne znaczki górników (przybliżające np. numerki z szatni)
- **maszyna bębnowa** – maszyna wyciągowa do głębinienia szybu, której fundament zazwyczaj po zakończeniu głębinienia szybu jest demontowany
- **maszyna flotacyjna** – podstawowe urządzenie do pozyskiwania minerałów użytecznych z rud metali nieżelaznych i innych surowców metodą flotacji
- **miąższość** – grubość warstwy (np. skalnej), kompleksu warstw lub innych struktur geologicznych, mierzona pomiędzy stropem a spągami
- **niwelator** – instrument geodezyjny, mocowany na trójnożnym statywie, umożliwiający pomiar różnicy wysokości (niwelacji) pomiędzy punktami terenowymi
- **obwał** – opad skał stropowych do wyrobiska, nie powodujący jednak jego niedrożności

- **ocioś, zrąb** – boczna ściana wyrobiska górniczego w skale płonnej lub w kopalinie użytkowej
- **odprężenie górotworu** – zjawisko podobne do tąpnięcia, lecz o słabszym natężeniu i mniejszych skutkach. Między odprężeniem górotworu i tąpnięciem nie ma wyraźnej granicy, a ich rozgraniczenie zostało przyjęte w sposób umowny
- **piec elektryczny** – piec, w którym wsad nagrzewany jest ładunkiem elektrycznym osiągającym temperaturę do kilku tysięcy °C, co umożliwia nagrzewanie roztopianego wsadu do temperatur od 1400 do 2000 °C
- **piec szybowy** – klasyczny typ pieca hutniczego do wytopu metali i termicznego przetwarzania minerałów, ma kształt szybu (stańd nazwa), zaopatrzonego od góry w urządzenia zasypowe i odprowadzające gazy, a od dołu w system doprowadzania powietrza technologicznego (dmuch) i wyprowadzania skondensowanych produktów
- **planimetrować** – wykonywać pomiary powierzchni nieregularnych na płaszczyznach map, rysunków za pomocą planimetru
- **pochylnia** – nachylone pod kątem do 45° wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki, drążone od dołu do góry, z transportem realizowanym z poziomu górnego na dolny
- **próbka bruzdowa** – próbka kopaliny pobrana z calizny prostopadle do uwarstwienia pokładu od stropu do spągu, przez wycięcie bruzdy szerokości 25 cm i głębokości 15 cm
- **przecinka ścianowa** – chodnik wykonany dla połączenia chodników przyscianowych w celu przygotowania przodka ścianowego
- **Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa** – początki przedsiębiorstwa sięgają 1947 roku, w 1959 r. zmieniło nazwę na Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Kopalń Rud Miedzi (PBMKRM). Po zmianach organizacyjnych w grudniu 1968 r. przekształcono w Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Przemysłu Ciężkiego w Lubinie (PBMPCL). W 1977 r. przyjęło nową nazwę Przedsiębiorstwo Budowlano-Montażowe Hutnictwa
- **Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud w Bolesławcu (PBK, PBKR, PRG, ZBK, ZRG)** – powołano w 1951 r. celem budowy kopalń w starym zagłębiu miedziowym. Wielokrotnie zmieniano swoją nazwę i status organizacyjny, np. w 1960 w miejsce PBKR w Bolesławcu, powołano Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń Rud Miedzi w Lubinie, które zostało generalnym wykonawcą robót górniczych w LGOM. W 1991 r. przedsiębiorstwo przekształcono w oddział KGHM pod nazwą Zakład Budowy Kopalń (ZBK). Dwa lata później powołano została spółka prawa handlowego pod nazwą PeBeKa Sp. z o.o. W styczniu 1997 r. połączono ją z Przedsiębiorstwem Robót Górniczych w Lubinie (PRG), a od 1 stycznia 1999 r., po przekształceniu w spółkę akcyjną, firma funkcjonuje jako Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.
- **przenośnik zgrzeblowy** – urządzenie transportowe typu przesuwającego, w którym przymocowane do łańcucha (łańcuchów) elementy poprzeczne – zgrzebła przesuwają urobek w sposób ciągły w określone miejsce
- **przodek** – końcowa część wyrobiska, w którym odbywa się eksploatacja złoża
- **sejsmometr Willmore'a** – element stanowiska sejsmicznego zakładanego w celu monitorowania wstrząsów sejsmicznych występujących w kopalniach
- **skała płonna** – skała, która przy wydobywaniu ze złoża określonej kopaliny, jest uważana za nieużyteczną
- **skreper** – w technice maszyna do odsapajania gruntu, przewożu i wyładowania urobku w określonym miejscu, zgarniarka
- **SITG** – Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa
- **SOLINOX** – instalacja uruchomiona w 1994 roku do oczyszczania z dwutlenku siarki gazów powstających w procesie produkcji miedzi. Dzięki niej huta została w 2001 roku skreślona z listy 80 największych trucielei środowiska
- **SOWI** – Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego utworzony na podstawie zarządzenia dyrektora naczelnego KGHM z 17 maja 1966 r. Nazwę zakładu zmieniono na podstawie zarządzenia dyrektora z 19 grudnia 1974 r. na Zakład Robót Górniczych, a następnie Przedsiębiorstwo Robót Górniczych, które zostało wchłonięte przez Przedsiębiorstwo Budowy Kopalń PeBeKa S.A.
- **spąg** – dolna powierzchnia warstwy skalnej, pokładu lub wyrobiska
- **spągowanie (inaczej pobierka)** – wgłębianie się w spąg lub wybieranie węgla albo skał ze spągu
- **stropnice płytowe** – okładziny obudowy kotwicznej stosowane do poprzecznej i wzdłużnej obudowy stropów oraz ociosów wyrobisk górniczych
- **szachciak** – gumowane, nieprzemakalne ubranie robocze
- **szczelina pikotażowa** – szczelina między tubingami stanowiącymi obudowę szybu górniczego
- **sztolnia** – wyrobisko korytarzowe o małym przekroju poprzecznym, drążone w górotworze ze zbocza góry, poziomo lub pod niewielkim wzniosem w głąb góry ze złoży kopaliny użytkowej
- **szytar (niem. Steiger)** – nazwa stanowiska kierowniczego w górnictwie. Szytar zajmuje się dozorem technicznym, a także częściowo administruje pracę górników
- **szyb** – wyrobisko górnicze pionowe lub pochyłe o nachyleniu powyżej 45° o przekroju poprzecznym powyżej 4 m kw. i znacznej głębokości, prowadzące z powierzchni terenu do położonego w głębi ziemi złoża kopaliny użytkowej lub łączące wyrobiska poziome pod ziemią i nie mające ujścia na powierzchnię (szyb ślepy)
- **szybk** – rodzaj wyrobiska górniczego, swoją budową przypomina szyb, jednak nie łączy wyrobisk podziemnych z powierzchnią, lecz poszczególne poziomy kopalni ze sobą
- **system komorowo-filarowy** – sposób wybierania złoża jednym frontem eksploatacyjnym, składającym się z szeregu równoległych przodków komorowych łączonych pa-

sami, między którymi pozostawiane są filary technologiczne dla zapewnienia stateczności stropu w przestrzeni roboczej

- **system ubierkowy** – (ścianowy) sposób wybierania złoża przodkami (ścianami) znacznej szerokości, postępujących frontalnie na określonej długości wybiegu ściany, przy czym likwidacja przestrzeni wybranej następuje w ślad za przemieszczającym się przodkiem
- **tąpnięcie** – dynamiczne rozładowanie energii potencjalnej sprężystości skał, połączone z wyrzuceniem materiału skalnego do wyrobiska lub zniszczeniem jego obudowy
- **tensometr** – czujnik, służący do pomiaru naprężenia lub odkształcenia. W praktyce pomiar tensometryczny polega na pomiarze odkształcenia i obliczeniu naprężenia w oparciu o przyjęty związek fizyczny (np. prawo Hooke'a)
- **teodolit** – instrument geodezyjny przeznaczony do pomiaru kątów poziomych oraz kątów pionowych
- **tubingi** – (z ang. tube - rura) – rodzaj obudowy tunelu lub kanału wykonanej z metalu. Połączone tubingi tworzą pierścień, stanowiący ścianę kanału. Najczęściej wykorzystywane są do budowy szybów wentylacyjnych, szybów kopalnianych czy tuneli metra
- **upadowa** – wyrobisko korytarzowe usytuowane w złożu, nachylone do 45°, łączące dwa wykonane na różnych poziomach chodniki; drążone po upadzie (od góry do dołu), z transportem realizowanym z poziomu dolnego na górny
- **uskok** – struktura tektoniczna powstała w wyniku rozrywania mas skalnych i przemieszczenia ich wzdłuż powstałej powierzchni (lub wąskiej strefy zniszczenia), zwanej powierzchnią uskoku (lub strefą uskokową)
- **woda królewska** – mieszanina stężonego kwasu solnego i azotowego w stosunku objętościowym 3:1. Ma bardzo silne właściwości utleniające, rozтворя złoto, platynę, pallad i inne metale szlachetne oraz inne odporne chemicznie metale (cyrkon, hafn, molibden)
- **węroblarka** – maszyna górnicza, wykonująca wręby w złożu, składa się z głowicy z wrębnikiem, silnika (elektrycznego lub pneumatycznego) i ciągnika
- **węrobladowarka** – maszyna górnicza wykonująca wręb w całości i ładująca urobek na znajdujący się obok przenośnik
- **wyrobisko** – przestrzeń powstała w wyniku robót górniczych. Można podzielić stosując różne kryteria: na wyrobiska pionowe (szyby, szybiki), poziome (chodniki, upadowe, ściany, komory, zabierki) oraz wyrobisko korytarzowe – wyrobisko o dużej długości
- **zagęszczacz** – maszyna służąca do zagęszczania. Zagęszczanie grawitacyjne w zagęszczaczach typu Dorra jest pierwszym etapem odwadniania koncentratu flotacyjnego
- **Zakłady Wzbogacania Rud (ZWR)** – Oddział KGHM Polska Miedź S.A., którego zadaniem jest wzbogacenie rud wydobywanych w oddziałach górniczych, czyli trzech kopalniach. Składa się z trzech rejonów, zlokalizowanych przy szybach wydobywczych kopalń: Lubin, Polkowice-Sieroszowice i Rudna
- **zawał** – niezamierzone, grawitacyjne przemieszczenie się mas skalnych lub kopaliny ze stropu albo ociosu w stopniu powodującym niemożność przywrócenia pierwotnej funkcji wyrobiska w czasie krótszym niż 8 godzin
- **ZG Konrad w Iwinach** – zlokalizowane na południowy wschód od Bolesławca. Składały się z trzech rejonów eksploatacyjnych: „Konrad”, „Upadowa Grodziec” i „Lubichów”. Działalność zakończyły z końcem 1989 r.
- **ZG Lena w Wilkowie** – znajdowały się w synklinie złotoryjskiej na południowy wschód od Złotoryi. Pod koniec II wojny światowej uległy zatopieniu. Już w 1948 roku, rozpoczęto prace nad odwodnieniem i uruchomieniem kopalni. Eksploatację rozpoczęto w 1950 r. a zakończono w grudniu 1973 r. z powodu wyczerpania złóż

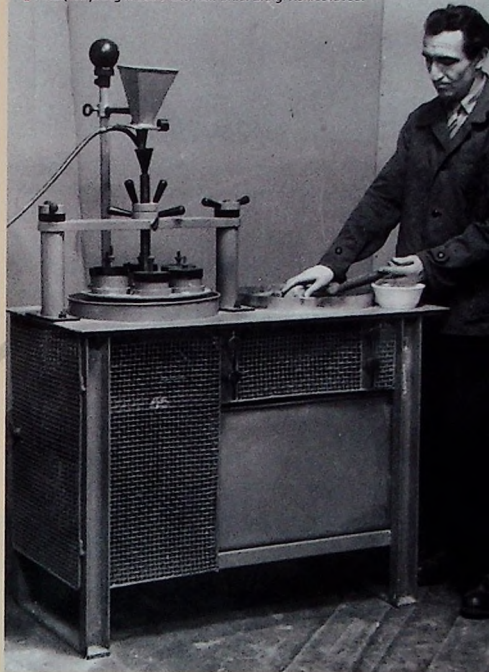
PRACOWAŁ DLA MIEDZI

15 listopada ubiegłego roku, w wieku 87 lat, zmarł w Chorzowie Bolesław Źródłowski - jeden z nielicznych inżynierów górników-mineralogów, który od lat 70. związany był z zagłębiem miedziowym.

Pochodził z rodziny o tradycjach nauczycielskich i patriotycznych. Szkołę powszechną i konspiracyjne gimnazjum ukończył w Grębowie (woj. podkarpackie). Po wojnie uczęszczał do liceum ogólnokształcącego w Stalowej Woli, a od 1949 roku studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim: Wydział Instytut Nauk Geologicznych Katedra Mineralogii i Krystalografii. W październiku 1951 Zakład Geologii, Mineralogii i Paleontologii przeniesiono z UJ na Akademię Górniczo-Hutniczą. Rozwiązaniu uległo również Koło Geologów Studentów UJ. Zdarzenie to miało związek z działającą w Krakowie, a źle widzianą przez władze, organizacją Bratnia Pomoc Studencka, której Bolesław Źródłowski był aktywnym członkiem. Za kolejne już protesty studenckie przeciwko zniesieniu święta 3-Maja rozwiązano Katedrę Mineralogii a pana Bolesława, jak i jemu podobnych, wysłano do pracy na Śląsk, w ramach tzw. zastępczej służby wojskowej, do 38 Wojskowego Batalionu Górniczego w Brzezinach Śląskich.

Początkowo pracował jako technik wentylacyjny kopalni cynkowo-ołowianej Orzeł Biały. W związku z potrzebą uruchomienia w zakładzie laboratorium mineralogicznego, na prośbę dyrektora, minister Przemysłu Ciężkiego w porozumieniu z Ministerstwem Szkół Wyższych i Nauki wydał panu Źródłowskiemu zgodę na dokończenie studiów zaocznie w toku indywidualnym. By uzyskać tytuł inżyniera, od 1952 do 1954 roku zdawał egzaminy w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu. W tym czasie zorganizował laboratorium i został starszym laborantem, a następnie kierownikiem Laborato-

■ Początek pracy w Laboratorium Orzeł Biały. Koniec lat 55.



rium Mineralogicznego Zakładów Górniczo-Hutniczych Orzeł Biały w Brzezinach Śląskich.

W późniejszym okresie pracował dla kopalni cynku i ołowiu w Olkuszu, Trzebinii, Chrzanowie i Jaworznie. Jako jeden z nielicznych, jeśli nie jedyny inżynier mineralog z III stopniem uprawnień górniczych, był współtwórcą planów wydobywczych niemal wszystkich powojennych kopalni cynku, ołowiu jak również miedzi. Miał prawo do wchodzenia bez asysty, na własną odpowiedzialność, do każdej kopalni i w każde jej miejsce, by pobrać próbki, a potem je udokumentować, sfotografować oraz (na planach) oznaczyć ich wy-

FUNDACJA
KGHM
POLSKA MIEDŹ



***JEDEN PROCENT
NIEJEDEN UŚMIECH***



Przekaż 
Fundacji KGHM Polska Miedź

Fundacja KGHM Polska Miedź, jako organizacja
pożytku publicznego, pozyskuje środki z tytułu 1% podatku

numer KRS: 0000154740